

ANDRE NORTON

SMOCZA MAGIA

PRZEKŁAD: KAROLINA BOBER
TYTUŁ ORYGINAŁU: DRAGON MAGIC

1. UKRYTY SKARB

Sig Dortmund zepchnął nogą kupkę liści do rynsztoka i spojrzął na tłumek oczekujący na przystanku szkolnego autobusu. Z nowego osiedla jeździł tylko jeden autobus, który zabierał maluchy i kilku chłopaków w jego wieku. Tak, tylko trzech. Autobus jechał do dwóch szkół, podstawowej i średniej - rano trzeba było wychodzić z domu o wiele wcześniej, a wracało się za późno, żeby robić cokolwiek na dworze. Ależ to będzie piękny rok! Kopnął liście z całej siły.

Próbował obejrzeć tych trzech chłopaków tak, by nie zauważyli, że im się przygląda. Tego małego właściwie znał. W zeszłym roku chodził z nim na nauki społeczne. Jak on się nazywa? Artie. Artie Jones. Powiedzieć: "Cześć Artie"?

Artie Jones zagryzł dolną wargę. Ale zgiełk. Dzieciaki popychały się i wrzeszczały. Zanim wysiądą przed podstawówką, wszyscy w autobusie ogłuchną. I z kim będzie musiał siedzieć! Taki wielki chłopak - widział go w poprzednim semestrze, ale nie był to "wielki człowiek", co to, to nie. I mały Chińczyk pod ścianą. Mama wszystko o nim słyszała. Wczoraj opowiadała przy kolacji. Pan Stevens był w Wietnamie i pojechał na urlop do Hongkongu. Tam natknął się na tego Kima w sierocińcu i chciał go adoptować. Stevensowie bardzo długo czekali, żeby go zabrać, zaangażowali nawet w sprawę jakiegoś kongresmana. Chłopiec nie wygląda na takiego, który byłby tego wszystkiego wart, prawda? Powiedzieli, że się dobrze uczy.

Ale Stevensowie oczywiście by się nie skarżyli, po tych wszystkich trudach z jego sprowadzeniem. Wielkie mi co - zadawać się z takimi pajacami.

Kim Stevens mocno ścisnął tornister. Co za hałas i zamieszanie! Odkąd pamiętał, żył w ciągłym hałasie i tłoku - w Hongkongu było tyle ludzi, że mieszkali jedni na drugich. Ale to co innego. Pochodził stamtąd, więc wiedział, jacy są. Zeszły rok był dla niego bardzo trudny. Ojciec woził go do szkoły. Tak, na początku czuł się dziwnie, ale potem poznał Jamesa Fonga i Sama Lewisa. Spojrzął na wysokiego, czarnego chłopca opierającego się o ścianę. Ale ten zachowywał się, jakby był sam, nie zauważał dzieciaków niemal deptających mu po palcach.

Ras nie słuchał hałasu. Musiał się skoncentrować tak, jak kazał Shaka - zapamiętać i robić, co trzeba. Kiedy zapytają go o imię, ma odpowiadać nie "George Brown", lecz "Ras". Jego brat, dawniej Lloyd, nazwał się "Shaka" po królu Zulusów w Afryce, jedynym, który w

dawnych, dobrych czasach odgryzał się białasom. Ras oznacza "książę"; Shaka kazał mu wybrać imię z listy. Shaka był na dobrej drodze, na głowie nosił afro i tak dalej.

Tata i mama nie rozumieli. Byli staroświeccy, brali wszystko, co dawały im białasy i trzymali buzie na kłódkę. Shaka wytłumaczył, jak jest teraz. Nikt nie przekona Rasa, żeby postępował inaczej, niż każe Shaka.

Na ulicy było coraz więcej liści i Sig szedł po nich, specjalnie szeleszcząc. Tam dalej był stary dom, przeznaczony do rozbiórki. Chciałby tam iść i popatrzeć, wszystko byłoby lepsze niż samotność przez cały dzień albo kręcenie się przy bandzie chłopaków, którzy nawet na niego nie spojrzą. Ale właśnie nadjechał autobus.

Dzień zaczął się kiepsko i był kiepski aż do końca. Czasami tak bywa. O czwartej Ras opadł niedbale na siedzenie w autobusie, wiozącym ich z powrotem. Wywrotowiec, co? Słyszał gadanie starego Keefera. Tak czy inaczej, nie podał im prawdziwego nazwiska, tylko "Ras". Nie jego wina, że Ben Crane to powiedział. Ben był z tych zbyt łagodnych dla białasów, których Shaka nazywał "Wujami Tomami". Może Shaka wyciągnie Rasa z tej głupiej szkoły i wkręci go na jakieś studia afrykańskie. Tu nie ma się z kim powłóczyć. Skrzywił się w kierunku siedzenia przed sobą.

Kim siedział nieruchomo, z tornistrem na kolanach. Dlaczego ten chłopiec nie chciał podać nauczycielowi swojego nazwiska? I co to za imię, "Ras"? Niczego nie rozumiał z tej nowej szkoły. Była za duża, cały czas ktoś ich poganiał. Bolała go głowa. To nie jest miejsce dla niego, ale jeżeli ośmieli się powiedzieć o tym tacie, może będzie musiał wrócić tam, skąd przyjechał?

Artie kopał nogą w podłogę autobusu. Dziś dobrze używał oczu i uszu, oj, tak. Ten Greg Ross to geniusz gry w nogę, pewniak w wyborach do rady uczniowskiej, o których tyle się gadało w pokoju nauczycielskim. Tylko się dostać do bandy Grega i załatwione. Szkoda, że Artie był za mały i za lekki do gry w piłkę. Ale wymyśli jakiś sposób, żeby pokazać Gregowi, że istnieje. Ważne rzeczy działy się tylko w gangu. Kto do niego nie należał - był nikim.

Sig zastanawiał się, o czym myśli siedzący obok Artie. Właśnie ci trzej mieszkali w jego okolicy. Artie z pewnością nie był przyjacielski - co do tamtych dwóch, nie wiadomo. Szkoła jest za duża. Można się zgubić. Artie chodził na nauki społeczne i matematykę. Cały czas starał się siedzieć koło Grega Rossa, jakby chciał, żeby Ross go zauważył. Do tego ten Ras - nie podawał prawdziwego imienia. Pokazać się z takim i kłopoty gotowe. A ten drugi?

Skąd wziął nazwisko Stevens? Był Chińczykiem, a może Wietnamczykiem. Nie odezwał się ani słowem podczas dwóch lekcji, na których widział go Sig. Zachowywał się, jakby się bał własnego cienia. Ale kanał, jeździć z tą bandą przez cały rok.

Kiedy autobus zawrócił, żeby wysadzić ich na rogu, Sig zauważył zmianę. Brama strzegąca starego domu zniknęła, żywoplot został zgnieciony, jakby jeździły po nim ciężarówki. Słyszał, że dom był przeznaczony do rozbiórki, mieli tam zrobić jakiś parking.

Sig zaczekał, aż pierwsza fala dzieci przebiegnie przez ulicę. Opuszczona posesja wyglądała ponuro. Podobno należała do jakiegoś starego człowieka, który nie chciał jej sprzedać, chociaż proponowano mu dużo pieniędzy. Jakiś głupek. W dodatku podróżował po obcych krajach i wykopywał z ziemi kości ludzkie i różne stare przedmioty.

W zeszłym roku, kiedy byli z klasą na wycieczce w muzeum, panna Collins pokazywała im w sali egipskiej i chińskiej eksponaty, które ten stary człowiek dał miastu. Kiedy zmarł, ukazał się o nim długi artykuł w gazecie. Mama odczytała go głośno i z wyraźnym zainteresowaniem, bo знаła panią Chandler, która kiedyś sprzątała stary dom. Niektóre pokoje były tam zamknięte na klucz, więc nie wiadomo, co się w nich znajdowało.

Co takiego ukrywał ten człowiek? Może skarb - takie rzeczy znajduje się w starych grobach i tego typu miejscach. Kiedy zmarł, co stało się z jego rzeczami? Czy zabrali je wszystkie do muzeum?

Sig stanął na zachwaszczonym, zarośniętym podjeździe. Nie chciałby tu wejść po zmroku. Ale co z tymi zamkniętymi pokojami? Może nikt ich jeszcze nie otworzył? Może dałoby się wejść do środka i znaleźć...

Po plecach chłopca przebiegł dreszcz. Można znaleźć skarb! A potem kupić rower, albo prawdziwą piłeczkę do baseballu i kij... Miał całą listę rzeczy, o których marzył. Gdyby zdobył choć jedną z nich, chłopaki wreszcie by go zauważyli, nawet ci ważniacy ze szkoły imienia Anthony'ego Wayne'a. Znaleźć skarb!

Tylko że to bardzo duży, ciemny dom. Sig nie chciał się tam kręcić sam. O tej porze roku szybko zapada zmrok, a autobus przywozi ich bardzo późno. Będzie potrzebował kogoś jeszcze, ale jedynym, którego mógł wziąć ze sobą, był Artie. Gdyby Sig powiedział mu o zamkniętych pokojach i skarbie może obudziłby się wreszcie, i zobaczył, że na świecie oprócz Grega Rossa są też inni ludzie. Tak, Artie na pewno wysłuchałby tego z zainteresowaniem. Poczekajmy do jutra.

Trudno było dopaść Artiego samego - Sig stwierdził to następnego dnia. Najpierw Artie spóźnił się na przystanek i wskoczył do autobusu tuż przed odjazdem, więc siedział z

przodu. Potem wysiadł i pobiegł, zanim Sig zdążył go złapać. Ale podczas przerwy Sig chwycił go za ramię.

- Słuchaj... - powiedział szybko, bo Artie się wyrywał, patrząc Sigowi przez ramię, żeby znaleźć w tłumie Rossa i jego kumpli. Słuchaj, Artie, muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Ross poszedł porozmawiać z panem Evansem, więc Artie, odprężony, spojrzał na Siga, jakby dopiero go zobaczył.

- Co? - powiedział ze zniecierpliwieniem.

- Widziałeś ten duży, stary dom, który mają zburzyć? Ten na rogu.

- Jasne. Co w tym ważnego?

Artie znów próbował spojrzeć ponad Sigiem. Ale ten zdecydowanie zasłonił mu sobą pole widzenia, chcąc załatwić swoją sprawę.

- Moja mama zna panią, która tam kiedyś pracowała. Powiedziała, że staruszek, właściciel domu, trzymał niektóre pokoje zamknięte na klucz, nie pozwalał jej nawet zajrzeć. Pamiętasz, jak w zeszłym roku byliśmy w muzeum i oglądaliśmy starocie, które podarował miastu - rzeczy z grobów, które wykopywał w różnych miejscach? Może nie oddał ich wszystkich, może niektóre są jeszcze w tych zamkniętych pokojach? Skarb, Artie!

- Oszalałeś. Na pewno nic już nie zostało, przecież dom jest do rozbiórki. - Ale Artie patrzył teraz na Siga, słuchał go. - Powinieneś to wiedzieć.

- Rano zapytałem mamę. Mówiła, że nikt nie był w środku od śmierci staruszka. Adwokat powiedział, że wszystkie rzeczy pójdą do Pomocy Społecznej, ale jeszcze nikt po nie nie przyjechał. Pani Chandler ma klucze do domu, dotąd nikt o nie nie prosił. To znaczy, że coś jeszcze może tam być.

- Skoro jest zamknięte, jak chcesz się dostać do środka? Sig wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Są na to sposoby. - Nie był do końca pewien, jakie, nie zamierzał się jednak Artiemu do tego przyznać. Im więcej o tym myślał, tym mocniej wierzył, że w opuszczonym domu jest skarb, który tylko czeka, żeby go odnaleziono. I nikomu nie zaszkodzi, że go wezmą, Staruszek nie miał rodziny. A skoro wszystko i tak miało iść do Pomocy Społecznej...

- Kiedy chcesz to zrobić? - Artie przestał się kręcić, słuchał teraz uważnie.

- Wziąłem latarkę. Lepiej spróbujmy dziś. Nie wiem, kiedy przyjdą ludzie z Pomocy Społecznej. Wczoraj zlikwidowano bramę, pewnie przygotowują dom do rozbiórki. Nie mamy wiele czasu.

- Dobrze. - zgodził się Artie właśnie w chwili, gdy zadzwonił dzwonek. - Po szkole.

Artie pobiegł szybko, żeby usiąść tuż za Gregiem Rossem, Sig poszedł na swoje miejsce z tyłu klasy. Odwracając się, wpadł na Rasa. Podśluchiwał? Sig pochylił się nad książką do matematyki. Im dłużej myślał o skarbie, tym bardziej wydawał mu się on realny. Gdyby Ras wpadł na pomysł, żeby też się po niego wybrać - cóż, Artie i on będą we dwóch na jednego, więc lepiej niech nie próbuje. O, nie!

Ras usiadł. Skarb w starym domu? Shaka wciąż powtarzał, że potrzebują pieniędzy dla Sprawy, dużo pieniędzy. Przypuśćmy, że Ras znalazłby skarb i oddał go Shace. W ten sposób by pomógł. Skarb w starym domu. Ci dwaj pójdą tam dziś. Nie było powodu, dla którego Ras nie mógłby pójść za nimi, zobaczyć, co robią, i czy coś znaleźli. Żadnego powodu.

Sig i Artie opuścili autobus prawie ostatni. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi, więc stali i rozmawiali przy wyrwie w murze, skąd wyszarpano bramę, czekając, aż wszystkie dzieci odejdą.

- Można iść. - Artie wydawał się tak zniecierpliwiony. - Kiedy mama zobaczy przechodzące dzieciaki, będzie się zastanawiać, dlaczego nie wracam do domu.

Sig się zawahał. Teraz, kiedy nadszedł czas, pomysł podobał mu się trochę mniej. Krzaki wyrosły bardzo wysoko, zwieszały się nad podjazdem, który prawie całkiem przysłaniały. Dzień był pochmurny i ciemny, chociaż jeszcze nie padało.

- No, idziesz czy nie? Najpierw tyle gadałeś o skarbie, a teraz co? Boisz się? - Artie, będący już parę kroków z przodu, odwrócił się.

- Idę, już idę. - Sig wyciągnął dużą latarkę kempingową.

Podjazd prowadził na tyły domu, gdzie stało parę innych zabudowań. Wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść -jeden nawet nie miał dachu. Ale główny budynek był w dobrym stanie, nawet szyby w oknach nie zostały stłuczone.

- Którędy wejdziemy? - zapytał niecierpliwie Artie.

Z boku były drzwi, które okazały się zamknięte. Drugie, tylne, wychodziły na ogrodzony przegniłymi i dziurawymi deskami ganek. Sig pociągnął jedną, rozpadła mu się w dłoni. Drzwi również były zamknięte, ale po obu ich stronach znajdowały się okna.

- Trzymaj! - Sig wcisnął latarkę w rękę Artiego, rzucił tornister na ganek i podszedł do najbliższego okna. Nie chciał, żeby Artie pomyślał, że się boi. Przecież to jego własny plan.

Z początku okno nawet nie drgnęło; potem jakoś je poruszył, ale z takim trudem, że Artie musiał mu pomóc je pchać. Ze środka dochodziła dziwna woń. Sig pociągnął nosem - zapach mu się nie podobał. Ale mogli wejść, a to się liczyło - przynajmniej tyle udowodnił Artiemu. Wdrapali się na parapet, Sig włączył latarkę i poświecił wokoło.

- To tylko kuchnia - powiedział Artie, kiedy dostrzegli zlew, bardzo duży piec, który w niczym nie przypominał pieców w nowych domach, oraz mnóstwo szafek.

- Jasne. - odpowiedział Sig. - A myślałeś, że co to będzie? To tylny ganek, więc obok jest kuchnia. - widok zwykłego zlewu i pieca sprawił, że poczuł się bardziej jak w domu.

Było dwoje drzwi. Artie otworzył pierwsze, za którymi kryły się schody, prowadzące w dół, w ciemność. Natychmiast je zamknął.

- Piwnica!

- Tak. - Sig czuł się pewniej, ale nie miał ochoty tam schodzić. Nie wiedzieć czemu był przekonany, że zamknięte pokoje pani Chandler nie znajdują się w piwnicy.

Drugie drzwi prowadziły do małego pomieszczenia, w którym przy wszystkich ścianach stały oszklone szafy. Szyby pokrywała gruba warstwa kurzu. Sig wytarł kawałek, żeby zobaczyć, co jest w środku, ale znalazł tylko mnóstwo naczyń. Drzwi z tego pokoiku prowadziły do dużej jadalni. Artie kichnął.

- Ale tu kurzu. To duży dom. Popatrz na stół. Na Święto Dziękczynienia mogłaby się przy nim pomieścić cała moja rodzina, a jest nas czternaścioro, licząc dziadków i tak dalej. Jeden facet w takim domu musiał się czuć głupio, tyle tu miejsca.

Sig wszedł już do następnego pokoju, z którego opuszczone rolety uczyniły mroczną ponurą jaskinię. W świetle latarki zobaczyli stoły, krzesła, sofę. Niektóre meble były przykryte prześcieradłami, inne gazetami. Dalej był hali z dwójgiem drzwi. Pierwsze prowadziły do pokoju z wielkim biurkiem i licznymi półkami, na których zostało jeszcze parę książek. Następne jednak nie otworzyły się, mimo szarpania Siga. Chłopak, podekscytowany, odwrócił się do Artiego.

- Zamknięte! To musi być jeden z pokoiów, o których mówiła pani Chandler.

Artie chwycił klamkę, próbując otworzyć drzwi.

- No tak, zamknięte. Jak zamierzasz je otworzyć? Może coś wyrecytujesz, jak gość w bajce, którą czytałem wczoraj siostrze. Artie odsunął się, uniósł w górę ramiona, jakby przygotowywał się do jakiegoś magicznego czynu i powiedział niskim głosem: - Sezamie, otwórz się!

- Czekaj. Tylko poczekaj. - Sig nie mógł zostać pokonany, nie teraz, kiedy Artie tak się z niego nabijał. Pobiegł do frontowego pokoju po pogrzebacz, który widział przy kominku. Ale kiedy wrócił, Artie był zaskoczony i przerażony.

- Słuchaj, Sig, jak tu coś zniszczysz, to narobisz sobie kłopotów. Słyszałem, że paru chłopaków włamało się do jakiegoś domu i coś popsulo. Potem zostali aresztowani i rodzice

musieli ich odbierać z komisariatu. Nie będę niczego psuł ani łamał. Jest już późno, mama będzie się o mnie martwić. Idę sobie!

- Idź. - odparł Sig. - Idź. Nie dostaniesz skarbu.

- Bo nie ma żadnego skarbu. A ty sam się prosisz o kłopoty, Sigu Dortmundzie!

Artie odwrócił się i uciekł. Przez chwilę Sig był gotów biec za nim. Potem z uporem wrócił do drzwi. Tam jest skarb, wiedział, że jest. Teraz sam go znajdzie. Niech sobie Artie ucieka; Artie jest tchórzem.

Sig niezręcznie podniósł pogrzebacz, ale zaledwie dotknął drzwi, te się otworzyły. Nie były zamknięte na klucz. Odrzucił żelazo i poświecił sobie latarką. Zobaczył dwa okna, zakryte okiennicami. Sig nigdy przedtem nie widział okiennic wewnątrz domu. Zwykle wisiały na zewnątrz. Właściwie nie wiedział nawet, że można je zamknąć. Pośrodku pokoju stał stół, przy nim krzesło i nic więcej. Oprócz pudełka na stole. Sig podszedł, żeby się przyjrzeć.

Szybko stał grubą warstwę kurzu. Latarka oświetliła kolory tak jasne, że zdawały się lśnić. Wieko pudełka podzielone było na cztery części, a w każdej znajdował się obrazek przedstawiający smoka.

Smok na górze był srebrny i miał skrzydła. Podnosił szponiaste przednie łapy, jakby zamierzał zaatakować. Jego czerwony jęzor, rozdwojony na końcu jak język węża, wystawał z pyska, a zielone oczy patrzyły prosto na Siga.

Trochę niżej, po lewej stronie, namalowany był czerwony smok z długim ogonem, który wyginał się w górę i w dół, zwężając ku końcowi. Smok po prawej stronie był zwinięty, jakby spał, jego wielka głowa spoczywała na łapach, oczy miał zamknięte. Był żółty. Smok na samym dole miał najdziwniejszy kształt. Jego ciało przypominało jakieś dzikie zwierzę; z przodu miał łapy, ale z tyłu wielkie, ptasie szpony. Trzymał wysoko swą długą szyję, zakończoną małą, węzową głową. Był koloru niebieskiego.

Sig otworzył pudełko, i jego zaskoczenie sięgnęło szczytu. W środku leżały kawałki układanki; bezładnie wrzucone elementy o dziwnych kształtach. Miały tak wyraźne kolory, lśniły tak jasno, jakby były brylantami, szmaragdami, rubinami. Sig dotknął je palcami, ale zaraz cofnął dłoń. Były dziwne! A jednak chciał dotknąć jeszcze raz.

Przykrył szkatułkę i podniósł, trzymając blisko siebie. Nie mógł jej zabrać do domu, rodzice zaczęliby go wypytywać. Ale zamierzał ją zatrzymać; znalazł ją, kiedy Artiego już nie było, więc Artie nie miał do niej prawa.

Artie miał rację co do jednego - robiło się późno. Musiał schować szkatułkę i wrócić następnego dnia. Poza tym nie obejrzał jeszcze reszty domu.

Schować - ale gdzie? W drugim pokoju wszystko było ponakrywane. Przypuśćmy, że Artie wróci sam albo komuś powie? To skarb Siga i on go zatrzyma!

Sig przeszedł przez hali i wsunął szkatułkę pod jedno z prześcieradeł. Wychodząc z domu zostawił uchylone drzwi. Biegając podjazdem nie zauważył sylwetki ukrytej w cieniu na pół uschniętego krzewu bzu.

2. FAFNIR

Następnego ranka Sig krył się w tłumku na przystanku nie chcąc, żeby Artie zadawał mu jakiegokolwiek pytania. Kiedy jednak wsiadł do autobusu i stwierdził, że Artiego nie ma, poczuł niezadowolenie. A jeśli Artie komuś powiedział? Starał się nie myśleć o tym, co Artie mógł zrobić albo właśnie robił. Chłopaka nie było na pierwszej lekcji i nie pokazał się też na matematyce. Sig czuł się coraz niewyraźniej]. Głupio postąpił, dopuszczając Artiego do tajemnicy. Dziś weźmie pudełko ze smokami ze starego domu. Potem...

Reszta dnia była dla niego pasmem nieszczęść. Z matematyki pisali klasówkę, która miała sprawdzić, czy zapamiętali coś przez wakacje. Sig odkrył, że nie rozumie niektórych zadań. Pan Bevans w Lakemount School nigdy nie uczył ich takich rzeczy.

A potem w stołówce - samotne jedzenie to nic przyjemnego. Wszyscy już mieli swoje bandy albo przynajmniej kolegów, z którymi mogliby siedzieć. Z wyjątkiem takich palantów, jak ten mały Stevens, albo Ras. Ci siedzieli sami, jednak Sig z pewnością nie zamierzał się przyłączyć do żadnego z nich. Artie się nie pokazał, co oznaczało, że nie przyszedł dziś do szkoły.

Popołudnie ciągnęło się i ciągnęło. Sig myślał, że już nigdy się nie skończy. W końcu poczłapał do swojej szafki, wetknął do tornistra książkę do matematyki i notatki z nauk społecznych, po czym poszedł na przystanek. Pięć zadań z matematyki - a on wciąż nie rozumiał, jak sieje rozwiązuje. Ten pan Sampson był bardzo srogi i myślał, że każdy wszystko chwyci od razu, kiedy on nabazgrze coś na tablicy i powie szybko "to jest..." i "to jest...". Potem rozglądał się wokoło i warczał: "Rozumiecie?". Tylko że z jego głosu wyraźnie wynikało, że trzeba powiedzieć "tak" bez względu na to, czy się rozumiało, czy nie. A Sig nie rozumiał.

Nie był mózgowcem, zawsze o tym wiedział. Ale kiedy miał czas i znajdował kogoś, kto miał ochotę przerobić z nim materiał... W Lakemount nie szło mu aż tak źle. Gdyby tylko nie robiło się wszystkiego w takim pośpiechu, jak w szkole imienia Anthony'ego Wayne'a. Pośpieśnie wyglądał przez okno, zastanawiając się, czy cały rok będzie taki okropny.

Ras bawił się zeszytem, od czasu do czasu rzucając okiem na Siga. Co ten duży i Artie robili wczoraj w starym domu? I dlaczego Artie wybiegł w takim pośpiechu, a Sig został? Ras nie powiedział o tym jeszcze Shace. Zastanawiał się. Przypuśćmy, że zrobili w domu coś takiego, że przyjedzie policja - kogo obwinia? Ras pokiwał głową. Zawsze to samo, mówił Shaka. Kiedy policja szuka kogoś, żeby go posądzić o jakieś przestępstwo, najpierw wybiera

czarnych. Czy powinien być mądry i trzymać się od tego z daleka, czy śledzić Siga, jeśli ten pójdzie dziś do starego domu? Ale dlaczego Sig został, kiedy Artie wybiegł tak szybko? Ras musiał poznać powód. Tak, będzie śledził Siga, jeśli ten znów pójdzie do starego domu.

Kim siedział, wbijając wzrok w tornister. W duchu czuł się zagubiony i pusty, było mu prawie tak źle, jak w Hongkongu, kiedy staruszka umarła i zostawiła go samego. Nigdy się nie dowiedział, czy była jego babcią, czy nie. Czasami mówiła, że tak, czasami krzyczała na niego brzydkie słowa, nazywała go zerem o twarzy grzyba. Ale przynajmniej wiedziała, że on żyje. Po jej śmierci nie miał nikogo, aż pewnego dnia poszedł do misji, kryjąc się za innymi chłopcami, którzy mieli nadzieję, że dostaną talerz makaronu.

Nakarmili go. Potem wszystko się zmieniło. Najpierw był w sierocińcu misji. Potem poznał Tatę i przyjechał do Ameryki. Teraz znów czuł się samotny. Nikogo w szkole nie obchodziło, czy on, Kim Stevens, w ogóle tam jest. Czasami czuł się niewidzialny, jak demony, którymi zwykle straszyla go staruszka. A gdyby mógł zmienić się w demona, jednego z tych potworów o czerwonych twarzach, które widział namalowane na ścianie świątyni? I gdyby to się stało w obecności całej klasy? Wtedy wszyscy by wiedzieli, kim jest.

Czy powinienem iść po pudełko ze smokami dzisiaj? - zastanawiał się Sig. Chciał się dowiedzieć, co się stało z Artiem, sprawdzić, czy chłopiec powiedział komuś o wczorajszej wyprawie. Ale jeśli pracownicy Pomocy Społecznej przyjadą wcześniej i zabiorą wszystko z domu? Tak, lepiej pójdzie po pudełko dziś, a potem poszuka jakiegoś miejsca, żeby je schować. Tylko dlaczego pragnie tego tak strasznie? Sig był trochę zdziwiony własnymi odczuciami. Nigdy przedtem nie interesował się układankami. Cóż, ta była jednak inna. I wiedział, że musi ją mieć.

Zrobi tak, jak poprzedniego dnia: zaczeka, aż dzieciaki rozejdą się z przystanku, potem pójdzie i weźmie pudełko. Jednak myśl o tym, że będzie w tym domu sam, nie była przyjemna. Pokoje są takie duże i ciemne, a on nie wziął latarki.

Zachmurzyło się. Sig pomyślał, że musi zdążyć do domu przed deszczem, bo inaczej mama zada parę pytań trudniejszych niż dzisiejsze zadania z matematyki. Na szczęście Sig dobrze pamiętał, gdzie zostawił pudełko: pod prześcieradłem na siedzeniu małej kanapki.

Autobus jechał bardzo długo, ciągle się zatrzymywał, żeby wysadzić dzieciaki. Sig kopał obcasami w podłogę i żałował, że nie może wysiąść i pobiec. Na pewno dotarłby na miejsce szybciej.

Kiedy autobus wreszcie dojechał do rogu, było tyle chmur, że Sig nie miał odwagi wejść do domu. Artie... Myśl o Artiem podsunęła mu nowy plan. Czuł się prawie tak, jakby ktoś mówił mu, co robić, krok po kroku. Był tak zadowolony ze swojego pomysłu, że postanowił jak najszybciej wprowadzić go w życie. Poszedł prosto do domu.

Kiedy wchodził przez drzwi frontowe, poczuł się niepewnie. To, co miał powiedzieć mamie, nie było do końca prawdą. Ale to mogła być jedyna szansa na zabranie pudełka. A Sig musiał je mieć.

- Mamo? - nikt nie odpowiedział na jego wołanie. Sig wszedł do kuchni.

Na stole stała taca z ciasteczkami. Kiedy Sig sięgnął po jedno z nich, zauważył karteczkę opartą o krawędź talerza. Mamy nie było, poszła do cioci Kate. Minie godzina, może więcej, zanim tata wróci do domu. Czyli Sig nie będzie musiał opowiadać wymyślonej historii o tym, że zanieśe Artiemu lekcje. Bez problemu pójdzie po pudełko i nikt się o tym nie dowie.

Gryząc kolejne ciasteczko, Sig wziął latarkę i włożył płaszcz przeciwdeszczowy. Już padało. Tym lepiej, nikt nie będzie się kręcił po okolicy i nie zobaczy, jak Sig wchodzi do starego domu.

Przygoda go ekscytowała - teraz już cieszył się, że jest sam. Założyłby się, że Artie, a nawet Greg Ross, baliby się wejść do domu sami, po ciemku. Ale on, Sig Dortmund, wcale się nie bał.

Na podjeździe starego domu leżało mnóstwo liści, deszcz przyklejał je do popękanego betonu. Sig poszedł naokoło, do tylnego ganku. Trudniej było otworzyć okno, kiedy nie było do pomocy Artiego. Pchnął ramę cegłą ze schodów. Potem pobiegł przez kuchnię, spiżarnię, ciemną jadalnię aż do salonu, gdzie zostawił szkatułkę. Ale prześcieradło było odsunięte, a szkatułka zniknęła!

Artie! Sigowi zrobiło się gorąco od gniewu. Artie przyszedł i ją zabrał. Dłoń Siga zacisnęła się w pięść. Nie pozwoli, żeby koledze uszło to na sucho. To jego pudełko, znalazł je, kiedy Artie już uciekł. Artie będzie musiał je oddać!

Sig zatrzymał się w hallu. Skąd Artie wiedział o pudełku? Może... Może on tylko udawał, że odchodzi, schował się gdzieś i obserwował a potem, postanowił zabrać układankę, kiedy tylko Sig wyjdzie! Cóż, Artie ją odda, nawet jeśli Sig będzie musiał iść do jego domu.

Nagle Sig zamarł. Dźwięk, jakieś skrobanie. Dochodziło z pokoju, gdzie znalazł pudełko. Artie! Może Artie jeszcze tam jest, może uda się go złapać! Sig przeszedł na palcach przez hali, do półprzymkniętych drzwi. Artie nie spodziewał się Siga, bo wtedy by się schował. Czyli Sig może go zaskoczyć...

Zatrzymał się przy drzwiach. W pokoju było jaśniej niż wczoraj. Jedna z okiennic została otwarta. Oto i on, przy stole z układanką!

- Mam cię! - Sig zapalił latarkę, chwytając stojącą postać w snop światła.

Tylko że to wcale nie był Artie. Stał tam ten cały Ras i trzymał pudełko. Wieczko było otwarte, niektóre kawałki układanki leżały na blacie stołu. A niech to diabli!

- Daj mi to! - Sig ruszył w stronę chłopaka. - To moje! Co ty sobie myślisz?

- Twoje? - Ras wyszczerzył zęby, Sigowi nie podobał się ten uśmiech, ani ton głosu, kiedy Ras dodał: - Kto ci je dał? Kto znalazł, ten zatrzymuje.

- To moje! - nie wiedzieć czemu wzięcie pudełka w ręce wydawało się Sigowi najważniejszą rzeczą na świecie. Ale zanim zdążył je chwycić. Ras odepchnął pudełko i wiele kawałków wypadło na zakurzony stół. Kolory błyszcząły, jakby układanka naprawdę była zrobiona z klejnotów.

- Twoje? - powtórzył Ras. - Nie wydaje mi się. Myślę, że je tu znalazłeś, a teraz chcesz ukraść. To należy do właściciela domu, nie do ciebie. Prawda? Ukradłeś to, białasię. Twoja rasa kradnie mnóstwo rzeczy. Mój brat ma rację, białasię. Twoja rasa to nic dobrego.

Ras specjalnie potrząsnął mocniej szkatułką i wysypało się z niej trochę kawałków układanki. Sig krzyknął i próbował wyrwać pudełko Rasowi, ale chłopak z łatwością go odepchnął. Sig odrzucił latarkę i skoczył do walki. Był niezdamny, ale przewrócił Rasa, który puścił swą zdobycz, żeby się bronić.

Sig wdawał się już w bijatyki, ale ta była o wiele prawdziwsza niż wszystkie poprzednie. Zdawało się, że Ras naprawdę chce go skrzywdzić, a Sig odkrył, że czuje to samo. Ale chociaż celowali w siebie, niewiele ciosów trafiło. Zdeterminowany Sig zdołał wypchnąć Rasa do hallu. Wściekłość, która narastała w Sigu od chwili, kiedy odkrył, że szkatułka zniknęła, sięgnęła szczytu. Rzucił się na Rasa w ślepej furii.

Ras uciekał, jakby coś w Sigu nagle go przeraziło, jakby chciał się wydostać na zewnątrz. Przebiegli przez hali i ciemne pokoje. W jadalni Sig potknął się o krzesło, które Ras rzucił mu pod nogi. Chłopiec upadł, a kiedy się podniósł, jego gniew nieco zelżał. Gdy dotarł do kuchni. Ras był już przy oknie, próbując odciągnąć oporną ramę. Sig podskoczył i złapał przeciwnika za kurtkę.

- O, nie! - próbował odciągnąć Rasa, chociaż ten mocno trzymał się parapetu.

Nagle niebo przecięła błyskawica, tak jasna, jakby trafiła w stary dom. Ras puścił parapet, przerażony błyskiem. Sig odciągnął go od okna.

Ras wyszarpnął się z uścisku Siga. Ale, z powodu błyskawicy stracił orientację w przestrzeni, nie pobiegł do okna, lecz przez kuchnię do drzwi piwnicy. Zniknął za nimi, zanim Sig zdołał się poruszyć.

Biały chłopiec usiadł. Kiedy przeciwnik wyrwał mu się, stracił równowagę i wylądował na podłodze. Za Rasem zatrzasnęły się drzwi. Sig rozejrzał się po kuchni. Powinien wziąć pudełko i pozbierać wszystkie kawałki układanki, które Ras rozsypał na stole i podłodze. Ale jeśli wyjdzie z kuchni, Ras może wydostać się z piwnicy i donieść na niego - albo znów zacząć walczyć o szkatułkę.

Sig wstał na nogi. Był obolały po uderzeniu o krzesło w jadalni. Chwiejnym krokiem podszedł do stołu i zaczął go pchać po zakurzonej podłodze. Stół był duży i ciężki, trudny do poruszenia, ale wreszcie udało się zastawić nim drzwi do piwnicy. Teraz Ras będzie sobie tam siedział, aż Sig, zanim go wypuści, najpierw każe mu obiecać parę rzeczy. Czuł się dziwnie, jakby to wcale nie on, Sig Dortmund, postępował w ten sposób. Jakby w jego ciele znalazł się ktoś - albo coś. Ale przecież coś takiego nie mogło się zdarzyć. Nie, był Sigiem Dortmundem i zamierzał wziąć swoją szkatułkę. To jego szkatułka! Potem policzy się z Rasem.

Wrócił do pokoju. Latarka, wciąż włączona, poturlała się pod ścianę, rzucając na podłogę snop światła. W którym migotały kawałki układanki. Szkatułka leżała na boku, zupełnie pusta. Sig szybko złapał pudełko, żeby sprawdzić, czy nie jest połamane. Jeśli Ras coś zniszczył...!

Ale wszystko było w porządku. Sig zaczął zbierać rozsypane kawałki i wrzucał je do środka najszybciej, jak mógł. Były delikatne, miały bardzo wyraźne kolory. Wziął całą garść - czerwone, zielone, srebrne - srebrne na pewno są ze srebrnego smoka na obrazku. A czerwone - pewnie z czerwonego, a niebieskie... żółte...

Zebrał już wszystkie kawałki z podłogi, świecąc sobie latarką. Rozglądał się uważnie, by mieć pewność, że żadnego nie zostawił. Niektóre fragmenty były bardzo małe, łatwo było je przeoczyć. Sig pełzał na czworakach, wzbijając przy tym tyle kurzu, że zaczął kasłać. Ale przynajmniej upewnił się, że ma wszystkie kawałki.

Na stole leżało ich więcej. Ile ma jeszcze czasu? Tata niedługo wróci do domu, a jeśli nie zastanie syna - cóż, czeka go dużo pytań. Chyba po prostu powinien szybko schować wszystkie elementy do szkatułki.

Ale kiedy Sig wyprostował się, żeby to zrobić, jego ręka zaczęła poruszać się coraz wolniej i wolniej. Patrzył na stół. Widział już przedtem różne układanki, ale ta była inna. Trzy

błyszczące srebrne kawałki leżały połączone. Zapewne są częścią srebrnego smoka. A tu kolejny element, który idealnie pasuje!

Sig usiadł w fotelu, opróżnił szkatułkę, którą tak niedawno zappełnił, i zaczął szukać srebrnych kawałków, jakby nic innego na świecie się nie liczyło. Chociaż w pokoju było ciemno, nie potrzebował światła, bo kawałki układanki zdawały się świecić same. Co więcej, kiedy je łączył, i właściwe elementy się dotykały, światło stawało się jaśniejsze. A Sigowi wcale nie wydawało się to dziwne.

Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, kiedy jego palce przeczesywały stopy kawałków, żeby wydobyć te srebrne. W głowie miał tylko jedno: złożyć smoka. Musiał zobaczyć go całego.

Dotykając poszczególnych elementów, zorientował się, że układanka była o wiele grubsza niż te, które widział wcześniej, zrobione z drewna. Po drugiej stronie kawałków znajdowały się dziwne czarne znaki, które mogły być drukiem, ale nie tworzyły żadnego znanego mu słowa. Wyglądały jak rzędy małych, nieregularnych gałązek. A kiedy przyglądał się im bliżej, z jego oczami działo się coś dziwnego, więc szybko odwracał elementy obrazkiem do góry.

Srebrne części. Sig jeszcze raz sprawdził w szkatułce, czy ma je wszystkie, po czym zabrał się do pracy. Czasami miał szczęście i cały fragment szybko się łączył, czasami zaś musiał szukać i szukać jednego brakującego kawałka. Potem okazywało się, że miał całkiem inny kształt, niż Sig przypuszczał.

Deszcz smagał okna i ściany starego domu. Było coraz więcej błyskawic, rozlegały się głuche pomruki grzmotów. Ale Sig nie zwracał uwagi na burzę. Miał już skrzydła smoka, grzbiet; jedna tylna noga była też gotowa do połączenia. Odnalazł następny brakujący kawałek.

Głowę składał na końcu, była najtrudniejsza. Zdawało się, że brakuje paru kawałków, więc Sig szukał z rosnącym zdenerwowaniem. Jeszcze raz przyjrzał się obrazkowi na wieku szkatułki i zorientował się, że smok nie jest cały srebrny. Miał czerwone oczy i czerwony język, gdzieśgdzie zdarzały się zielonkawe elementy. Sig pośpiesznie poszukał w pudełku.

Czerwone kawałki, zielone kawałki. Ale w szkatułce było tyle czerwieni i zieleni! Niektóre elementy wypadły na podłogę, Sig musiał się schylić z latarką, żeby je podnieść. Ale wreszcie znalazł coś, co mogło być brakującą częścią układanki.

Dopasował kawałek z błyszczącym okiem, które zaśniło, jakby na niego patrzyło! Sig wytarł o kurtkę rękę, którą trzymał ten kawałek. Element był dziwny w dotyku, prawie śliski. Nie podobało mu się to. Ale wciąż był zafascynowany układaniem. Teraz zielony fragment,

który tworzył zakrzywiony róg na nosie, smoka. Tak, a tu język, albo jego część. Palce znów znalazły właściwe kawałki, jakby wiedziały, gdzie szukać.

Już jest - nie, nie całkiem. Kiedy porównał układankę ze smokiem z obrazka, okazało się, że brakuje jednego maleńkiego kawałka. Był to rozdwojony koniec języka, uniesiony, strzelający z otwartej paszczy smoka jak włócznia. Skąd takie skojarzenie?

Sig przemieszał kawałki w szkatułce. Tylko koniec języka. Na pewno się nie zgubił. Muszę go znaleźć, pomyślał.

Nagle zobaczył kawałek, z narysowanymi z tyłu czarnymi pałeczkami. Włożył go prosto na miejsce.

Oparł się w fotelu. Potrzeba złożenia smoka już go nie nękała.

Smok - wielki, srebrny smok, gotów do szarpania, kąsania i zabijania.

Smok... Fafnir...

Kim - czym - był Fafnir? Część umysłu Siga powtarzała to pytanie w zimnym, ostrym strachu. Druga jego część wiedziała.

Smok wyrzucał z siebie kłęby dymu i ryczał. Sig czuł okropny zapach. Smok obracał się tak szybko, że z jego srebrnych łusek wydobywały się iskry. Chłopiec słyszał uderzenia i donośny szczeł.

SIG SZPONORĘKI

Od urwiska wiał zimny wiatr, przesywający jak miecz, przenikający do szpiku kości. Sig Szponoręki zadrżał, ale nie przysunął się do gorącego pieca, skąd iskry padały jak gwałtowny deszcz, a hałas kowalskiego młota niemal ogłuszał. Dziś z rozkazu Mimira, mistrza kowalskiego, nikt nie mógł się przyglądać pracy w kuźni. Albowiem sam Sigurd Syn Królewski kuł metal, który wybrał osobiście, żeby zrobić miecz - miecz, który przetnie zbroję Amiliara.

Sig Szponoręki potarł pierś skreconymi palcami, z powodu których tak go przezywano. Pod luźnym płaszczem z kudłatego wilka kryła się podrapana skóra ubrudzona pyłem z węgla drzewnego. Czasami myślał nawet, że jest raczej leśnym trollem niż prawdziwym człowiekiem. Wszyscy wiele słyszeli o zbroi Amiliara, o tym, że kto będzie ją nosił, nie musi się lękać włóczni ani miecza wykutego przez śmiertelnego człowieka. Przechwałki te obiegały świat, a Mimir (który, jak mówiono, był starej krwi krasnoludzkiej, i pochodził z tych, którzy kuli metal dla bohaterów Asgardu) marszczył brwi, wydymał wargi i ciskał ostre słowa na prawo i lewo, aż wszyscy dookoła poczuli ciętość jego języka.

W końcu podniesionym głosem poprzysiągł wykuć ostrze by pokazać wszem i wobec, że Amiliar nie jest najlepszym kowalem świata. Nawet król Burgundczyków postawił dużą sumę na wynik tego pojedynku.

Mimir jednak nie zajął się wykuwaniem sam, bo miał wizję. Poprosił więc, aby zrobił to Sigurd Syn Królewski. Siedem dni i siedem nocy pracował Sigurd nad metalem, a potem zaniósł ostrze do strumienia, który płynął u stóp urwiska. Tam Mimir rzucił na wodę nić wełny, a Sigurd trzymał ostrze w strumieniu, tak że nić płynęła na nie z prądem - i została przecięta. Wszyscy, którzy pracowali w kuźni, głośno zakrzyknęli. Ale Sigurd Syn Królewski i Mimir spojrzeli sobie w oczy. Sigurd wziął miecz, połamał go na kawałki, żeby go jeszcze raz rozgrzać, wykuć i wypróbować.

Potem hartował go w świeżo dojonym mleku. Wziął też mąkę owsianą, która, jak wiedzą wszyscy kowale, daje siłę metalowi, podobnie jak ludziom. Pracował jeszcze trzy dni. Potem poszedł z wykutym mieczem do strumienia i tym razem przeciął kłęb wełny, nie targając nawet nici. Tylko że znów wymienili spojrzenia z Mimirem. Uniósł ostrze wysoko nad skałę i opuścił je z siłą prawdziwego wojownika, tak, że miecz pękł. Zebrał kawałki i znów poszedł do kuźni.

To stało się rano, a teraz była już noc. Sig Szponoreki doskonale widział, że młot opada wolniej i z mniejszą siłą. Widział, jak ramiona Sigurda słabną i wiedział, że Mimir przechadza się w tę i z powrotem nad strumieniem, który, jak mówią, daje wielką wiedzę tym, którzy ośmielą się z niego napić.

Wiał wiatr, przynosząc chłód zimy, zamiast spodziewanej świeżości wiosny. Sig Szponoreki ukucnął i skulił się, obejmując ramionami podciągnięte kolana. Tęsknił za ciepłem paleniska, ale wiedział, że nie powinien się teraz do niego przysuwać.

Potem na poziomie swoich oczu ujrzał dwie stopy obute w źle wykończone ciżmy podróżne. Powoli podnosząc głowę, zobaczył tunikę koloru nieba przed burzą i kraniec szarego płaszcza. Spojrzał wyżej, na niebieski kaptur, zakrywający ciemną twarz. W twarzy tej widać było jedno oko, drugie zasłonięte było przepaską z wełny. Ale to jedyne oko patrzyło na Siga tak, że chciał uciec. Jednak siła tej postaci trzymała go w miejscu, i sprawiała, że drżał jeszcze bardziej niż od lodowatego wiatru.

- Idź do Sigurda, Syna Królewskiego i przekazaj, aby wyszedł. Ktoś chce z nim mówić.

Mimo że głos nieznanego był cichy, nie znosił sprzeciwu. Sig szybko wstał i tyłem poszedł do kuźni, bojąc się odwrócić wzrok od oka, które na niego patrzyło. Dopiero kiedy skrył się w cieniu drzwi, uwolnił się od tego spojrzenia. Poszedł do kowadła, przy którym stał wyprostowany Sigurd; ogień rzucał czerwone błyski na jego twarz i długie, żółte włosy, teraz

ściągnięte do tyłu, gdyż pracował szczypcami. Chociaż naprawdę był królewskim synem, miał na sobie zniszczoną tunikę, skórzany fartuch, słomiane buty, czyli nawet nie strój kowalskiego mistrza, lecz zwykłego czeladnika. Ale patrząc na niego, każdy wiedziałby, że to mąż królewskiej krwi.

Sigurd oparł młot o kraniec kowadła i pochylił się, żeby spojrzeć na swoją pracę. Na jego zmęczonej twarzy pojawił się grymas, jakby to, na co patrzył, nie bardzo mu się podobało. Sig ośmielił się powiedzieć:

- Panie, przy drzwiach jest ktoś, kto chce z tobą mówić.

Twarz Sigurda była jeszcze bardziej zagniewana, kiedy się odwrócił. Sig cofnął się o krok, mimo że Sigurd Syn Królewski, nie bił bez powodu i był miłszy niż większość ludzi, których w swym krótkim życiu poznał Sig.

- Nie będę mówić z nikim, póki to zadanie... - głos Sigurda był twardy jak metal, nad którym pracował jego właściciel.

Potem od drzwi dobiegły inne słowa. Chociaż nie brzmiały tak głośno, jak słowa Sigurda, było je doskonale słychać.

- Ze mną mówić będziesz, synu Sigmunda z Volsungów! Sigurd Syn Królewski odwrócił się i patrzył, podobnie jak Sig. Mimo że zapadł mrok, widzieli nieznajomego tak wyraźnie, jakby jego szare szaty i niebieski kaptur przetykane były światłem. Sigurd opuścił miecz i podszedł, żeby spojrzeć na przybysza. Sig ośmielił się iść o krok za nim. To był najodważniejszy czyn, jakiego w życiu dokonał. Nieznajomy miał w sobie coś, co sprawiało, że wydawał się straszliwszy niż Mimir.

Przybysz odwinął połę płaszcza, przerzuconą przez prawe ramię. Wyjął z niej kawałki ciemnego metalu, które, gdy padło na nie światło z paleniska, zalśniły jak klejnoty z rękojeści królewskich mieczy.

- Synu Volsungów, weź swe dziedzictwo i wykorzystaj je należycie.

Sigurd Syn Królewski wyciągnął obie ręce i wziął kawałki metalu od nieznajomego. Jego dłonie lekko drżały, jakby mężczyzna obawiał się tego, co w nich trzyma. Sig zobaczył, że były to części połamanego miecza.

Ale nieznajomy patrzył teraz na Siga, więc chłopak próbował podnieść swą koślawą dłoń, żeby osłonić twarz. Nie mógł jednak dokończyć gestu - zamarł pod spojrzeniem straszliwego oka.

- Niech chłopak dmie miechem podczas roboty - powiedział nieznajomy - gdyż tak jest powiedziane w przepowiedni, której zrozumieć nie możesz nawet ty, Sigurdzie Volsungu.

To mówiąc odszedł. Na zewnątrz pozostała tylko ciemność. Mógł się zapaść pod ziemię albo wleciec w czarne niebo nocy. Ale Sigurd już odwracał się do paleniska.

- Chodź, Sig! - nie powiedział "Szponoreki", więc Sig tym bardziej chłonał każde jego słowo. - Przed nami dużo roboty.

Pracowali całą noc, kując nie metal Mimira, lecz połamane kawałki, które przyniósł nieznajomy. Sig nie czuł zmęczenia, i chętnie pomagał we wszystkim, co nakazał Sigurd.

Rano ostrze leżało już gotowe do sprawdzenia. Sigowi zdawało się, że jest w nim trochę migocącego światła, które unosiło się w ciemności za tajemniczym gościem. Dłoń Sigurda opadła na garbate ramię chłopaka.

- Wykuty, i, jak myślę, wykuty dobrze. Chodźmy go wypróbować.

Wziął miecz i niósł przed sobą, niczym pochodnię. Wyszli na światło dzienne. Czekał na nich Mimir, reszta czeladników i ci, którzy wiedzieli, co się święci. Mistrz kowalski ze świstem wciągnął powietrze, widząc niesione przez Sigurda ostrze.

- Znow więc został wykuty Balmung, który pochodzi z kuźni Ojca Nas Wszystkich. Dobrze, że niesiesz go ostrożnie, Sigurdzie Synu Królewski, gdyż kiedyś doprowadził on ludzi z twego własnego klanu i twojej krwi do strasznego końca.

- Każdy miecz może przynieść śmierć wojownikowi - odparł Sigurd - dlatego jest tak ostry. Ale Balmung, będąc tym, czym jest, może wygrać dla ciebie zakład. Sprawdźmy.

Próba była trudna, bo puścili z prądem cały ściśle zwinięty kłębek wełny, który podskakiwał na falach. Sigurd nie ciął mieczem; stał po uda w wodzie, trzymając ostrze na drodze kłębka. Wełna została czysto przecięta. Był to cud.

Sigurd wyszedł na brzeg i ostrożnie położył miecz na kwadratowej; delikatnej chuście, którą przygotował Mimir. Potem rozpostarł ramiona i powiedział ze śmiechem:

- Dobrze jest powiedziane, że ten, kto tęskni za sławą wśród ludzi, musi się natrudzić. Aleja chyba dość się natrudziłem, mistrzu. Pozwól mi teraz odpocząć.

Gdyż Sigurd, mimo iż był synem królewskim, zachowywał się zawsze jak wszyscy inni zwykli ludzie, którzy chcieli się nauczyć fachu Mimira, - nigdy nie prosił o więcej, niż oni.

- Dobrze. - Mimir skinął głową, zajęty owijaniem miecza. - Idź odpocząć.

Sigurd odwrócił się i wyciągnął rękę do Siga. Chłopiec ujął ją niezręcznie. Jego prawa dłoń przypominała przecież szpony, dlatego starał się nigdy jej nie pokazywać.

- Oto jeszcze jeden, który dzielnie służył przez całą noc. Chodź, Sigu, i wypocznij jak dobry pracownik. - Dłoń Sigurda, mocno trzymająca jego dłoń, pociągnęła go w kierunku miejsca, gdzie spali kowale.

- Mistrz. - Sig się ociągał. - To się nie godzi. Jestem tylko chłopakiem od paleniska, więc śpię w popiele. Widzisz, jestem brudny, nie pasuję do tego miejsca. Mistrz Veliant i inni czeladnicy będą źli.

Sigurd potrząsnął głową, wciąż prowadząc Siga.

- Ten, komu tamten nieznajomy kazał pracować w swej służbie, nie musi chylić czoła przed nikim. Chodź i odpocznij.

Zrobił mu miejsce u stóp własnego pośłania, więc Sig spał wygodniej niż kiedykolwiek, odkąd pamiętał. Stał się cieniem Sigurda Syna Królewskiego. A kiedy inni czeladnicy ośmielali się powiedzieć coś przeciw niemu, Sigurd się śmiał i mówił, że Sig przynosi szczęście, więc trzeba o niego dbać. Chociaż innym się to nie podobało, nie ośmielali się podnieść głosu na Sigurda.

Jednak przed wyruszeniem na pojedynek z Amiliarem, Sigurd wziął Siga na bok i przemówił do niego. Powiedział, że podróż będzie długa i lepiej, żeby Sig został w kuźni. Sig zgodził się, chociaż z ciężkim sercem. Liczył dni nieobecności Sigmunda i Mimira, zaznaczając je patykiem na wygładzonej ziemi. Na czas, gdy ich nie będzie, wyznaczył sobie nowe zadanie. Zamierzał nauczyć się jak najwięcej - może pewnego dnia nie będzie musiał już być tylko chłopcem od paleniska, nie będą go poszturchiwać i dawać mu najpodlejszej roboty. Bo skoro Sigurd odjechał na wyprawę, z Sigiem znów nikt nie będzie się liczył.

Codziennie ćwiczył podnoszenie ciężkich młotów - próbował je opuszczać prosto na kowadło i za każdym razem, gdy mu się nie udało, rozpaczał. Ale pamiętał, jak pracował Sigurd - każde niepowodzenie przyjmował z podniesioną głową i wolą podjęcia kolejnej próby. Tego dnia, kiedy Sig po raz pierwszy opuścił średni młot w prawdziwym uderzeniu, Mimir i jego ludzie wrócili z wyprawy.

Wrócili ze śpiewem na ustach, a wozy zaprzężone w woły pełne były wspaniałych rzeczy, o które założyli się Burgundczycy i przegrali. Opowiadali o tym, jak Amiliar, odziany w swą doskonałą zbroję, usiadł na szczycie wzgórza i zachęcał Mimira, żeby wypróbował swój miecz. I o tym, jak Mimir wspiął się na wzgórze i stanął przed Amiliarem bardzo niski, z powodu swej krasnoludzkiej krwi. I o tym, jak miecz Balmung rozbłysł w słońcu, oślepiając ludzi. Potem opadł, a Amiliar wciąż stał. Burgundczycy podnieśli krzyk zwycięstwa, ale Mimir końcem Balmunga dotknął ramienia Amiliara. Wtedy jego ciało opadło na ziemię i wszyscy zobaczyli, iż został przecięty tak równo, że choć wciąż wydawał się żywy, był już martwy...

Wszyscy chwalili Sigurda za wykucie takiego miecza, Sigurd jednak potrząsnął głową, mówiąc, że to zasługa wyłącznie Mimira i jego nauk - że to największy kowal, jaki

kiedykolwiek stąpał po ziemi. Mimir gładził swą krótką brodę i wyglądał na zadowolonego. Nakazał wydać ucztę, a potem podzielił się z domownikami częścią łupów zdobytych na Burgundczykach.

Ale niektórzy starsi czeladnicy krzywo patrzyli na Sigurda. Szeptali między sobą, że może on i jest synem króla, ale król z pewnością nie lubi go za bardzo, bo nie odesłałby go ze dworu do zwykłej pracy przy młocie i kowadle. Zatem musi się w nim kryć coś złego, o czym król już wie, a inni dowiedzą się na swą zgubę.

Kiedy tak szeptano, Mimir wyruszył na jedną ze swych wypraw. Wziął miecze, ostrza włóczni i trochę burgundzkich łupów na handel z ludźmi z południa, którzy przybyli statkiem przez Gorzką Wodę.

Od jego wyjazdu minął zaledwie jeden dzień, kiedy Veliant, najstarszy pośród czeladników, przyszedł do Sigurda i powiedział:

- Nie wystarczy nam węgla drzewnego do końca sezonu. O tej porze roku chodzimy zwykle do wypalaczy w lesie, żeby odnowić zapasy. Mimir każe nam losować, kto wybierze się w tę podróż. Losuj z nami.

Wszyscy wrzucili do kociołka kawałki kamieni, a na jednym z nich został wyrysowany znak Odina. Kociołek dano Wulfowi, kucharzowi, żeby go trzymał, gdy pozostali będą losować. Sig zauważył, jak Veliant rozmawiał z Wulfem na osobności, a potem Wulf wydawał się zakłopotany. Sig uważnie przyglądał się losowaniu. Wydawało mu się, że kiedy przyszedł czas, żeby Sigurd zamknął oczy i wyciągnął rękę po kamień, Wulf trochę odwrócił i przechylił kociołek. Ale nie mógł tego udowodnić.

Sigurd pokazał oznaczony kamień. I chociaż pozostali śmiali się i mówili o szczęściu, Sig był pewien, że niektórzy z nich kiwali do siebie głowami i uśmiechali się dziwnie. Mówili Sigurdowi, że wyrusza we wspaniałą podróż, że wszyscy chcieliby w niej uczestniczyć.

Sig, niezadowolony, skulił się i słuchał. Usłyszał dość, żeby zacząć się obawiać o Sigurda. Ale kiedy tak podsłuchiwał, nieszczęśliwie poruszył stopą i rozległ się trzask pękającej gałązki. Czyje ręce zacisnęły się na jego ramionach.

- A to gnida! - Veliant nieprzyjemnie wyszczerzył do niego zęby. - Co teraz, bracia? Czyż na grobie królewskiego syna nie powinien się położyć jego wiemy pies? Skoro Sigurd idzie bez konia i nie będzie miał prawdziwego psa do towarzystwa, niech weźmie chłopaka! Uderzyć go w głowę!

To były ostatnie słowa, które usłyszał Sig, bo za chwilę poczuł ogromny ból w głowie, a potem była tylko ciemność, ciemność, której nie rozjaśniały nawet sny. Potem wrócił ból. Sig próbował wołać o pomoc lub chociaż się poruszyć, ale stwierdził, że nie może. Na twarzy

poczuł wodę. Mógł patrzeć, ale bardzo go bolało. Dopiero kiedy ból zelżał, zorientował się, że leży na posłaniu z toreb na węgiel, które drapały go w policzek. Zobaczył ognisko, przy którym siedział Sigurd. Próbował zawołać, ale jego głos zabrzmiał jak delikatny szept. Sigurd jednak szybko się odwrócił i podszedł do niego. Przyniósł róg do picia, a w nim napar z ziół, który dawał Sigowi łyczek po łyczku.

Sig dowiedział się, że są w lesie, i że Sigurd podróżował pół dnia, zanim odkrył swego towarzysza, z zakrwawioną głową, owiniętego w puste torby na węgiel, załadowane na grzbiet jednego z jucznych osłów. Sig ostrzegł go przed niebezpieczeństwem, bo był pewien, że Veliant posłał ich na pewną śmierć.

- Wiedz, że wrócimy. - odpowiedział Sigurd. - Potem rozmówię się z Veliantem o tym, co ci się stało. Jakież niebezpieczeństwo może nam grozić podczas wyprawy po węgiel drzewny dla kuźni Mimira, na drodze którą przebywano już wielokrotnie?

- Ale zwykle przedtem, panie - powiedział Sig - chodził sam Mimir, nigdy jego ludzie. Poza tym krążą złe opowieści o tym lesie i jego mieszkańcach.

Sigurd się uśmiechnął i włożył dłoń między torby. Wyciągnął coś owiniętego w brudne szmaty. Nożem do jedzenia przeciął powrozy i wydobył Balmunga.

- Nie wyruszam w obce miejsca bez stali w dłoni, kamracie. A sędzę, że mając Balmunga nie powinniśmy się niczego obawiać.

Sig, spojrzawszy na miecz, poczuł się raźniej. Miecz był jak pochodnia w ciemności. Chłopak zaprzagnął zmierzyć się z tym, co ich czekało. Mówił sobie, że nic nie może być bardziej przykre, niż straszliwe dni, które już przeżył.

Chociaż leśna droga była wąska i ciemna, i mieli wrażenie, że jakieś dziwne, straszliwe istoty obserwują ich z cienia i suną za nimi, nie zobaczyli nic naprawdę przerażającego. Powoli szli w stronę serca lasu, do wypalaczy węgla. Na polanie zobaczyli chatki leśnych ludzi. Ludzie ci, o skórze ubrudzonej popiołem i żywicą świeżo ściętych drzew, wyglądający jak stworzenia nocy, chwycili broń i stanęli, gotowi pozabijać podróżników. Chociaż Sigurd miał Balmunga u pasa, nie dobył go, lecz zawołał:

- Niech pokój będzie między nami, leśni ludzie. Jestem z domostwa Mimira i przybyłem, żeby kupić od was towar, na mocy umowy między waszym mistrzem a moim.

Ale przywódca tej dzikiej kompanii wyszczerzył zęby, przywodzące na myśl kły wielkiego wilka. Powiedział:

- Kłamiesz. Kiedy Mimir chce z nami dobić targu, przybywa sam. To nasze własne miejsce i nikt tu nie przychodzi, chyba że mu każemy. W przeciwnym razie kładzie się pod drzewem Ojca Nas Wszystkich, i patrzy w górę, na jego gałęzie, niewidzącymi oczami.

Ludzie podeszli bliżej, jak stado wilków do swojej ofiary. Ale zanim rzucono pierwsze włócznie, zanim zaszczekały miecze, rozległ się inny głos:

- Nie śpieszcie się tak z rozlewaniem krwi, moi ciemni. Chcę zobaczyć tego odważnego człowieka.

Głos dobiegał z dużego domu w samym sercu polany. Wypalacze odsunęli się, żeby zrobić przejście dla Sigurda. Sig zawahał się, patrząc w las. Zastanawiał się, czy zdążyliby do niego dobiec. Ale mając przed sobą Sigurda, zachował się jak wiemy giermek, gotów pójść za swym panem na śmierć, jeśli takie jest ich przeznaczenie. Próbując się trzymać tak prosto i dumnie, jak Sigurd Syn Królewski, poszedł za nim.

Weszli do domu Pana Lasu i stwierdzili, że to bardzo bogate miejsce. Wysoki fotel w głębi był rzeźbiony i malowany, na ścianach wisały tkaniny wykonane przez ludzi z południa. Komnata była nawet doskonalsza niż komnata Mimira, więc Sig rozglądał się z szeroko otwartymi oczami, podziwiając cały splendor. Pomyślał, że to na pewno krewna komnaty królewskiej, w której siadywał ojciec Sigurda. Ale Sigurd nie patrzył ani w lewo, ani w prawo; szedł prosto, by stanąć przed tronem, gdzie czekał na niego Pan Lasu.

Pan Lasu był tak niski, że tron wydawał się ogromny. Trudno było zobaczyć jego tunikę, bo miał bujną brodę, sięgającą do pasa, zaś loki na jego głowie były tak długie, że mieszały się i plątały z włosami brody. Zarówno broda, jak i włosy były siwe, chociaż oczy, które patrzyły na podróżników spod krzaczastych brwi, nie były oczami starego człowieka.

- Kim jesteście wy, którzy tak zuchwale wstępujecie w progi domu Regina? - zapytał lord.

Sigurd odpowiedział dwornie, ale z dumą przynależną królewskiemu synowi.

- Jestem Sigurd, syn Sigmunda, z prawej linii Volsungów. Przybywam w służbie Mimira, kowalskiego mistrza, po węgiel drzewny naszego wyrobu.

- Ha, jak to może być prawda? Nie słyszałem nigdy przedtem, żeby ktoś, w kogo żyłach płynie krew Volsungów, służył u kowala, mistrza czy nie. Wymyśl lepszą historyjkę, mój niedoszły bohaterze!

- Nie ma lepszej historii niż prawda - odparł Sigurd, wciąż uprzejmie, choć jego policzki pokrył rumieniec gniewu, gdyż zwątpiono w jego słowa. - Wolą mego ojca było, iżbym poznał swych poddanych, skoro pewnego dnia wstąpię na tron. Dlatego też mam z nimi mieszkać i pracować własnymi rękami na chleb, podobnie jak oni.

Regin przeczesał brodę palcami i kiwnął głową.

- Mądry człowiek, król Sigmund. Czy nauczyłeś się, Sigurdzie Synu Królewski, co znaczy zarabiać na chleb dwiema rękami?

- Czynię tak od roku, a Mimir, mistrz kowalski, nie odsunął mnie od swych drzwi jako bezużytecznego.

- Co dobrze o tobie świadczy, królewski synu. Dobrze, przyjmuję twą historię. Spędź noc pod moim dachem, a moi poddani przygotują dla ciebie węgiel.

Zdawał się nie zauważać Siga, z czego chłopak był bardzo zadowolony. Pomyślał, że nie będzie się starał zwracać na siebie uwagi Pana Lasu. Krył się w cieniu za Sigurdem, który zasiadł w gościnnym fotelu. Ale jego pan nie zapomniał o nim, go od czasu do czasu rzucał w tył kawałek chleba lub kość, ciężką od mięsa, więc Sig najadł się tak, jak ważniejsi od niego.

Regin nagle pochylił się do przodu i zapytał:

- Czy podróżujesz z psem, królewski synu? I rzucasz mu ze stołu najlepsze kąski?

- Nie z psem, lordzie Reginie, lecz z kimś, kto był dla mnie dobrym towarzyszem drogi, choć jest bardzo młody.

- Zawołaj go do przodu, żebym mógł na niego spojrzeć - nakazał Regin.

Nie było ucieczki. Sig wyszedł z cienia i stanął przed Reginem. Chociaż dobrze się umył w leśnym źródle i choć wygładził swój skromny przyodziewek najlepiej, jak mógł, wiedział, że wygląda niczym żebrak. Ale skoro chwilowo był giermkim i tarczą Syna Królewskiego, trzymał się sztywno i prosto.

- Mówisz Sigurdzie Synu Królewski, że to twój towarzysz? Ha! Kiepski wybór! To oskubany kruk, jeden z tych głodomorów, jakich każdy pan znajduje pod drzwiami, jęczących o chleb.

Ale Sigurd Syn Królewski wstał z fotela i odpowiedział, trzymając dłoń na ramieniu Siga.

- To ktoś, komu w potrzebie powierzyłbym własną skórę. Czyż można prosić o więcej, lordzie Reginie?

- Zdaje się, że szczeniak ma w sobie coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Cóż, zatrzymaj swego bohatera, królewski synu.

- Regin zaśmiał się tak, że Sig poczuł gorąco i zacisnął zdrową dłoń w pięść. Ale ręka Sigurda wciąż spoczywała na jego ramieniu i pociągnęła go do przodu, tak, że nie krył się już w cieniu, lecz siedział u stóp fotela, na widoku wszystkich, z całkowitą aprobatą swego pana.

Jedli dziczyznę, dziki miód i biały chleb, taki, jakiego Sig jeszcze nigdy nie widział, i winogrona, słodkie, lecz pozostawiające cierpki smak na języku. Potem zaprowadzono ich na spoczynek do małej bocznej komnaty, gdzie znajdowało się miękkie pościelone zrecznie utkane z mirtu i cykuty. Sig usiadł w nogach, legowiska i owinał się płaszczem, a Sigurd wyciągnął się na gałązkach i zasnął.

Kiedy się obudzili, było już po wschodzie słońca. Sigurd usiadł z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tej nocy śniłem. - powiedział cicho, jakby mówił raczej do siebie, niż do Siga. - Był to sen o mocy, chociaż nie potrafię go odczytać.

Poszli do wielkiej komnaty, gdzie Regin znów siedział na wysokim tronie, jakby przez noc się z niego nie ruszył. Na kolanach trzymał harfę barda. Od czasu do czasu bezwiednie szarpał strunę, wywołując śpiewną nutę. Przed fotelem dla gościa położono chleb, kozi ser, miód i rogi z jęczmiennym piwem. Regin wskazał dłonią, żeby usiedli i zabrali się do jedzenia, Sig znów zajął swoje miejsce u stóp fotela.

- Dobrze spałeś? - zapytał Regin, jak zapytałby każdy gospodarz.

- Śniłem - odpowiedział Sigurd.

- A o czymże śniłeś. Synu Królewski?

- Że stoję na szczycie góry, pomiędzy innymi szczytami, choć żaden z nich nie był wyższy. Nade mną fruwały orły, u mych stóp leżał śnieg. Były tam Prządki - Urd, Przeszłość, była na wschodzie, tam, gdzie podnosi się słońce, a z palców wypuściła nić, która lśniła, jakby była utkana z promieni. - Verlanda, Teraźniejszość, była daleko w morzu, tam, gdzie woda spotyka się z ziemią. Chwyliła nić i utkała pajęczynę z purpury i złota, bogatszą, niż wszystkie królewskie szaty, które widziałem. A gdy ją tkala, Skald, straszliwa Przyszłość wyrwała ją jej i porwała na strzępy, które rzucała tak, że padały u białych stóp jeszcze jednej, która patrzyła. Była to Hel, która jest królową umarłych. Zdaje mi się, że to sen, który zaczął się dobrze, ale skończył źle.

- W tym życiu wiele rzeczy zaczyna się dobrze, a kończy źle. powiedział Regin. - Posłuchaj o jednej z nich... - i Regin, mimo że był starcem, podniósł głos i zaśpiewał.

Jego głos, pełny i silny, był głosem wielkiego barda. Słuchali, jakby złapani w zakęcie. Śpiewając, zmienił się, siwe włosy i broda zniknęły, zobaczyli nie Regina, Pana Lasu, lecz Mimira, mistrza kowalskiego. Ten odłożył harfę i zaśmiał się.

- Tak, jestem Mimirem, który był Reginem. Lecz to inna historia, nie nadszedł jeszcze czas jej opowiedzenia. Prawdą jest, że masz wiele do zrobienia, Sigurdzie Synu Królewski. Masz miecz, choć został on wykuty z kawałków innego, który był darem od Ojca Nas Wszystkich dla twego przodka. Teraz musisz zdobyć konia, który będzie ci służył wiernie jak stal, a może nawet lepiej.

- Gdzież znajdę takiego rumaka, mistrzu?

- Pójdiesz na północ, do olbrzyma Gryfa i o niego poprosisz. Po pastwiskach olbrzyma biegają najwspanialsze ogiery na świecie.

- Dobrze zatem. - Sigurd pokiwał głową. - Czy mam to zrobić teraz?

- Jaki czas będzie lepszy?

Przygotowując się do podróży, Sigurd Syn Królewski kiwnął na Siga, który stał wyczekująco, bez miecza u pasa, ale z najmocniejszą pałąką, jaką mógł znaleźć.

- To nie jest wyprawa dla ciebie, młodzieńcze.

- Panie, nie zostawię cię. Jeśli nie ścierpisz, bym szedł z tobą, będę podążał twym śladem.

Sigurd patrzył na niego przez długą, długą chwilę. Potem znów skinął głową.

- Dobrze zatem - powiedział, jak wcześniej do Mimira - Regina. Myśli mówią mi, że jesteśmy w pewien sposób związani tym samym przeznaczeniem, chociaż nie jest dla mnie jasne, dlaczego.

Droga była długa, mijały dni i noce. Czasami przechodzili przez lasy lub przez ponure wrzosowiska, kiedy indziej wspinali się po stromych górskich szlakach. Docierali do pięknych, dobrych ziem, gdzie podejmowano ich w komnatach, a lordowie prosili ich, by zatrzymali się na dłużej, ale Sigurd odmawiał.

Podróż nie była łatwa, Sig odczuł to na własnej skórze. Nie mógł już chować swej szponiastej ręki, bo musiał się trzymać skał i krzaków tam, gdzie było szczególnie trudno iść. Posługiwał się tą dłonią tak często, że czasami zapominał, jaka jest brzydka.

Doszli wreszcie w miejsce pokryte śniegiem, gdzie znajdował się dom zbudowany z wielkich głazów, których nie mógłby poruszyć żaden człowiek. Jego ściany były białe, w środku znajdowały się zielone kolumny, bardzo zimne w dotyku, jakby wyrzeźbiono je w lodzie. Był tam tron wykonany z okazałych kłów koni morskich, wisiał nad nim kamienny baldachim. Ten, kto tam siedział, trzymał rzeźbione berło z kości słoniowej i był odziany w purpurowy płaszcz. Jego siwa broda dotykała niemal zielonej posadzki.

Był wysoki, więc Sigurd wyglądał przy nim jak chłopiec. Ale uśmiechnął się i powitał ich. Usiedli. Gdy zaspokajali głód, mówił z Sigurdem o średnim świecie, z którego przybyli, o niebie nad nimi i o morzach okalających ziemię. A Sig, wypoczęty i dobrze nakarmiony, słuchał. Nie wiedział, jak długo trwała ta mądra, pouczająca rozmowa.

W końcu Gryf stuknął końcem berła w blat stołu i przemówił: - Dość, Sigurdzie Synu Królewski. Twój głos jest muzyką dla mych uszu, gdyż od bardzo dawna nie przyszedł do mnie śmiertelnik z nowinami ze średniego świata, nikt mi nie mówił, co się tam dzieje. Lecz mam w pamięci, że przybywasz tu z pewnego powodu, a powód ten biegnie na czterech nogach po moich pastwiskach. Czyż tak nie jest?

- Lordzie Gryfie, tak jest.

- Niech więc będzie. Idź na me pastwiska, królewski synu, i wybierz mądrze, albowiem od tego może kiedyś zależeć twoje życie.

Poszli więc na pastwiska. Były tam konie, jakich Sig nigdy nie widział. Każdy z nich był doskonalszy niż te w królewskich stajniach w średnim świecie. Chłopak zastanawiał się, jak Sigurd może wybierać. Ale, gdy tak myślał, na głaz, przy którym stali, padł cień człowieka.

Miał szary płaszcz i tunikę, niebieski kaptur i przepaskę na oku. Ale drugie widziało dwa razy lepiej, niż oko zwykłego śmiertelnika.

- Zatem, Sigurdzie Volsungu, przybyłeś po konia, który dorówna twemu mieczowi?

- Tak, Wielki.

- Słuchaj więc. Wyboru należy dokonać uważnie. Poprowadź stado nad rzekę. Ten, który rzuci się w nurt, przepłynie rzekę i wróci do ciebie - to Greykell, z którym żaden inny nie może się równać.

- Dzięki ci, o Wielki.

Ale jednooki się nie uśmiechnął.

- Podziękuj później, Sigurdzie, gdy nic będzie rozwinięta, pajęczyna utkana, i wypełni się rola Skald. Ten czas jest jeszcze daleko, ale wciąż cię czeka.

Sigurd przechylił nieco głowę.

- Który człowiek może zmienić wolę Skald? Zrobię to, co zrobione być musi, najlepiej, jak zdołam.

- Co może powiedzieć każdy. Idź teraz, i weź Greykella.

Po czym zniknął, jakby go w ogóle nie było. Ale Sig stał się teraz mądrzejszy niż w kuźni. Z pewnością sam Odin, Ojciec Nas Wszystkich, przyszedł, by wpłynąć na ich przeznaczenie - i młodzik był porządnie przerażony.

Wszystko stało się tak, jak powiedział nieznajomy. Sig i Sigurd poprowadzili konie na brzeg rzeki. Zwierzęta bały się wody, z wyjątkiem jednego, który przepłynął rzekę i na drugim brzegu zarżał z radości. Potem wrócił i podszedł do Sigurda, poruszając chrapami na widok wyciągniętych rąk.

Greykell był silny, dość silny, żeby nieść ich obu przez całą długą drogę do domu Regina w lesie. Jeszcze raz ucztowali, a kiedy skończyli jeść i pić, Regin-Mimir podniósł harfę. Tym razem zaśpiewał opowieść, która rzucała silny czar, gdyż była oparta na jego własnych wspomnieniach - dziwna, ponura historia.

Zaczęła się w dawniejszych czasach, kiedy członkowie rodu Asa przybywali częściej do średniego świata, odziani w ludzkie ciała, tak też przybył Odin, Ojciec Nas Wszystkich,

dając ludziom wiedzę i siłę, a z nim Holnir, który przyniósł radość i śmiech. Za nimi sunął Loki, w ciemnej chmurze sprytu, oszustwa i podłych myśli.

Podczas długiej drogi Loki, dla okrutnej rozrywki, zamordował Oddara, który przybrał postać wydry, żeby zbadać głębię jeziora. Potem dał ciało wydry ojcu Oddara, Hreidmarowi; był to potworny żart. Hreidmar zwołał swych pozostałych synów, Fafhira i Regma i razem zażądali okupu za śmierć - tyle złota, żeby pokryć skórę wydry.

Asakindzi ciągnęli losy, Loki miał iść po złoto, Odin i Holnir zostali jako zakładnicy. Loki wytargował od morskiej królowej Ran znakomitą sieć; trzymając ją w dłoni, szybko złapał króla krasnoludów Andvariego, który ukrywał się pod postacią łososia. Oddał Andavriemu, w zamian za wolność. Loki wziął wielki skarb krasnoludów. Zdarł również Andavriemu z palca pierścień w kształcie węża, który chwyta swój ogon kłami. Łuska smoka zrobiona była z brylantów, oczy - z rubinów.

Andavri przeklął skarb i pierścień silnym czarem. Ale Loki śmiał się, gdyż oddał kosztowności Hreidmarowi. Tam rozłożyli skórę wydry, która wciąż rosła, aż pokryła większość posiadki. Loki układał i wyrównywał na niej kosztowności. Ale, kiedy skończył, jeden włos pozostał odkryty, więc musiał położyć również pierścień, a z nim przekleństwo.

Skoro kara za rozlew krwi została zapłacona, Asakindzi poszli swą drogą. Ale Hreidmar, patrząc na wielki skarb, zapragnął go. A gdy dotknął pierścienia, sam stał się wężem, takim, jak w klejnocie. Na ten widok Regin krzyknął i uciekł. Zaś jego brat, Fafnir, wyciągnął miecz i zabił węża, niegdyś swego ojca.

Potem on z kolei spojrzął na złoto i również zapragnął go tak bardzo, że stało się dla niego całym światem. Zaniósł je na dalekie pustkowia i rozłożył na ziemi, żeby nacieszyć oczy. Pośród wszystkich kosztowności zobaczył przepiękny złoty hełm, przypominający głowę smoka. Fafnir włożył go, i podobnie jak pierścień zmienił jego pana w węża, henn jego zmienił w smoka.

Przez wiele lat skarb leżał na pustkowiu, pilnowany przez smoka, Fafnira, który zapomniał, że kiedyś był człowiekiem. Dopóki żył, złoto nie mogło się wydostać z krainy. Wielu ludzi próbowało sięgnąć po skarb, lecz wszyscy zginęli. Teraz Sigurd został wybrany przez los, żeby położyć kres rządowi Fafnira.

Sigurd Syn Królewski słuchał, a kiedy Regin przestał śpiewać, przemówił.

- Czyli, Reginie, który byłeś Mimirem, i który byłeś niegdyś panem Asakindów, będę się zmagać z twoim bratem—smokiem.

- Ale nie sam! - Regin nie wyglądał już teraz jak Mimir, znów był inny, siwy i pomarszczony, jakby minęło wiele lat. Jego oczy nie były oczami śmiertelnika, Sig bał się ich i cieszył się, że nie są zwrócone w jego kierunku. - Pojadę z tobą.

- I ja - powiedział Sig, wiedząc, że musi. Choć Reginowi się to nie spodobało, bo rzucił szybkie spojrzenie na Siga, ale otwarcie nie zaprotestował.

Jechali siedem dni, aż dotarli do krainy poprzecinanej wielkimi przepaściami. Było tam wiele wysokich ciemnych skał, ale nic między nimi nie rośło. Dalej droga wiodła na szczyt góry, na którą musieli się wspinać, mimo że oddychali ciężko i opuszczały ich siły. Sigurd, który był silniejszy, zawsze prowadził.

Po drugiej stronie góry rozciągała się równina, którą pierwszy raz ujrzeli w nocy. Wokół kręgów błyskających płomieni poruszał się duży ciemny kształt, którego Sig, wcale, nie chciał oglądać z bliska. Zeszli na brzeg rzeki, która płynęła u stóp góry. Woda była gęsta i ciemna, podobna do szlamu. Powierzchnia falowała, jakby przepływały pod nią ukryte bezimiennie potwory.

Chociaż dotarli na brzeg tego ciemnego i groźnego strumienia w dzień, słońce nie rozświetlało nieba. Nie widzieli też chmur, jedynie szare światło, trochę tylko jaśniejsze od nocnego mroku. Przebijał przez nie blask przekłętego skarbu. Było w nim coś, co zapraszało, sprawiało, że człowiek chciał go zabrać, kawałek po kawałku.

Leżały tam drogocenne korony dawno zapomnianych królów, bransolety, kolie, pierścienie, wysadzane klejnotami miecze, błyszczące tarcze, wszystko rzucone razem, w stosach. Między nimi bezustannie pełzał ich strażnik.

Z powodu mroku, a także mgły, która unosiła się nad skarbem, nie można było wyraźnie zobaczyć Fafnira. Sigowi trudno było uwierzyć, że żył kiedyś w postaci ludzkiej. Stworzenie to było tak wielkie, jak olbrzym Gryf, chociaż pełzało na brzuchu, z rogatą głową przy ziemi. Za smokiem ciągnął się długi ogon, na ramionach widać było niewielkie skrzydła.

Po drugiej stronie rzeki zauważyli gładkie wgłębienie w glinie, prowadzące do wody. Może to była ścieżka, którą Fafnir chodził się napić.

- Popłyniesz? - Regin-Mimir ukucnął na brzegu, patrząc w wodę. Potem wziął łaskę i wepchnął ją w nurt, jakby szukał brodu. Woda zawrzała i zawirowała, a on krzyknął i odskoczył. W dłoni trzymał już tylko połowę łaski. Reszta zniknęła, jakby odgryzły ją ogromne szczęki.

- Zdawać by się mogło...- powiedział Sigurd, patrząc na łaskę, która była dowodem na to, że pod powierzchnią czaiło się zło. - Że pływanie nie jest rozwiązaniem.

Regin–Mimir spojrział na niego chytrze, a Sigowi coraz mniej podobało się to, co kryło się w tych oczach, które nie były już oczami człowieka.

- Jak zatem dotrzesz do tego, którego masz zabić?

Gdy mówił te słowa, rzeką przy płynęła łódź. Sig nie wiedział, skąd się wzięła i dlaczego nie widzieli jej przedtem. Wyglądała jak łódki, którymi jesienią pływali po jeziorach myśliwi, polujący na dzikie ptactwo. Siedział w niej jeden człowiek, z łatwością poruszając wiosłami. Za każdym razem, kiedy wiosła zanurzały się w wodzie, Sig spodziewał się, że wynurzą się poszarpane, ale one zostawały całe, nienaruszone.

Mężczyzna, który nimi wiosłował, miał niebieski kaptur, jego głowa była pochylona tak, że w półmroku nie widzieli twarzy. Ale Sig nie wątpił, że jedno z oczu przesłonięte jest opaską. Zadrzał i mocniej chwycił swój kij.

- Bądź pozdrowiony, Sigurdzie Volsungu! - nieznajomy przybił do brzegu i wyszedł z łodzi. Chociaż jej nie przywiązał, nie odpłynęła z prądem, lecz stała nieruchomo.

- Bądź pozdrowiony. Ojcie Nas Wszystkich! - tym razem Sigurd odważył się nazwać go po imieniu. - Będąc tym, kim jesteś, znasz powód naszego przybycia.

Jego oko zdawało się oglądać nie tylko Sigurda, ale i jego towarzyszy. Sig nie mógł odwrócić wzroku. Co oprócz wypełnienia woli Prządek mogli zrobić, kiedy sam Odin, Ojciec Nas Wszystkich wziął ich przyszłość w swoje ręce?

- Powód jest mi znany. - powiedział nieznajomy. - Żaden człowiek, ani Asakind, nie może odwrócić albo zmienić splotu przeznaczenia i szczęścia. Od początku ta wyprawa była częściowo kierowana przeze mnie, teraz zatem muszę pomóc w jej zakończeniu. Żaden śmiertelnik, ani Asakind, nie może się spotkać z Fafnirem w otwartej walce. Słuchaj więc: raz dziennie, gdy pływy się wyrównują, Fafnir przychodzi się napić z rzeki. Widzisz ścieżkę, którą wyłobił. Wykop tam dół, przykryj go lekko ziemią i schowaj się pod nią. Potem, gdy Fafnir znajdzie się nad tobą, dźgnij w jego miękkie podbrzusze, gdyż to jedyne miejsce, które może przebić Balmung.

- Ojcie Nas Wszystkich, jesteśmy ci wdzięczni za pomoc.

Nieznajomy powoli potrząsnął głową.

- Z podziękowaniem poczekaj do końca dni swoich, Sigurdzie Synu Królewski, gdyż dobro nie zawsze rodzi dobro. Czasami wykluwa się zło. Jednakże takie jest twoje przeznaczenie, więc musi się wypełnić. Daję ci najlepszy z możliwych sposobów.

Odwrócił się, przeszedł krok czy dwa i zniknął. Ale Regin–Mimir rzucił się naprzód i położył rękę na łodzi, spojrział przez ramię i powiedział żarliwie:

- Zostało niewiele czasu na zastawienie pułapki. Chodźmy, Sigurdzie Synu Królewski. Wkrótce staniesz się Sigurdem Pogromcą Fafnira.

Przeprawili się więc przez rzekę - Sigurd chwycił jedno wiosło, Sig drugie. Regin-Mimir nie wiosłował, tylko wciąż patrzył na rzekę, jakby swoim entuzjazmem mógł przyspieszyć przeprawę. Dotarli do bruzdy wyżłobionej przez smoka; była głęboka na wysokość Sigurda; jej ściany pokrywał szlam, który wydzielał nieprzyjemny, przyprawiający o mdłości zapach. Widać było ślady po tym, co stało się ze śmiałkami, którzy odważyli się wejść na teren Fafnira. Gdy Sig stąpił nieostrożnie, spod jego stopy potoczyła się czaszka. Obok leżał miecz, jego ostrze było w połowie stopione.

Sigurd zsunął się na tę cuchnącą drogę i za pomocą Balmunga zaczął odgarniać ziemię, ubitą przez smoka. Podawał szlam Sigowi, który odnosił go w torbie zrobionej ze swego płaszcza i rozrzucał w innym miejscu. Regin-Mimir znów nie brał udziału w ich pracach. Siedział skulony jak wielki, szary pajak, patrząc na równinę, gdzie płonęły ognie klejnotów i gdzie pełzał Fafnir, żeby sprawdzić, czy nikt nie zabrał chociaż maleńkiej części.

Wreszcie skończyli: Sigurd mieścił się w dziurze, którą wykopał. Sig zdjął swój brudny płaszcz, rozpostarł go nad Sigurdem, i pokrył grudkami ziemi tak, by wszystko wyglądało jak przedtem. Potem wspiął się na górę i podszedł do Regina-Mimira. Dotknął jego ramienia. Zdawało mu się, że mistrz kowalski przebudził się ze snu, bo bardzo sztywno podszedł do łodzi. Tym razem on też chwycił wiosło, wiosłowali razem do miejsca, gdzie zostawili Greykella i pozostałe konie. Przestraszone zwierzęta stały z pochylonymi łbami.

Teraz można było tylko czekać, Sig uważał, że to najgorsze ze wszystkiego. Wreszcie mrok, który tu był dniem, stał się jeszcze ciemniejszy, więc ognie skarbu zapłonęły jaśniej. Kiedy monstualny cień Fafnira znalazł się na ścieżce prowadzącej nad rzekę, Sig chwycił pałkę tak mocno, że paznokcie wbiły się w drewno, a ręce zaczęły boleć. Widok wielkiego, pokrytego niską cielską, sunącego koleiną, był przerażający. Sig wiedział, że nie miałby odwagi leżeć tak, jak leżał Sigurd, czekając, aż nadejdzie czas ataku.

Ciało smoka sunęło w dół, teraz rogaty łeb był bardzo blisko rzeki. Czy Sigurd został zgnieciony, wciśnięty w ziemię? Z pewnością przedtem by uderzył!

Ale gdy strach Siga narastał, smok uniósł przednią część ciała, a z jego gardzieli wydobył się dźwięk, od którego zadrzała ziemia wokół nich. Ogon wił się i uderzał w ziemię, wbijając głęboko wszystkie skały, które przypadkiem trafiał. Z rozszerzającej się dziury w brzuchu potwora płynął ciemny strumień złego płynu. Skręcając się z bólu, Fafnir dotarł nad rzekę, opuścił łeb i zaczął gryźć ranę, jakby chciał ją ukarać za to, że sprawiła mu ból.

Miotając się i wijąc, smok walczył ze śmiercią, aż jego wielkie ciało podniosło się po raz ostatni i runęło do wody. Skrzydła, szponiaste kończyny i niebezpieczny ogon były ciemny płyn, tworząc cuchnącą pianę. Brudna woda wokół niego burzyła się, a jej mieszkańcy zebrali się na ucztę, o jakiej nawet nie marzyli. Zaczęła się druga bitwa. Sig nie mógł na to patrzeć i ukrył twarz w dłoniach, starając się również nie słuchać.

Szczęśliwym trafem walka w rzece nie zniszczyła ani nie odrzuciła ich łodzi. Kiedy Sig odważył się spojrzeć, zobaczył, że powierzchnia wody uspokoiła się, wskoczył więc do łodzi i przygotował wiosła.

- Mistrzu! - zawołał do Regina-Mimira, który siedział nieruchomo na skale, patrząc na rzekę z dziwnym uśmiechem. - Mistrzu, musimy iść do lorda Sigurda!

- Tak. - Mistrz kowalski wstał i podszedł, żeby wziąć jedno z wiosel. Pchał z całej siły, próbując dorównać Sigowi; razem zsunęli łódź na wodę.

Gdy tylko dotknęli brzegu, poszarpanego podczas ostatniej walki smoka, Sig wyskoczył i wbiegł w bruzdę Fafnira. Sigurd nie wyłonił się z kryjówki, więc chłopak obawiał się najgorszego - że zabijając, sam został zabity.

Bruzda była w połowie wypełniona ciemnym płynem, który wylał się z ciała Fafnira, roztaczając straszliwy odór. Sig przygotował się do nurkowania, nie zważając na to, że ciecz mogła być trująca. Jednak kiedy doszedł do miejsca, gdzie powinna znajdować się dziura, zobaczył jakiś ruch. Z cuchnącego nurtu wyłonił się ten, którego szukał, tak ubłocony i umazany szlamem, że nie przypominał człowieka. Chwiał się na nogach i zataczał, jakby był ranny.

Sig zdołał wyciągnąć lorda. Zdarł z siebie tunikę, żeby wytrzeć nią szlam z Sigurda, który krztusił się, jakby nie mógł wciągnąć powietrza w zmęczone płuca.

- Panie, gdzie jesteś ranny? - Sig gorączkowo wycierał szlam, żeby zobaczyć, jak bardzo ucierpiał jego pan.

Ale Sigurd wyprostował się już i oddychał spokojniej.

- Nie mam ran - wydyszał. - To tylko smród zwierzęcia i maź, która z niego wypłynęła. Balmung doskonale się spisał. Fafnir nie żyje, skarb jest uwolniony.

Raz po raz wbijał miecz w ziemię, żeby oczyścić ostrze. Potem odwrócili się z Sigiem i spojrzeli na równinę, pokrytą stosami kosztowności. Chociaż była już noc, ogniska zapalone przez smoka oświetlały nie tylko skarb, ale i nagą ziemię.

Między stosami klejnotów biegła mała, skurczona postać. Niekiedy chwyciła koronę, podnosiła ją wysoko w górę i odrzucała z powrotem. Potem wymachiwała błyszczącą kolia, jak strzelający z procy wymachuje swą bronią, zanim wyrzuci kamień. Kopała tarczę, która

dźwięczała, potem rozrzuciła ramiona, jakby chciała przygarnąć do swej wątlej piersi wszystko, co tam leżało, i zatrzymać na zawsze, Regin–Mimir! Ale gdzie się podział mądry mistrz kowalski, którego Sig znał przez większą część swego krótkiego życia? To... To stworzenie nie było nim. Regin–Mimir był odmieniony - nie stał się smokiem, ale...

Nagle sylwetka podskakująca wśród stosów kosztowności odwróciła się do nich przodem. Sig zobaczył, jak jej wargi odsłoniły, zęby w uśmiechu, który na pewno nie był ludzki. Postać rzuciła się do jednego z błyszczących stosów i wróciła ze świecącym klejnotem w dłoni. Potem podbiegła do nich z szybkością, z którą nie mógłby się równać galop Greykella.

- Moje! Moje! - zakrzeczał Regin–Mimir. - Mój skarb. Śmierć tym, którzy będą chcieli go zabrać!

I z ogniem w oczach ruszył na Sigurda. Sig zobaczył, że Mimir trzyma w dłoni sztylet o długim ostrzu, bardzo jasnym i szpiczastym. Lecz Balmung się podniósł i Sigurd uderzył.

Pochylone i pobladłe ciało, które od paru godzin stawało się coraz starsze, upadło. Ale głowa uniosła się nad zgarbionymi ramionami, a z wykrzywionych ust wydobyło się ostatnie słowo, rzucone jak wyzwanie:

- Moje!

Sig się cofnął. Sigurd odpiął swój poplamiony i zszargany płaszcz. Pochylił się, żeby przykryć nim skuloną sylwetkę.

- Kiedyś był mistrzem kowalstwa i człowiekiem honoru - powiedział cicho. - Nie mógł zabić swojego smoka, więc sam został zabity.

- Swojego smoka?

- Tak. Jego smokiem była chciwość, i pozostanie tutaj. Zatem Fafnir będzie strażnikiem, mimo że nie żyje. Skarb został słusznie przeklęty. Kto się ośmieli, niech po niego sięgnie. Ale lepiej będzie, żeby skarb został tu aż do końca świata.

I Sig, patrząc na blade, widmowe światła płonące jak potępieńcze ognie, wiedział, że to prawda.

W końcu odjechali z pustkowia i zostawili wszystko za sobą. Poszli wypełnić wolę Prządek, przeżyć życia, które zostały im przeznaczone.

3. SIRRUSH–LAU

- Niech leży, jak powiedział Sigurd Pogromca Fafnira, niech leży...

Słowa odbijały się echem w zakurzonej, ponurym pokoju. Sig podniósł głowę. Jego dłonie, ścisnęły kraniec stołu tak mocno, że aż bolały. Powinien był trzymać pałkę - i gdzie jest rzeka, góry, Greykell i inne konie? Potrząsnął głową, próbując się otrząsnąć z pozostałości snu. Czy to był sen? Wszystko wydawało się tak bardzo prawdziwe! We śnie się nie je, nie męczy ani nie czuje. Sigurd był prawdziwy, i Mimir, i Fafnir...

Fafnir wciąż leżał przed nim, srebrny i błyszczący. Sig podniósł rękę, żeby rozrzucić kawałki układanki, które tak boleśnie łączył, ale nie mógł ich dotknąć. Będzie... poczuje...
NIE!

Odepchnął fotel tak gwałtownie, że ten z hukiem upadł na podłogę. Na zewnątrz rozbłysła błyskawica. Wiedział, gdzie jest, choć nie był pewien, co się stało. Wiedział też, że chce odejść - iść do domu...

Sig wybiegi z pokoju do starej kuchni. Deszcz wpadał przez otwarte okno. Przypomnił sobie, że było coś jeszcze... Stół... Ras...

Zawahał się. Najmniej ze wszystkiego pragnął teraz kolejnej bijatyki. Ale nie chciał, nie mógł zostawić Rasa zamkniętego w piwnicy. Rzucił się do stołu pchnął go z całą siłą, jaką mógł z siebie wykrzesać i odsunął od drzwi. Potem, nie czekając dłużej, pobiegł do okna i wyskoczył w deszcz i ciemność.

Gałęzie rozrośniętych krzaków zdziczałego ogrodu czepiały się go, kiedy przedzierał się na zewnątrz do świata, w który wierzył. Ale tamten świat wciąż był jego częścią. Oczami duszy widział kuźnię, Sigurda Syna Królewskiego, wykuwającego potężny miecz, leśny dom Mimira–Regina, długą podróż na straszliwe, przeklęte ziemie Fafnira.

Skarb! To słowo, które zawsze było tak ekscytujące, znaczyło teraz coś innego. Fafnir zabrał skarb i przemienił się w potwora z powodu swej chciwości. Mimir, który był mistrzem i przyjacielem Sigurda, gdy zobaczył przed sobą skarb, również stał się potworem, choć w inny sposób. Potem Sigurd dokonał wyboru, zostawił zło i odszedł jako bohater.

Sig wracał do tych wspomnień, biegnąc do domu. Musi być potwornie późno. Tata pewnie już wrócił i będzie chciał się dowiedzieć, gdzie był Sig. Ale jeśli powie, nikt mu nie uwierzy! Nie mógł też wymyślić na swoje usprawiedliwienie żadnej historyjki. Sig Szponoreki nigdy nie wyłgiwał się z kłopotów. Jeśli tata będzie zadawał pytania, chłopiec będzie musiał się przyznać, że poszedł do domu i znalazł układankę. Ale reszty powiedzieć nie mógł.

W domu nie było nikogo. Kiedy wszedł do kuchni, spojrzał na stojący na półce zegar. Przypatrywał mu się z niedowierzaniem, potem podszedł i potrząsnął nim. Pięta - minęło tylko pół godziny. Nie było go tylko pół godziny!

Wciąż nie mogąc w to uwierzyć, Sig otrzepał mokry płaszcz. Przyszedł do domu wcześniej niż tata, więc nie będzie musiał nic mówić. Ale w głowie wciąż kołatała mu myśl o Rasie.

Nie słyszał żadnych odgłosów z piwnicy, kiedy odpychał stół, którym zastawił drzwi. A jeśli Ras przewrócił się w ciemności, albo coś mu się stało? Nikt nie wiedział, że tam jest, nikt z wyjątkiem Siga. To wina Siga, jeśli Ras leży teraz u stóp schodów w ciemności. Może ma złamaną nogę, a nikt o tym nie wie.

Sig powoli spojrzał na zegarek. Musiał zrobić to, czego nie chciał: wrócić do starego domu i upewnić się, czy Rasowi nic nie jest. W tym czasie wróci tata i Sig będzie zmuszony wszystko wyjaśnić.

Ras jest silny, prawdopodobnie już wyszedł z piwnicy i szedł do domu. Ale jeśli nie? Sig zapiął płaszcz. Wziął karteczkę, którą zostawiła mama, wyjął długopis i dopisał linijkę. Tata będzie przynajmniej wiedział, że był w domu i zaraz wróci.

Sig wyruszył natychmiast w obawie, że gdyby zwlekał choć chwilę, mógłby nie znaleźć już w sobie dość odwagi na powrót do starego domu w deszczu i ciemnościach.

Było zupełnie ciemno. Ras, macając dookoła dłońmi zorientował się, że siedzi na schodach. Nie chciał wiedzieć, co było niżej. Krzyczał, bo był wściekły. Potem złość minęła, jakby chłód ciągnący z dołu ją zmroził i pozostał tylko strach. Wołał i walił w drzwi, ale po drugiej stronie było tak cicho, że wiedział, iż Sig wyszedł z domu i zostawił go samego!

Co było w tej szkatułce, że tak zdenerwowało Siga? Zabawne, że Ras znalazł ją tak łatwo, jakby Sig zostawił mu strzałki - jego ślady widoczne były na zakurzonej podłodze a prześcieradło, którym przykrył szkatułkę, naciągnięte zostało niedbale.

W szkatułce nie było nic ekscytującego - tylko układanka. Po tym, jak Sig mówił o ukrytym skarbie, Ras spodziewał się znaleźć coś naprawdę wartościowego. Próbował odepchnąć od siebie strach, myśląc o czym innym. Myśl logicznie, mówił zawsze Shaka. Ras żałował, że nie powiedział mu o wszystkim wczoraj. Tylko że jego brat wyszedł na spotkanie. A kiedy wrócił, pokłócili się z tatą. Mama płakała, było zamieszanie. Wszystko się teraz miesza, kiedy Shaka mówi jedno, a tata drugie.

Nikt nie wie, że Ras tu siedzi, nikt nie przyjdzie go szukać. Jest sam i będzie musiał się sam wydostać. Wrócił do upartych drzwi, położył na nich dłonie i pchał, chociaż nie

przyniosło to żadnych rezultatów. Nie przestał się jednak wysilać. Maleńka smuga światła w wąskiej szczelinie była lepsza niż ciemność po przeciwnej stronie.

Potem usłyszał tupot stóp biegnących po starych podłogach. Wsłuchiwał się w nie. Sig... Sig wracał, i to w pośpiechu, z frontowej części domu. Co robił cały ten czas? Rasowi siedzącemu w ciemności zdawało się, że minęło przynajmniej parę godzin.

Pchał dalej drzwi. Sig musiał go wypuścić. Nie mógł uciec i zostawić Rasa w zamknięciu... A może jednak? Białas mógłby zrobić coś takiego. Shaka mówił, żeby nigdy im nie ufać. Ras otworzył usta, żeby wrzasnąć, ale kroki zbliżyły się teraz do drzwi. Nie chciał pokazać Sigowi, że był gotów wołać o pomoc - nigdy by mu tego nie powiedział! Nie powie, tylko skoczy, kiedy drzwi się otworzą.

Ras usłyszał szuranie stołu po podłodze. Czekał, aż Sig otworzy, ale zamiast tego dobiegł go dźwięk, zagłuszony przez grzmot odgłos odchodzących stóp. Ras rzucił się do drzwi. Otworzyły się dalej niż przedtem, uderzyły o stół, ale teraz została szczelina, przez którą już mógł się przecisnąć. Chwilę później był w kuchni.

Co robił Sig przez cały ten czas? Okno wciąż było otwarte, wpadał przez nie deszcz. Było późno. Ras wiedział, że powinien pójść do domu. Ale powstrzymywała go ciekawość, musiał się dowiedzieć, co zatrzymało tu Siga. Miał własną latarkę, mniejszą niż latarka Siga, ale dającą dość światła. Dlaczego ta szkatułka z kawałkami układanki była taka ważna? Czy Sig cały czas szukał dla niej innej kryjówki?

Ras poszedł do frontowego pokoju. Żaden pokrowiec nie został ściągnięty z mebli. Wszystko wyglądało tak, jakby nie było dotykane od bardzo dawna. Poszedł do hallu i wszedł do następnego pokoju. Tu w świetle latarki zobaczył fotel, leżący na boku. Błat stołu mienił się kolorami.

Szybko przeszedł przez pokój i poświecił prosto w stół. Aż dziwne, jak wydawał się jasny. Ale były tam tylko kawałki układanki, częściowo połączone, układające się w srebrnego smoka. Czy to robił tu Sig? Dlaczego siedział w ciemnym pokoju i składał starą układankę, jakby to była jakaś wielka tajemnica?

Dziwne - Ras widział dużo układanek, ale żadna nie była tak kolorowa. I ten smok - kiedy się na niego patrzyło, zdawał się poruszać. Tylko że ruch ten raczej się czuło, niż widziało.

To była układanka, o którą bił się z nim Sig. Teraz jednak odszedł i zostawił ją na miejscu. Ras wyciągnął rękę, zamierzając zgarnąć kawałki do czekającej obok szkatułki. Dopieklby Sigowi, gdyby zabrał ją ze sobą do domu.

Stwierdził jednak, że nie może dotknąć tych elementów, ani ich poruszyć. Obrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju. Niech sobie tu zostanie. Kto by chciał tę starą układankę? Nie była nic warta.

Przebiegł przez dom i wspiał się na okno. Był już w połowie podjazdu, kiedy zobaczył, że Sig wraca. Ras schował się w krzakach. Czy Sig wrócił po swoją cenną układankę?

Kiedy chłopak poszedł prosto do okna i wdrapał się na nie, Ras stał dalej, przyglądając się. Wszedł na ganek, gdy tylko Sig znalazł się w środku. Teraz widział snop światła z latarki, oświetlający drzwi do piwnicy. Sig położył latarkę na stole, zaczął go ciągnąć i przesuwac. Potem zniknął za drzwiami piwnicy. Pewnie zszedł po schodach. Ale nie znajdzie tego, kogo szuka.

Ras pobiegł do domu. Niech sobie białas tam siedzi i poluje proszę bardzo. Ale dlaczego Sig wrócił? Żeby znów się bić? Ras był zdziwiony.

Miał szczęście, udało mu się niepostrzeżenie wejść do pokoju. Głosy Shaki i mamy dobiegały od frontu domu. Mama była chyba zdenerwowana, jak zwykle ostatnio, kiedy Shaka mówił o swoim planowanym marszu protestacyjnym. Odkąd Shaka rzucił college, mama bardzo się martwiła. Podobnie jak wtedy, gdy Shaka przestał chodzić do kościoła i zaczął krytykować to, co pastor próbował zrobić z uczniami starszych klas...

Ras usiadł na krawędzi łóżka i spojrzał na plakaty na ścianie, które dostał od Shaki. Jeden z nich przedstawiał wielką, czarną, uniesioną pięść na czerwonym tle, pod nią wydrukowano mnóstwo obcych słów. Shaka powiedział, że to w języku Swahili, ich własnym języku, który powinni poznać. Uczono go teraz w afrykańskiej szkole, do której Sbaka chciał się dostać.

Ale Ras prawie nie widział znajomej czerni i czerwieni, a głosy z dołu wydawały się mamrotaniem bez znaczenia. Myślał wciąż o układance, leżącej na stole, o srebrnym smoku, który wydawał się poruszać, kiedy nie patrzyło się prosto na niego, a zamierał, gdy mu się przyglądało.

Przypomniał sobie, że na wieku szkatułki były cztery smoki, czerwony, żółty i niebieski. Niebieski... kiedy Ras o nim pomyślał, nie mógł już wyrzucić go z głowy. Nie pamiętał dokładnie wyglądu smoka, tylko jego jasnyniebieski kolor.

Sig poszedł do piwnicy, żeby sprawdzić, gdzie jest Ras, tego był pewien. Ale czy również zabrał układankę? Nagle Ras poczuł się nieprzyjemnie. O co chodziło? Sama układanka nie była ważna, ale nie chciał, żeby Sig ją zabrał! On, Ras, chciał ją zobaczyć jeszcze raz.

Jutro będzie piątek, po szkole mama przyjdzie po niego i pójda kupić nowe buty. Od tego się nie wykręci. Sobota rano - do soboty rano jest jeszcze dużo czasu, to więcej niż pewne.

Głośnie trzaśnięcie drzwiami przerwało mu rozmyślenia. Shaka wychodził. Zawsze trzaskał drzwiami, kiedy był zły. Mama będzie zdenerwowana cały wieczór, a tata, kiedy wróci do domu, będzie się zachowywał jeszcze gorzej niż mama, bo naprawdę jest zły na Shake, Ras potrząsnął głową i wstał, żeby włożyć kurtkę. Wolałby, żeby nie było tych wszystkich kłótni, ale to, co mówił Shaka, miało sens. Spójrz na tatę, powiadał ciężko pracował całe życie i nigdy nie dostawał lepszej pracy, tylko dlatego, że jest czarny. Teraz ludzie nie muszą się z tym godzić, o nie. Ale tata uważał, że źle jest robić rzeczy sprzeczne z prawem. Shaka powiedział, że skoro są dwa prawa, dla białasów i dla czarnych, czarni muszą coś z tym zrobić.

- George? - to mama, ze schodów.

- Tak, tu jestem. - odpowiedział pośpiesznie. Nie warto się wyklócać o "Rasa" z mamą i tatą.

- Przed kolacją masz pół godziny na odrabianie lekcji. - Zawsze w ten sposób odmierzała czas. A kiedy tata wróci do domu i wejdzie na górę, żeby się umyć przed kolacją, zobaczy, jakie książki Ras przyniósł do domu.

Chcieli, żeby się dostał na listę najlepszych i poszedł do college'u. Ale Shaka powiedział... Ras rozłożył książki na biurku, które zrobił dla niego tata. W dzisiejszych czasach rodzinom jest ciężko. Kiedy słuchał słów taty, uważał, że mają sens. Słowa Shaki też miały sens - tylko że obaj mówili różne rzeczy.

Przeglądał zeszyt, myśląc o układance i srebrnym smoku, którego złożył Sig. Dlaczego Sig zaczął nad nim pracować od razu? Powinien raczej zabrać układankę do domu.

Ras westchnął. Zbyt wiele pytań; a on rzadko znajdował odpowiedzi, które mogłyby usatysfakcjonować kogokolwiek, nawet jego samego. Zastanawiał się, co Sig robi albo powie, kiedy rano spotkają się na przystanku. Jeśli będzie próbował coś zacząć - niech uważa. Ras musi mu podziękować za to długie oczekiwanie w ciemności i chłodzie, na schodach piwnicy. Nie zapomni mu tego szybko.

Ras był tak ciekaw, co robi Sig, że następnego ranka przyszedł na przystanek wcześniej. Chiński dzieciak, Kim Stevens, znów opierał się o ścianę, jakby zawsze musiał mieć coś za plecami. Między nogami trzymał tornister i czytał książkę w miękkiej oprawie. Ten to zawsze ma nos w książce. A Artie Jones trzymał nową piłkę. Przerzucał ją z ręki do ręki, pogwizdując, i nie zwracał uwagi na Kima. Ale Siga nie było widać. W końcu pojawił

się - szedł, prawie biegł, w rozpiętej wiatrówce i w czapce zsuniętej na tył głowy tak, że w każdej chwili mogła spaść. Z dziwnym wyrazem twarzy spojrzął prosto na Rasa. Zwolnił kroku i nagle szybko odwrócił wzrok. Jechał autobus. Sig zatrzymał się przy Artiem i zaczął coś szybko bełkotać. Zniknęli w tłumie małych dzieci. Kim włożył palec w książkę, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie przerwał. Wrócił do czytania, gdy tylko zajęli miejsca, jakby Ras, który siedział obok niego, był niewidzialny. Artie, po drugiej stronie, mówił o piłce. Ras uważał Artiego za gadułę. Artie ganiał za bandą Rossa, chociaż nikt go o to nie prosił.

Ras obsunął się na siedzeniu i myślał. Zaplanował wszystko na sobotę. Jednym z jego zwykłych domowych obowiązków tego dnia było chodzenie do pralni. Mógłby nastawić pranie i na chwilę odejść, by spojrzeć na układankę gdyż pralnia mieściła się zaledwie dwie ulice od starego domu. Nie wiedział, dlaczego chce na nią patrzeć, ale czuł, że musi. Chociaż jeśli zabrał ją Sig, Ras już nigdy w życiu jej nie zobaczy.

Dzień mijał bez problemów. Ras zaniósł brudną bieliznę do pralni i włożył ją do maszyny. Teraz miał dwadzieścia pięć minut - mnóstwo czasu na dotarcie do starego domu i z powrotem, jeśli będzie biegł w obie strony. Po drodze rozglądał się za Sigiem, ale zobaczył tylko Artiego, który kopał piłkę. Przy murze nie było nikogo, więc Ras się wślizgnął, i pobiegł za krzakami najszybciej, jak tylko mógł.

Zanim wszedł na ganek, obserwował teren przez długą chwilę. Mocował się z oknem i pchnął je tą samą cegłą, którą posłużył się Sig. Kiedy znalazł się w środku, stanął nieruchomo i słuchał. Z zewnątrz dochodziły niewyraźne odgłosy, w środku było cicho.

Robiąc jak najmniej hałasu, Ras przeszedł przez pokoje i hali do pokoju ze stołem. Snop światła wpadający przez otwartą wewnętrzną okiennicę padał prosto na stół i fotel.

Układanka wciąż tam była, Sig jej nie zabrał. I było tak, jak ostatnim razem, srebrny smok związał się i ryczał, wyglądał jak żywy.

Ras uświadomił sobie, że siedzi, obserwując częściowo ułożoną układankę. Wiedział, co musi zrobić - złożyć coś więcej. Podniósł wieko szkatułki, przesunął palcem po liniach dzielących je na cztery części - srebrny smok na górze, czerwony po lewej, żółtozłoty po prawej, a dziwny niebieski, bardzo niepodobny do pozostałych, o wiele sztywniejszy i dziwaczny, na dole. Odsuwał czerwone i żółte kawałki, skupiwszy się na zbieraniu w stosik wszystkich niebieskich.

Pośpiesznie sortując, stracił poczucie czasu i zapomniał nawet, gdzie jest. Nie myślał o niczym innym z wyjątkiem konieczności połączenia jednego kawałka z drugim, potem z następnym i jeszcze z następnym. Niebieski smok miał już jedną nogę, potem dwie tylne łapy

ze szponami przypominającymi ptasie, ogon, długi i cienki, uniesiony wysoko, naprzeciwko długiej, węzowej szyi. Teraz część łapy dlaczego z przodu ma łapy lwa, a z tym ptasie szpony? Tak, jest druga noga! Nie - raczej część szyi. Ras przerwał, żeby uważniej przyjrzeć się obrazkowi na wieku.

Głowa smoka miała na górze lok, jakby grzywę, i stożkowaty róg wystający, w połowie nosa stworzenia. Już prawie skończył głowę. Jeszcze parę kawałków szyi...

Ras czuł rosnące podekscytowanie. Podnosił kawałki, wybierał je, łączył i rozdzielał. W tym dziwnym obrazie było coś, co na pewno już kiedyś widział, nie mógł sobie tylko przypomnieć, kiedy i gdzie. Zmarszczył brwi, szukając fragmentu łączącego głowę z ciałem. Nagle zamknął oczy, starając się myśleć o całości jako o obrazie, a nie układance. Gdzie to widział? Może pokazywał mu Shaka? Zdjęcie w książce? Pamięć działała bardzo powoli.

Wszystko już było gotowe, z wyjątkiem jednego kawałka uzbrojonej w pazury łapy. Ras wahał się, próbując sobie przypomnieć jak... kiedy... gdzie... To musi być ten kawałek, tylko do góry nogami. Dziwne znaczki z tyłu wyglądają jak maleńkie kliny ułożone w skomplikowany wzór.

Przypomniał sobie! Pismo! Widział to pismo w książce do historii - pismo Sumerów! Te kliny robiono aa glinie patyczkiem, potem tabliczki wypalane były w piecu i stawały się książkami! Ras był zaskoczony, że tak szybko sobie przypomniał. Ostrożnie oddzielił dwa kawałki, które już połączył, odwrócił je. Każdy fragment miał na sobie pismo klinowe, chociaż różne znaki. Sumeryjczycy żyli bardzo dawno temu. Co by robiło ich pismo na odwrotnej stronie układanki?

Miało to coś wspólnego ze smokiem, tego był pewien. Cegły! Tak, cegły! Nagle zobaczył obraz, którego szukał jego umysł - ścianę, a na niej dziwny kształt, ułożony z kolorowych cegieł!

- Surrush-lau!

Ras drgnął, rozejrzał się po pokoju pełnym cieni. Kto to powiedział? On - on musiał to powiedzieć! Ale jak, dlaczego?

Surrush-lau. Patrzył na ułożone stworzenie. Tak się nazywało. I błyskało do niego dziko, jakby rozświetlało je gorące słońce.

KSIAŻE SHERKARER

Słońce świeciło tak silnie, że wyłożone ceglami nabrzeże było rozgrzane jak piec. Mimo upału Sherkarer w środku drżał z zimna. Ale nie mógł pokazać tym barbarzyńcom o bladych twarzach, że się czegokolwiek boi! Patrzył więc prosto przed siebie, trzymając głowę tak dumnie i wysoko, jak tylko mógł: on, w którego żyłach płynęła krew nubijskiego Piankhaya, Pana Dwóch Ziem, Faraona Egiptu, był teraz niewolnikiem w tym miejscu otoczonym murami, pełnym dziwnych, brodatych mężczyzn.

Rzucił okiem na swój nadgarstek - znajdował się tam niebieski tatuaż, przedstawiający poskręcanego węża z lwim łbem wielkiego boga Apedemeka - żeby przypomnieć sobie, jak to było. Jak dawno temu? Dni mieszały się ze sobą. Najpierw tylko niewyraźny ból, który zamglił jego umysł po tym, jak wojenny topór uderzył go w głowę podczas walk o Napatę, Miasto Królów. Później, kiedy odzyskał świadomość, stwierdził, że jest jeńcem wojennym, sprzedanym jako niewolnik! Ach, to był kielich gorczy!

Nie ma lekarstwa na nienawiść, a on gorąco nienawidził tych, którzy go nie zabili, lecz pojмали w Napacie; nienawidził handlarza, który go kupił i tych, którzy się teraz koło niego przepychali. Może jeszcze nie miał na policzkach blizn od lwich pazurów, ale dzielnie walczył i dobrze naciągał łuk, aż strzały zawiodły i siły egipskie zdobyły miasto. Egipcjanie nienawidzili Nubijczyków od czasów, kiedy Piankhay pokazał im, jak słabi są w bitwie i wziął ich tron.

Nubijczycy utrzymali ten tron, aż wiele pokoleń później faraon Tanwetamani został w końcu wyprowadzony na południe, ale nie przez Egipcjan! Nie, to było podczas wojny Asyryjskiej. Tym razem do Egipcjan, którzy wzięli Napatę, dołączyli barbarzyńcy, białoskórzy morscy wioślarze, ludzie bez klanów, którzy zaciągnęli się na pomocy.

Nie żeby ludzie z Napaty albo Meroë byli łatwym celem. Sherkarer zacisnął usta. Nie oddali miasta za darmo. Wspomnienie to nie ulżyło mu jednak, wszak nie było go między tymi, którym udało się wycofać dalej na południe, do Meroë.

Nie miał łuku, w pochwie na ramieniu nie było gotowego do wyciągnięcia miecza, w dłoni nie dzierżył topora. Wyglądał jak ludzie na nabrzeżu, rozebrani do opasek na biodrach, pracujący przy wnoszeniu ładunku na statek, który przybył w górę rzeki o świcie. Ten ładunek... Sherkarer zadrżał.

Znał dzikich łowców z mokradeł na południe od Meroë. Czyż odkąd stanął na dwóch nogach i zaczął biegać po podwórku matki, nie słuchał ich dziwnych opowieści? Jego matką była przecież Bartare, księżniczka Meroë, wnuczka Candace, Królowej Matki. Na jej dworze

gromadzili się wszyscy ci, którzy przybywali z dalekich ziem. i tam się wybierali; ona słuchała tego, co mieli do powiedzenia i przekazywała wiadomości do Napaty.

W owych czasach kupcy z karawan, podróżujących do portów nad zatoką, ludzie z południa, gdzie działo się wiele dziwnych i niewiarygodnych rzeczy, opowiadali swoje historie, a skrybowie je zapisywali. Tak też myśliwi opowiadali o lau - demonie-potworze z mokradeł - aż w końcu Candace rozkazała schwytać go i przyprowadzić, aby mogła go złożyć w ofierze Apedemekowi. Faraon Asopleta, jej Syn z Łaski Amuna, przypieczętował ten rozkaz.

Gdy przemawia Wielki Głos, ludzie są posłuszni. Zajęło to cały rok i jeszcze dwadzieścia dni. Ludzie ginęli w sposób, o którym ci, co przeżyli, mówili tylko szeptem, spoglądając przy tym przez ramię na prawo i lewo. Wreszcie lau przywieziono w klatce do Meroë. Kto go zobaczył, wiedział, że może być tylko demonem, gdyż tak nie wyglądało żadne normalne zwierzę. Ale ludzie schwytali go w sieć, zamknęli w klatce, przewieźli na północ. Któż więc mógłby wątpić w odwagę Nubijczyków?

Sherkarer, patrząc na przykrytą klatkę umieszczoną na rolkach, zastanawiał się, co by było, gdyby nagle zasłona opadła, i ludzie zobaczyliby, jakie stworzenie przewożą. Chciał, żeby się to stało, bo był pewien, że cała ta kompania wzięłaby nogi za pas.

Pomyślał znów o przeszłości, o dniach na dworze, zanim pojmano go w niewolę. Przypominał sobie, jak lau został odesłany z Meroë do pałacu Candance w Napacie. Sherkarer był w oddziale pilnującym potwora. Jego matka chciała w ten sposób zwrócić na niego uwagę Wielkiej Pani, aby zrobił pierwszy krok do przyszłych łask. Spodobał się Candace, chociaż lau nie. Natychmiast nakazała go zasłonić i zabrać do świątyni Apedemeka. Kapłani go nie zabili, lecz troskliwie się nim opiekowali, zamierzając uczynić jego ofiarowanie najważniejszą z ceremonii środka roku. Tylko że zanim ten czas nastąpił, uderzyli Egipcjanie i barbarzyńscy kupcy.

Po wzięciu Napaty, którego do końca nie pamiętał, Sherkarer stwierdził, że jest częścią łupu, podobnie jak lau. Dlaczego potwór był chroniony, nie wiedział. To zły omen. W jakim położeniu znalazła się Napata, gdy sprowadzono go do tego miasta? I jak bardzo ucierpieli ci, którzy przewieźli go na północ? Sherkarer był w niewoli; reszta, jak sądził, zginęła. Uniósł wargę w bezgłośnym warknięciu.

Lau i Sherkarer zostali kupieni przez handlarza Cha-paza i teraz obaj znaleźli się w mieście białoskórych barbarzyńców o krokodylich duszach. Czyżby bóg-lew Apedemek był tak bardzo niezadowolony z potwora, że aby wygnać go ze swej świątyni, ściągnął klęskę na własny lud?

Jeśli tak, czy Sherkarer był przeklęty, bo pomagał przewieźć potwora do Napaty? Przecież działał z rozkazu, i to z rozkazu Wielkiej Córki Apedemeka, Lwicy Kraja.

Jego usta się poruszały w cichej modlitwie, którą słyszał co rano o wschodzie słońca:

Bądź pozdrowiony, o Apedemeku, Panie Napaty

Wspaniały Boże, co przewodzisz Nubii

Lwie południa, silne ramię.

Wielki Boże, do którego przychodzą i walają

Który jesteś towarzyszem dla mężczyzn i kobiet.

Którego nic nie powstrzyma, ani w niebie, ani na ziemi.

- Ty, czarny, padnij!

Bat owinał się wokół ramion Sherkarera, przywracając mu świadomość tego, co się z nim działo. Niewolnicy, którzy ciągnęli zasłoniętą klatkę z lau, leżeli na nabrzeżu, twarzami na ziemi. Inni, urodzeni wolnymi, padli na kolana, skrzyżowali ręce na piersi i schylili głowy. Zabrzmiał dźwięk rogów. Nadchodziła procesja. Bat boleśnie smagał ramiona Sherkarera.

- Na ziemię, niewolniku. Nie będziesz patrzeć na Szambelana Wielkiego Króla!

Sherkarer ukląkł. Miał do wyboru to, albo bycie pobitym - dowiedział się tego gdy ci, którzy go pojмали, narzucili mu pierwszy raz swą wolę.

Chłopi mieli pewne powiedzenie: "Szczur nie może wołać na pomoc kota". Ale prawdą było też, że księżyc, mimo że porusza się powoli, mija całe miasto. Kto trzyma bat dziś, jutro może nie zamknąć na nim palców.

Uklęknie, ale nie zmuszą go do położenia się na cegłach z pracującymi niewolnikami. Może nie ośmielili się dokonać pełnej kary za jego upór w obecności pana, gdyż nie poczuł już bata.

Podczas długiej podróży z Napaty Nubijczyk dość dobrze nauczył się języka swego właściciela, więc rozumiał większość z tego, co do niego mówiono. Ale śpiewne głosy, które teraz słyszał, były dla niego niezrozumiałym bełkotem.

Najpierw nadeszli żołnierze - maszerowali sztywno w swych obszernych zbrojach, a ich kręcone brody wyglądały jak napierśniki. Za nimi posuwał się rydwan z woźnicą i pasażerem, oraz młodzi ludzie w bogatych szatach, idący z boku. Sherkarer starał się jak najwięcej zobaczyć, choć jego głowa była pochylona. Za człowiekiem, który jechał rydwanem, niesiono dwa wachlarze z piór.

Nie miał on sylwetki wojownika. Był raczej niski i gruby, okazała szata opinała jego wielki brzuch. Brodę miał starannie zakreconą, nabłyszczoną oliwą, podobnie jak długie, opadające na ramiona loki, przytrzymywane szeroką złotą opaską. Ubrany był w żółtą szatę i przypominający szal czerwony płaszcz, przymocowany na jednym ramieniu broszą, w której jaśniały drogie kamienie.

- Niech faworyt króla żyje sto razy! - Sherkarer był w stanie to zrozumieć. - Niech Ashpezaa, faworyt Mardeka, żyje długo!

Strażnicy ustawili się w szeregu, kiedy rydwan się zatrzymał, a młodzi ludzie, którzy szli obok niego, stanęli blisko siebie. Ashpezaa, Szambelan, nie poruszył się, ale woźnica uniósł bat i skinął nim.

Kupiec Cha-paz szedł na kolanach, nie wstając. Świta zrobiła mu miejsce, więc podpełzł tak z boku rydwanu, a woźnica dał jakiś rozkaz. Cha-paz wycofał się ten sam niezadarny sposób i zrobił jakiś gest w kierunku człowieka, który nadzorował pracę niewolników. Nadzorca podszedł na dłoniach i kolanach do przykrytej klatki i rozwiązywał sznurki mat, po drugiej stronie osłoniętej klatki to samo czynił jego pomocnik.

Maty pękały i marszczyły się w fałdy, kiedy ludzie odsuwali je na bok. Powiało złym odorem lau, a kiedy do klatki dotarło światło dzienne, rozległ się dziwny hałas. Lau był stworzeniem nocnym i nie lubił ani światła, ani upału.

Jego bezkształtna sylwetka poruszyła się. Klatka szczerkała, gdy głowa o rogowym nosie uderzała w trzykrotnie wzmocnione pręty. Niewolnicy zaczęli krzyczeć, przerażeni nikczemnym poniżeniem w obecności urzędnika. Strażnicy wywijali swymi włóczniami, jakby się obawiali, że potwór wyrwie się na wolność.

Nawet lord poprawił się na siedzeniu, patrząc na pojmaną bestię. Potem, na drugi znak od woźnicy, maty opuszczono i przywiązano. Cha-paz jeszcze raz wezwany został bliżej.

Tym razem mówił Ashpezaa, chociaż nie zwrócił głowy do człowieka, czekającego w pokorze. Potem kupiec szybko się wycofał, ratując przed podeptaniem, gdyż rydwan, strażnicy i świta ruszyli.

Udali się w kierunku miasta, bo nabrzeże służyło świątyni. Sherkarer już to wiedział. W kraju tym świątynia miała własnych kupców, którzy handlowali w dalekich krajach a jej budowle były tak wielkie, jak w sporym nubijskim mieście.

Teraz bity nadzorców trzasnęły raz jeszcze i klatka na rolkach zaczęła się bardzo powoli poruszać. Sherkarer wstał. Kostki stóp złączone miał sztabą z brązu, dłonie - związane sznurem.

- Ty pomocię ryczącego szakala! - bat w dłoni wyćwiczonego oprawcy smagnął go między łopatkami, w miejscu wrażliwym na takie uderzenia. - Idź!

Tak ponaglony, dołączył do szeregu przed ciężką klatką. Jej zapach wzmagął się w upale, roztaczając nad nimi chmurę złego smrodu. Cha-paz, już wyprostowany, szedł dumnie, jakby nigdy nie czołgał się przed urzędnikiem. Skrzynie i kufry, z których kilka Sherkarer rozpoznał z Napaty, niesione były przez innych niewolników. Połączana statua z głową Amuna-Ra i udekorowaną piersią mogła pochodzić tylko z pałacu faraona.

Niewolnicy, którzy nieśli te łupy, nie byli Nubijczykami. Sherkarer był jedynym, dlatego czuł się tak upokorzony, jakby pełzał na brzuchu przed białoskórymi. On, z Królewskiego Domu, on, który nosił Węża, niewolnikiem kogoś takiego! Był jak lew ze świątyni Apedemeka, wzięty przez tryumfującego wroga.

Sherkarer przeraził się własnych myśli. Jak śmiał on, który zawiódł Wielkiego Boga, który nie zginął dzielnie w bitwie, lecz chodził w jarzmie niewolnika, porównywać się do służących Apedemeka? Takie myśli mogły na niego sprowadzić jeszcze większy gniew Lwa! Dotarło do niego więcej słów porannego hymnu:

Ten, który kieruje swój gorący oddech przeciwko wrogowi, w imię wielkiej mocy.

Ten, który kara wszystkie zbrodnie popełnione przeciwko niemu...

Ludzie z Napaty musieli popełnić jakąś straszną zbrodnię, bo Apedemek nie odwróciłby od nich twarzy.

Blask słońca, ból ramion w miejscach uderzeń bata, beznadziejność własnego przeznaczenia połączyły się i sprawiły, że Sherkarer poczuł się chory i oszołomiony. Od czasu do czasu potykał się, walczył jednak, żeby utrzymać się na nogach i maszerować dumnie, jak księżę Nubii, mimo iż był w rękach tych barbarzyńców.

Idąc tak, Sherkarer coraz mniej zauważał swoje otoczenie, aż w końcu znalazł się w pomieszczeniu tak ciemnym, że gdy drzwi zostały zamknięte, nic nie widział. Skoro nie musiał już okazywać dumy, padł na kolana i położył się na posadzce. Mury musiały być bardzo grube, bo panowała tu ciemność nieprzenikniona.

Zastanawiał się ponuro, co się z nim stanie. Czy skończy jak pracownicy, którzy rozładowywali statki - niewolnicy w Meroë, w Napacie, których nigdy nie uważał za ludzi? Pracowali w polu, pomagali przy wypasie bydła albo posługiwali w domach. Po prostu tam byli, a ich właściciele interesowali się nimi mniej niż dobrymi psami myśliwskimi czy znakomitymi końmi.

Czy ci niewolnicy - Egipcjanie - wzięci w poprzednich wojnach dzicy, ciemni ludzie z południa, oraz dziesiątka pojmanych kiedyś kupców (dziwnych, z jasnymi włosami i oczami) - czy nienawidzili jego ludu, jak on nienawidził tych, co go pojмали?

Napata była daleko, Meroë jeszcze dalej. Może nigdy ich nie zobaczy, może będzie zmuszony przeżyć resztę życia w tym gorącym, płaskim kraju. Zamknął oczy i z całych sił powstrzymywał łzy. Był Sherkarerem, najstarszym synem księżniczki Bartare, krwi wielkiego zdobywcy Piankhaya, Faraona Dwóch Ziem, szlachcica z Nubii. Ale to wszystko nie robiło teraz różnicy. Nie był dorosłym człowiekiem, lecz chłopcem, który jeszcze nie walczył z lwem i nie zabił go swą włócznią- i bardzo się bał.

Z żalu zapadł w drzemkę. Obudził się, gdy jasne światło słoneczne padło przez otwarte nagle drzwi. Stanął w nich młody mężczyzna, Sherkarer przyglądał mu się, osłaniając oczy dłonią. Przybysz nie był strażnikiem, nie miał nawet noża w fałdach miękkiej szarfy, opasującej talię.

Na policzkach widać było zaczątki miękkiej, kręconej brody, włosy opadały mu na ramiona, co było w zwyczaju tych ludzi - w zwyczaju nieczystym, bo przecież wszyscy wiedzieli, że lepiej było golić głowę i ciało, żeby czuć się lepiej w upale. Przybysz miał jasną skórę, jaśniejszą niż Egipcjanie. Na ramionach, między łokciem a barkiem, nosił szerokie, srebrne bransolety. Jego sandały miały kolorowe palce i rzemyki, odziany był w niebieską szatę, przepasany szarfą utkaną z pasków niebieskich, zielonych i żółtych, z frędzlami na końcach.

Sherkarer potarł dłonią wytatuowanego na nadgarstku węża, jedyny znak przypominający, kim jest - przecież ciało jego osłaniała jedynie przepaska niewolnika. Spojrzał wyzywająco na młodego człowieka w bogatej szacie. Co on tu robi?

- Na imię mi Daniel - powiedział młodzieniec powoli, trochę zbyt przeciągle, jakby tym tonem chciał sprawić, żeby głupi nieznajomy zrozumiał. Sherkarer tego nie odczuł; był zbyt zajęty zastanawianiem się, czy to dziwne imię naprawdę jest imieniem, czy też jakimś barbarzyńskim tytułem. Czy nowo przybyły spodziewał się, że chłopak padnie na posadzkę i będzie się przed nim czołgał?

Młody człowiek odwrócił się, wziął miskę i dzbanek od kogoś, kto stał za nim, i był tak oświetlony słońcem padającym z podwórza, że Nubijczyk go nie widział. Trzymając te naczynia w dłoniach, wszedł głębiej do pokoju i podał je Sherkarerowi.

- To dobre - znów mówił wolno i wyraźnie. - Jedz i pij, bracie. Nubijczyk nie ruszył się, żeby wziąć to, co mu podawano.

- Nie jestem twoim bratem - starannie wymawiał słowa, które tak bardzo różniły się od dworskiego języka egipskiego i języka Kushite jego rodaków. - Jestem Sherkarer z Domu Piankhaya!

- Słyszałem o Piankhayu - powiedział młody człowiek. - Był kiedyś królem Egiptu.

- Faraonem Dwóch Ziem! Jego krewny rządzi teraz w Napacie, w Meroë, w Nubii. - Nagle przypomniał sobie, że w Napacie została tylko śmierć.

- W Babilonii jest tylko Wielki Król, Nabuchodonozor. - odparł Daniel. - Chociaż kiedyś w Jerozolimie rządził Jehoiakim Zjda, a potem Zdekiah, który został teraz tu uwięziony i oślepiiony; Wielki Król się z niego wyśmiewa. Jehowa nie zawsze błogosławi władców. Ale dlaczego mówimy o królach, których już nie ma, bracie? Na pewno jesteś głodny i spragniony, a to jedło jest dobre. Byłem niegdyś w tym miejscu, co ty, lecz wciąż żyję. Z łaski Pana nie ucierpiałem bardzo, a nawet zyskałem pewne wpływy.

Sherkarer słuchał, ale czy mógł uwierzyć w te słowa, to inna sprawa. Zdawało się, że ten Daniel chciał dobrze, a on był bardzo głodny, aż lekko drżał, patrząc na jedzenie. Nie sięgnął jednak po miskę, lecz spojrzał pytająco na Daniela.

- Dlaczego do mnie przyszedłeś?

- Ponieważ zabrała cię z domu wojna, tak jak mnie. I... - zawahał się a potem powiedział to, co Sherkarer uznał za prawdę. - Mówią, że przyjechałeś ze smokiem, który został dany kapłanom Bela, i że wiele o nim wiesz.

Teraz Sherkarer wziął jedzenie. Był gotów uwierzyć, że dostał je w zamian za informację, a nie z dobrej woli nieznanego.

- Wiem o lau. - odpowiedział krótko, zdecydowany wymyślić wszystko, czego nie wiedział, bo była to jego jedyna broń przeciwko miastu i jego ludziom.

- Lau - powtórzył Daniel. - Tak go nazywacie w waszym języku? Tu zwą go "sirrush" - smok. Ludzie używają tej nazwy dla demonów, które widują jedynie w złych snach. Chociaż według bardzo starej opowieści smok taki mieszkał niegdyś na nadrzecznych mokradłach i znali go kapłani Bela, ale było to bardzo, bardzo dawno temu.

- Teraz, kiedy Cha-paz przywiózł tego SIRRUSH-lau do świątyni, będzie to uważane za wielki znak na rzecz Bela. Da on jego kapłanom jeszcze większą władzę.

Sherkarer był zajęty wybieraniem gulaszu z miski i wkładaniem go do ust. Jedło było dobre, o wiele lepsze niż wszystkie posiłki, które jadł od upadku Napaty. Ale też słuchał, ponieważ każdy uczy się oczami i uszami. Pajęczyna faktów może związać lwa; nie wiedzieć to źle, nie starać się wiedzieć - jeszcze gorzej.

- Wkrótce nadejdzie czas - ciągnął Daniel - gdy sam Wielki Król Nebuchadnezzar będzie musiał oddać całą swą władzę Mardukowi- Belowi, a odzyskają tylko wtedy, gdy taka będzie wola boga. Przyrowadzenie SIRRUSH-lau na taką ceremonię da kapłanom ogromną władzę.

- Mówisz o tych kapłanach i ich bogu... - przerwał SHERKARER jakby nie byli twoimi kapłanami, a on nie był twoim bogiem. Młody człowiek się uśmiechnął.

- Może na twoich rękach są łańcuchy niewolnika, ale żadne więzy nie kępują ci umysłu. Nie, wszyscy w Babilonii wiedzą, że nie klękam przed Mardukiem-Belem, lecz służę prawdziwemu Bogu.

- Apedemekowi? - SHERKARER mu nie wierzył. Daniel potrząsnął głową.

- Bogu Jehowie, który zawarł przymierze z moim ludem. Nie klękamy w świątyniach idoli i fałszywych bogów. I nawet tu Wielki Król wysłuchał naszych słów i zaczął szukać jaśniejszego światła niż to, które może znaleźć na tych przeklętych ołtarzach. Tylko że dzięki przybyciu tego potwora kapłani Marduka- Bela są silniejsi.

- Twoje usta się uśmiechają, ale co masz w sercu? - odparł SHERKARER. - Jem z twojej łaski, nieznajomy, ale drewno może leżeć dziesięć lat w rzece, a nie stanie się krokodylem. Nie sądzę, żebym wziął miecz i walczył w twojej wojnie. Jakie ma znaczenie dla ranie, jakiego boga wzywa ten król?

Daniel wciąż się uśmiechał.

- Jesteś ostrożny. Wszystko to jest dla ciebie obce, tak jak dla nas, gdy przyrowadzili nas z Judei do Babilonii. Może zbyt się pośpieszyłem w tej sprawie. Ale ty, nawet bardziej niż Cha-paz, znasz naturę sIRRUSHA. A kapłani... - uśmiech zniknął, jego twarz stała się teraz poważnym obliczem wojownika - mówią, żeby złożyć mu w ofierze człowieka. Nie sądzisz, że pierwszą taką ofiarą możesz być ty?

- Grzmot nie oznacza jeszcze deszczu. - SHERKARER starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. Wiedział trochę o lau. Możliwe, że kapłani złożą kogoś w ofierze, chociaż może nie w taki sposób. Był zmęczony, poza tym trochę przestraszony. Trudno było grać wojownika. Niech ten obcy już wyjdzie, by on wreszcie mógł odpocząć!

Daniel chyba odczytał myśli Nubijczyka, bo wziął pustą miskę, chociaż zostawił dzban.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem, bracie. Czasu mamy coraz mniej. Jeśli wiesz o sIRRUSHU coś, co mogłoby pomóc w razie niebezpieczeństwa, zrobisz dobrze, mówiąc to. Kapłani są wrogami wszystkich, których nie uważają za prawdziwych synów Bela. Wiele razy próbowali skończyć i ze mną, ale dzięki mocy Jehowy nie zatryumfowali. Jednakże

wszyscy wiedzą, że Bel jest bogiem pomniejszym. Teraz więc kapłani szukają czegoś, co pokaże ludziom jego potęgę. Ten smok, jak sądzą, może temu posłużyć. Teraz Wielki Król mi sprzyja, ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ, trzeba więc ją wykorzystać, gdy jeszcze trwa.

Wyszedł, zostawiając uchylone drzwi. Sherkarer widział cień stojącego tam strażnika. Jakby mógł mieć nadzieję na ucieczkę, będąc skuty łańcuchem. Podniósł dzban i napił się. Było to lurowate, kwaśne piwo, więc się skrzywił, ale jednocześnie ucieszył się, że może czymś przepłukać zaschnięte gardło. Dotknął wytatuowanego znaku Apedemeka na swym nadgarstku. Ten Daniel i jego opowiadanie o dziwnych bogach... Było jasne, że chociaż chodził wolny i zyskał sobie łaskę króla, musiał być również jeńcem z innego kraju.

Nie potrzebował ostrzegać Sherkarera, że łaska może się skończyć. Działo się tak również w Nubii. Ludzie podnosili się dzięki uśmiechom Wielkiego Faraona i Candace, padali, gdy ci zmarszczyli brwi. Daniel musi być odważnym człowiekiem, że przyszedł do domu swych wrogów i spotkał się z jeńcem, aby poprosić go o pomoc w pokonaniu tych samych nieprzyjaciół - gdyż Sherkarer był teraz pewien, że to było celem Daniela.

Człowiek zbyt ambitny nie śpi spokojnie - czy o to chodzi? Czy Danielem kierowała ambicja? Sherkarer zamknął oczy. Kiedy pojechał do Napaty, był tylko chłopcem bez blizn; teraz myślał o tamtych dniach, jakby minęło wiele lat. Chociaż nie miał na twarzy śladów lwich pazurów, stał się mężczyzną i musiał wykorzystać cały swój spryt, żeby przeżyć.

Czy życie niewolnika jest życiem? Lepiej chyba będzie zmierzyć się z lau - jeśli ten jeszcze nie padł. Cha-paz miał sporo kłopotów, żeby utrzymać zwierzę przy życiu podczas podróży. Potrzebowało wody i zieleniny, żeby napchać brzuch. Potwór, mimo że wyglądał na pożeracza ludzi i zwierząt, nie jadł mięsa. Jednak zabiłby w straszliwy sposób - nawet hipopotama albo lwa, gdyby się rozgniewał.

Jego silne tylne łapy miały szpony jak ptak, krótsze łapy przednie mogły szarpać i rozdzierać. Smagający ogon ściałby z nóg człowieka, konia albo lwa. Długa szyja zwieńczona była pomarszczoną głową węża, a z czubka nosa wyrastał róg, którym potwór wyrywał z ziemi rośliny, którymi się żywił. Gdy za długo trzymano go na słońcu albo w upale, stawał się słaby, bliski śmierci. Kiedy wieźli go do Napaty, musieli moczyć maty zasłaniające klatkę. Zdawało się, że na wolności upalne dni spędzał w wodzie, wychodząc z niej tylko w nocy.

Cha-paz był w Napacie przed przybyciem Egipcjan. Sherkarer podejrzewał, że kiedy kupiec wyszedł z kryjówki, żeby zażądać łupów zagrabionych przez najemników, działał jako szpieg. Nie po raz pierwszy Król Królów, Pan Babilonii, wyciągnął chciwe palce w kierunku

Nubii. Ale dla jego żołnierzy, którzy poprzednio wyruszali w te strony, podróż była zbyt ciężka, więc żadnemu z nich nie udało się dotrzeć do Kush.

To Cha-paz nie pozwolił bieżnikom zabić lau, w którym widzieli demona. Musiał zapłacić fortunę, żeby go tu przywieźć. Zadał sobie wiele trudu, by znaleźć Sherkarera wśród niewolników, gdy się dowiedział, że potwór został przewieziony do Napaty przez ludzi z Meroë, i że chłopak był jedynym, który pozostał z grupy.

Nubijczyk zastanawiał się nad przeszłością, gdy przybył kolejny gość. Tym razem był to Cha-paz we własnej osobie, w towarzystwie dwóch nadzorców.

Sherkarerowi niczego nie wyjaśniono, lecz wyprowadzono go z pomieszczenia i zabrano przez podwórzec do innego budynku, gdzie zajęli się nim niewolnicy: zdarli mu przepaskę, postawili go na kwadratowej płytce, wylewali wiadra wody na jego szczupłe ciało, nacierali go oliwą i piaskiem. Potem zarzucili na niego krótką tunikę, którą przepasali szkarłatną wstęgą.

Podczas podróży z Nubii włosy urosły mu jak krótka szczecina, ale nie pozwolono mu się ogolić. Z pewnością nie dostanie peruki na ceremonię.

Zabrano go i pokazano Cha-pazowi. Ten podszedł, obejrzał od stóp do głów, jakby młodzieniec nie był żywym człowiekiem, tylko przedmiotem jego własnego pomysłu. Nubijczyk zacisnął dłonie, ale pilnował się najlepiej, jak mógł, żeby nie okazać nienawiści.

- Słuchaj, ty. - Kupiec stanął przed Sherkarerem. - Mówią, że serce Boga jest daleko, w środku nieba. Jeszcze dalej znajdziesz miłosierdzie tego, któremu tu służysz, jeśli będziesz nieposłuszny. Mogłem cię zostawić na pożarcie sępom, które teraz wyprawiły sobie ucztę w Napacie. Bo jeśli myślisz, że żołnierze prawdziwego faraona pozwoliliby tobie, który nosisz ten znak - wskazał na tatuaż - żyć długo, jesteś głupcem. Nie zginąłeś za sprawą mojego wyboru, żyjesz z mojej woli i dla jednego tylko powodu: pomagałeś przewieźć sirusza do Napaty, więc wiesz o nim więcej, niż ktokolwiek z żywych. To, co wiesz, powiesz nam, i będziesz służyć strażnikom sirusza.

Tak Sherkarer znalazł się w świątyni Marduka-Bela, związany z kapłanami wybranymi do opieki nad smokiem. Wykorzystywał swą nową pozycję najlepiej, jak mógł.

Świątynia była jak miasto, miała wiele podwórzcy i budynków. W bogatej kaplicy przeładowanej złotem stały wizerunki Marduka i jego żony, Sapatum (wraz z mniejszymi posągami ich sług), suto ozdobione cennymi metalami i klejnotami. Ale do tej komnaty wejść mogli tylko Wielki Król i najważniejsi z kapłanów.

Na jednym z podwórców opiekunowie sirusza częściowo nakryli basen dachem z codziennie zmienianych trzciny i winorośli. Tu trzymali smoka i przynosili mu rośliny. Ale

smok był ospały i okazywał niewielkie zainteresowanie otoczeniem. SHERKARER, żeby chronić swoją pozycję eksperta w sprawach smoków, siadywał na brzegu basenu, chociaż odór stworzenia przyprawiał go o mdłości. Spędzał tam czasami całe godziny, gdyż ważne było, żeby wciąż czuwał.

Dwukrotnie widział młodego Daniela, chociaż nie rozmawiali już ze sobą. Dowiedział się od niewolników, jak bardzo nienawidzili go kapłani. Okazało się prawdą, że był jeńcem wojennym, podobnie jak SHERKARER. Pochodził z niewielkiego kraju na zachodzie. Zgodnie z życzeniem ASHPYZAA, WEZYRA, wybrano najjaśniejsze z pojmanyh dzieci i wychowano je w jego służbie. Daniel był ich przywódcą.

Ludzie opowiadali o nim różne historie: jak wtrącono go do jamy królewskich lwów, które przedtem głodzono, ale żaden z nich go nie tknął. Jak wyzwał kapłanów i udowodnił, że żaden bóg nie przychodzi w nocy, żeby dotknąć ofiary pozostawionej na ołtarzu: ofiary zabierali ludzie, którzy zostawili ślady na popiele, z polecenia Daniela w tajemnicy rozsypanym przed ołtarzem.

Nebuchadnezzar, Wielki Król, słuchał opowieści Daniela o jednym Bogu, który ma całą władzę. Dlatego też kapłani szukali sposobu na pozbycie się go.

Parokrotnie sam Wielki Kapłan, w progach miasta–świątyni tak ważny, jak król poza tym miejscem, wysłał skrybów, żeby pilnowali sirrusha i rozmawiali z jego opiekunami. SHERKARER nie wątpił, że przygotowali jakiś plan, w którym ważną rolę miał odegrać smok. Był również świadom, że od sirrusha zależy jego własne życie. Dla tych, którzy go przetrzymywali był wart tyle, ile wiedział o smoku, czy raczej udawał że wie.

Był więźniem świątyni, bo przy jedynej bramie zawsze stali strażnicy. Nikt nie przychodził ani nie wychodził, chyba że miał tabliczkę z pieczęcią Wielkiego Kapłana.

Dziesiątego dnia po przybyciu SHERKARERA do świątyni jeden z niewolników podszedł do basenu, żeby odsunąć zwiędłe rośliny i przynieść nowe zapasy; potknął się i uklęknął przy SHERKARERZE. Z jego dłoni wypadło coś małego i zatrzymało się obok sandała NUBIJCZYKA. Mężczyzna nie sięgnął po to, więc SHERKARER zakrył przedmiot stopą. Kiedy niewolnik odszedł, SHERKARER pochylił się, jakby chciał mocniej zawiązać rzemyk buta, a jego palce zamknęły się na przedmiocie, który zgubił niewolnik.

Serce podskoczyło mu na widok tego, co trzymał w dłoni. Obawiał się, że podniecenie może go zdradzić, gdy jednak pośpiesznie rozejrzał się wkoło, nie zauważył w pobliżu nikogo poza niewolnikami, a nadzorca patrzyli tylko na nich.

Cenny przedmiot z przeszłości, pochodzący ze zrabowanych w Napacie łupów - lapisowy skarabeusz z imieniem samego Piankhaya. Dlaczego? Czyżby w Babilonie było

więcej Nubijczyków? Ludzie, którzy słyszeli o Sherkarerze, chociaż on nic o nich nie wiedział? Jeśli tak, też musieli być niewolnikami - a jednak podjęli ryzyko próby skontaktowania się z nim.

Zobaczył, że niewolnik, który upuścił skarabeusza wraca, nie było jednak szansy na rozmowę. Mężczyzna podniósł narecze gnijących roślin, a kiedy przechodził obok Sherkarera, upuścił ich trochę.

Nubijczyk kopnął rośliny w bok, zastanawiając się, jak mógłby dowiedzieć się czegoś od posłańca. Potem zobaczył, że jedna z trzcin jest świeższa, bardziej zielona niż inne - i ma na sobie jakieś znaki. Poruszył nogą jeszcze raz, przesuwając trzcinę z krawędzi basenu w cień, po czym usiadł tam po turecku, przyglądając się robotnikom, jak czynił to wielokrotnie przedtem. Jego dłonie zamknęły się na kawałku trzciny. Zaczął ją od niechcenia obracać.

Po chwili mógł się zabrać do czytania. Wreszcie zrozumiał parę znaków. Były wyskrobane z trudem, jakby przez kogoś, kto słabo znał egipski język dworski. Nie oznaczało to, że nie mógł ich napisać Nubijczyk. Bardzo niewielu ludzi, z wyjątkiem skrybów, potrafiło pisać swobodnie.

“Południe - zachodnia ściana - kanał” - tak, jak sądził, brzmiała informacja.

U stóp lewej ściany znajdował się kanał, a w nim rura, przez którą w razie potrzeby można było wypuścić wodę z basenu. W południe podwórzec będzie prawie opustoszały, ponieważ wszyscy rozsądni ludzie schronią się w chłodzie i cieniu pomieszczeń o grubych ścianach. Sherkarer przełknął ślinę; wilgoć wypełniła jego usta. Na czole i nad górną wargą miał kropelki potu, a wewnątrz dłoni zrobiło się śliskie.

Ucieczka - to z pewnością oznaczało ucieczkę! I chociaż on nie widział żadnej szansy, może inni mieli więcej szczęścia. Kim mogli być? Strażnikami, którzy przeżyli zniszczenie pałacu Candace, a może szlachcicami? Ci, którzy wiedzieli o jego wysokim urodzeniu, mogli zaryzykować dla niego bardzo wiele. Możliwe nawet, że jeśli Wielki Faraon nie schronił się w Meroë, to Nubią rządziła teraz rodzina Sherkarera. Rozmyślenia te tak go podekscytowały, że nie mógł siedzieć i czekać, więc wstał i chodził wzdłuż krawędzi basenu. Woda była ciemna, jak zwykle cuchnąca. SIRRUSH-lau opadł na dno, próbując się skryć przed światłem, w czasie, gdy zmieniano maty na dachu.

Nubijczyk obserwował cienie, próbując stwierdzić, ile ma jeszcze czasu do umówionego spotkania. Starał się opanować. Miał szczęście, że w pobliżu nie było żadnych starszych kapłanów. Inni byli już tak przyzwyczajeni do jego codziennych inspekcji basenu - które przedłużał, by przekonać ich o swej specjalnej wiedzy - że w ogóle na niego nie patrzyli.

Zawsze jadł sam, bo nie był ani niewolnikiem, ani wolnym człowiekiem. Wziął więc swą porcję kaszy jęczmiennej, rzodkiewki, parę fig i cebulę. Szybko przełykał niesmaczne pożywienie.

Południe - podwórzec był pusty. SHERKARER podszedł do basenu, udając, że sprawdza nowy dach. Zza muru dochodziło trąbienie słonia. Dźwięk roznosił się dobrze, bo ucichła zwykła wrzawa świątyni i miasta. NUBIJCZYK rozejrzał się szybko i stwierdził, że nie jest obserwowany, więc podszedł do rury i pochylił się, jakby podejrzewał, że coś się zepsuło w dopływie wody.

- Jesteś tu? - z ziemi dobiegł głuchy głos.

Te słowa wystarczyły, żeby rozczarować NUBIJCZYKA. Żaden z jego rodaków tak by nie mówił; on sam, mimo że pilnie uczył się miejscowego języka, miał akcent, był więc pewien, że każdy NUBIJCZYK mówiłby podobnie.

- Jestem - odpowiedział, chcąc się dowiedzieć, kto przysłał mu królewskiego skarabeusza i wyskrobał wiadomość na trzcinie.

Usłyszał chrząknięcie, jakby leżąca w kanale osoba próbowała się wygodniej ułożyć. Potem ktoś odezwał się ponownie:

- Przemyślałeś słowa Daniela, NUBIJCZYKU? Daniel! Czyżby dworski intrygant wciąż próbował go wciągnąć w jakiś spisek przeciwko kapłanom?

- Ten, kto zadaje pytania, nie może nie odpowiadać - SHERKARER powtórzył dworskie przysłowie, starając się myśleć jak najszybciej.

- Kim jesteś ty, który chowasz się w ziemi, żeby mówić o Danielu?

- Jego uchem, a czasami i ustami, gdy tak trzeba - w głosie słychać było zniecierpliwienie. - Pytam raz jeszcze - przemyślałeś jego słowa?

- Dlaczego ja? Kto biegnie sam, tego nikt nie prześcignie. Żyję, bo żyje SIRRUSH, a oni wierzą, że dzieje się tak dzięki mnie.

- Chcesz zatem pozostać tu jako niewolnik śmierzącego potwora, zamiast stać się wolnym i ruszyć z powrotem do swego kraju?

- Gdy się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy...

- Nie mam czasu na mądre powiedzonka, NUBIJCZYKU! Oto propozycja, przyjmij ją lub odrzuć. Poprzyj Daniela, żeby zyskał pełną łaskę Króla, albo zostań, aż potwór zdechnie i nie będzie tu już dla ciebie miejsca. Daniel nie zapomina o tych, którzy są z nim - a moc pieczęci Wielkiego Króla dosięga wszędzie. Może dać ci wolność i otwartą drogę do własnego kraju.

- Jeśli może to zrobić - odparł SHERKARER - czemu nie robi tego dla siebie? Sam powiedział, że jest tu uwięziony. Jedno kłamstwo niszczy tysiąc prawd, naciągaczu!

- Daniel ma zadanie od Boga Jehowy - zostaje tu, żeby zmiękczyć serce Wielkiego Króla i zwrócić jego uwagę na los naszego ludu. Wybiera Babilon, by mu służył. - Głos brzmiał tak pewnie, że zachwiał nieco wątpliwości Nubijczyka.

- Można obiecać cały świat, lecz gdy nadejdzie czas, nie móc dać nawet ziarnka kurzu. Rozbudziłbyś we mnie nadzieję wolności i Meroë, jak woźnica wabi osła pęczkiem świeżego siana - ale czas zjedzenia siana może nigdy nie nadejść.

- Jak długo będzie żyć twój potwór, Nubijczyku? Mierz swoje życie jego życiem! Jeśli zdechnie, czy kapłani pozwolą, by wina spadła na nich? Nie, gdy mają kozła ofiarnego!

To była ciężka do zniesienia prawda, która trafiła jak dobrze wycelowana strzała. Smok był ospały, ostatnio ruszał się coraz mniej. Możliwe, że długo tu nie pożyje. I oczywiście za jego śmierć obwinia Sherkarera. Jego własne wysiłki by uchodzić za eksperta w opiece nad siruszem obróca się przeciwko niemu.

- Czego chce ode mnie Daniel? - zapytał. Dowiedzieć się nie zaszkodzi.

- Powiedz mu, co potwór połyka najchętniej. Rzucił kapłanom wyzwanie, że może zabić smoka własną wolą, bez miecza, włóczni ani strzał. Ma tylko dwa dni na przygotowania. Czy ten smok atakuje ludzi?

- Jeśli jest zagniewany, tak. I może zabijać, z łatwością! w straszliwy sposób. Dwa dni temu zdenerwowało go ryczenie osła, na którym przywieziono piwo dla strażników. Rozdarł biedne zwierzę na kawałki.

- Czy kapłani mogą wywołać takie zachowanie?

- Możliwe. - Sherkarer nie był pewien, jak, ale sądził, że kapłani uczynią z wyzwania Daniela pretekst i zrobią, co tylko w ich mocy, żeby zginał na skutek swego szaleństwa.

- Co je najchętniej? Możesz znaleźć kawałek?

- Jest taki korzeń trzciny, który smok wyszukuje najpierw. Nie znam nazwy, ale...

- Weź garść tych korzeni. Przygotuj je na jutro i połóż na dachu z maty, żeby je zabrano. Następnego dnia rano, gdy przyniosą paszę, będzie w niej kula owinięta w te korzenie. Dopilnuj, żeby znalazła się na wierzchu stosu jedzenia dla potwora.

- A jeśli tak zrobię? - Ale nie było odpowiedzi, chociaż Sherkarer położył się i wołał cicho w głąb rury. Ten, kto tam był, już odszedł. Sherkarer wrócił do swoich pomieszczeń, żeby pomyśleć.

Niewidzialna osoba obiecała wiele. Ale wszystko zależało od różnych jeśli - jeśli zdoła dostarczyć im trochę korzeni, jeśli Daniel jakoś je wykorzysta, jeśli Sherkarer przeżyje furię kapłanów, gdy Daniel zabije bestię; jeśli Daniel dotrzyma obietnicy i, zdobywszy łaskę króla, będzie pamiętał o Nubijczyku. Jeśli, jeśli, jeśli...

Z drugiej strony, gdyby sirrush zdechł, Sherkarer mógłby czekać tylko na pewną śmierć, choć prawdopodobnie nie najłatwiejszą.

Pomyślał, że tak czy inaczej jego przyszłość maluje się w ciemnych barwach. Może jednak lepiej będzie zrobić tak, jak sugerował człowiek Daniela. Nadzieja jest zawsze lepsza niż to, co się ma.

Posłuchał zatem rozkazów. Dopilnował, żeby pełna garść korzeni została wyniesiona wraz z daszkiem z maty. Był zadowolony, że zrobił to w nocy, kiedy Sirrush tylko skubał jedzenie.

- Bestia choruje - powiedział do Sherkarera kapłan, w jego głosie brzmiała ostra nuta.

- Co się dzieje?

- Smok jest wciąż zmęczony po długiej podróży bez odpowiedniego pożywienia i wody - pośpieszył z odpowiedzią Sherkarer. Teraz, gdy tu jest, szybko dojdzie do siebie.

- Oby, czarnoskóry, bo dowiesz się, co spotyka tych, którzy źle służą Mardukowi-Belowi. A jutro... - zawahał się i dodał. - Jutro musi być gotów zemścić się na wrogu naszego Boga. Musi wyjść z wody i uderzyć tego, kto zaprzecza woli Marduka. Jak to zrobić?

- Gdyby człowiek stanął po drugiej stronie basenu - Sherkarer zastanawiał się już nad tym trochę, gdyż żaden plan Daniela nie miałby szans powodzenia, gdyby smok chował się pod powierzchnią wody - i bił wodę pałką, smok wyjdzie na płyciznę. Trzeba to zrobić wieczorem, bo, jak wiesz, bestia nienawidzi dnia. Większość pochodni powinna być trzymana na dalszym krańcu basenu.

Próbował sobie przypomnieć historię o tym, jak schwytano potwora. Był pewien, że w ten sposób doprowadzono go do klatki.

- Tak też się stanie. - Kapłan kiwnął na skrybę, czekającego rozkazów.

Następnego ranka Sherkarer znalazł kulkę z trzciny w jednym z koszy z roślinnością. Dochodził z niej zapach smoły i tłuszczu, a spomiędzy trzcin wystawały niewielkie włoski, więc zawinął wszystko jeszcze raz i położył pod pierwszą warstwą stosu jedzenia. Przez resztę dnia starał się zachować cierpliwość, sto razy był gotów iść i zabrać tę kulę, pewien, że nie może ufać Danielowi; sto razy jednak pozostawał na miejscu, bo tliła się w nim iskierka nadziei.

O zmroku przyszli ludzie, którzy przygotowali tę próbę, i nawet sam Wielki Król. Ustawiono dla niego tron, który górował nad strażnikami i dworzanami. Wielki Kapłan miał niższy tron po prawej stronie, rząd strażników tworzył ścianę między nimi a basenem. Sherkarer stał w tłumie przy ścianie, i choć udało mu się wdrapać na mały stos trzciny, oparcie było zbyt niestabilne, żeby wszystko widzieć.

Zdarto zadaszanie z trzciny, potem kapłan, który, doglądał smoka, uczynił gest. Rozległy się uderzenia w bębny i dźwięki rogów, niewolnicy z pałkami uderzali w powierzchnię wody. Za nimi płuły dwa rzędy pochodni.

Ich wysiłki spowodowały zmącenie wody. Potem wyłoniła się z niej głowa sirrusha na długiej, giętkiej szyi. Smok wydał z siebie ryk, głośniejszy, niż Sherkarer kiedykolwiek słyszał, a łeb potwora odskoczył w tył, jak głowa węża, przygotowującego się do ataku. Bestia odwróciła się od ludzi, przeszkadzających mu mąceniem wody. Ponieważ drugi kraniec basenu był płytki, sirrusha podniósł się. Stał teraz na swych silnych tylnych łapach, przednie zgiął na brzuchu, głowę wysunął do przodu. .

Jakiś mężczyzna wstąpił na schody przed Wielkim Królem. Mimo półmroku, który panował w tym miejscu, Sherkarer rozpoznał w nim Daniela. Kiedy ten podszedł. Król uniósł rękę, dając znak, i w chwili tej cały zgiełk powodowany przez rogi, bębny i uderzenia w wodę ucichł, tak że głos Daniela rozbrzmiał po całym podwórzu.

- Królu, obyś żył wiecznie! Przyszedłem na sąd twego boga. Jak obiecałem, nie mam broni... - rozpostarł ramiona, żeby wszyscy zobaczyli, że ma puste ręce. - A jednak zabiję tę bestię tak, jakbym rzucił ją na ostrze królewskiego miecza. I zabiję ją dzięki mocy Boga Jehowy, który chciał, bym tu przybył.

Wśród kapłanów słychać było poruszenie, pomniki, ale dłoń króla znów przywróciła ciszę.

Daniel odwrócił się i podszedł do brzegu basenu. Smok podniósł się, czekał. Był wyższy niż dwóch mężczyzn. Przestał nawet gniewnie poruszać głową. Sherkarer wziął głęboki wdech, patrząc na ogon, wyczekując zdradliwego drżenia, które oznaczać będzie, że ten pokryty łuską, straszliwy bat uderzy bezbronny człowieka.

Ale Daniel szedł, jakby się nie bał, z rękami w górę, z odsłoniętymi dłońmi. Z ust jego płynęły słowa, których Sherkarer nie rozumiał. Ale zgadywał, że Daniel przyzywał swego Boga we własnym języku. Słowa brzmiały jak śpiew kapłana. Wśród kapłanów Marduka-Bela nastąpiło poruszenie, jakby mieli zamiar wygnać tego obcokrajowca, który sprofanował ich świątynię.

Teraz Wielki Kapłan uniósł dłoń, żeby ich uciszyć. Sherkarer zeszywniał, bo wydawało mu się, że zauważył drżenie ogona smoka.

Zwierzę jednak się nie poruszyło, więc Nubijczyk zaczął wierzyć, że Daniel utkał swym śpiewem zaklęcie, które unieruchomiło potwora. Tymczasem Daniel, wciąż mówiąc, podniósł garść korzeni trzciny. Zwinął je i rzucił w powietrze. Szczęki potwora rozwarły się, chwyciły kulę z roślin i zmiażdżyły ją.

Sherkarer zamarł ze zdziwienia. Nie mógł uwierzyć, że potwór jadł rośliny rzucone przez Daniela, chociaż widział to na własne oczy.

Po raz drugi Daniel nakarmił sirusza zwiniętą porcją korzeni. Nikt dookoła nie poruszył się ani nie uczynił żadnego gestu. Całe towarzystwo zamarło w milczeniu; Nubijczyk słyszał nawet oddech stojącego przy nim człowieka.

Po raz trzeci Daniel wziął pokarm. Tym razem Sherkarer był pewien, że to porcja, którą ukrył między korzeniami. I po raz trzeci potwór przyjął dar, zgniótł go i przełknął.

Ale w kuli z korzeni znajdowała się trucizna przygotowana przez ludzi Daniela, stało się więc tak, jakby lau połknął jedną z pochodni. Wygiął się w tył, głośno rycząc. Ogon zwijał się i padał, zwijał się i padał, mącąc wodę, ale nie dotknął żadnego z ludzi, bo wszyscy szybko uciekli od krawędzi basenu. Potem, z widocznym wysiłkiem, potwór próbował dosięgnąć Daniela, który nie odsunął się dalej niż na krok lub dwa. Smok opadł, wijąc się i kopiąc, a jego rogata, węzowa głowa opadła na brzeg basenu. Tak zdechł. Daniel odwrócił się do Wielkiego Króla.

- Królu, obys żył wiecznie - wygłosił ceremonialne pozdrowienie. - Czyż nie stało się tak, jak obiecałem? Z woli Pana Boga Jehowy, ten zły potwór, który służył kapłanom ciemności, skonał. A ja nie wyciągnąłem przeciwko niemu stali, lecz karmiłem go jego zwykłym jadłem.

I Wielki Król sięgnął po swe berło, a Daniel położył na nim palce. Rozległo się westchnienie ludzi, którzy nagle odzyskali głos. Z przerażeniem i zachwytem komentowali to, co właśnie widzieli. Tylko kapłani zebrali się przy ścianie, próbując skryć się za dworzanami. Sherkarer pomógł Danielowi, ale z jakiego powodu Daniel miałby pamiętać o nubijskim jeńcu? Lepiej zostawić go kapłanom, którzy niewątpliwie skierują swą nienawiść na tego obcokrajowca, który zniszczył ich boga.

Na jego ramię opadła czyjaś dłoń. Obrócił się, gotów do każdej walki, przeciwko człowiekowi, który go trzymał. Ale usłyszał niski głos, który znał z kanału.

- Zarzuc to na siebie i chodź za mną, ale się nie śpiesz. - Mężczyzna trzymał bogato zdobiony szal z frędzlami, którego szlachcice używali jako płaszcz. Narzucił go szybko na Sherkarera.

W ten sposób, jako mieszkaniec domostwa Wielkiego Króla, Nubijczyk opuścił dobrze strzeżone podwórze i samą świątynię. Szedł w rzędzie dworzan przez rzekę, na zachodni brzeg, gdzie stał nowo zbudowany pałac. Tam schował się w labiryncie pomieszczeń dla służby.

Minęły dzień i noc, zanim przyszedł do niego Daniel. W dłoni trzymał twardą glinianą tabliczkę. Dał ją Nubijczykowi.

- Uważaj. Tu jest pieczęć Wielkiego Króla. Na nabrzeżu stoi statek kupca Balzara. Jeszcze to - z fałd swej szaty wyciągnął niewielką sakiewkę. - Jest tu kilka sztuk srebra, mam nadzieję, że wystarczy ci na powrót do domu.

Sherkarer ważył sakiewkę w jednej dłoni, a królewską przepustkę w drugiej. Były to jego klucze do wolności. Zadał ostatnie pytanie.

- Skąd wiedziałeś, że smok zje to, co mu dasz?

- Czyż nie powiedziałem, że będę świadczył o mocy Pana Boga Jehowy? To z Jego woli potwór jadł.

Nubijczyk zatknął mieszek ze srebrem za pas.

- Twój Bóg jest potężny, i zrobił jeszcze jedno. Sprawił, że zostałem twym sługą, chociaż nie chciałem, by tak było. Tym samym i ja zaświadczę o Jego mocy. Dobrze ci życzę, Danielu, ale cieszę się, że będę to robić z daleka. Ty i twój Bóg jesteście tak silni, że możecie zniszczyć całe królestwo, jeśli taka będzie twoja wola.

- Nie moja wola, lecz Jego - poprawił go Daniel. - I może tak się stanie.

Później, na południu, w Meroë, Sherkarer słyszał opowieść o tym, jak potężny Babilon został zdobyty przez Persów, jak padały ściany i wieże, pałace i świątynie. Zastanawiał się, czy Daniel i jego Bóg nie przyłożyli do tego ręki.

4. PENDRAGON

Ras nie patrzył na sirusza-lau wijącego się na brzegu basenu. Zamiast tego widział rysunek dziwnego stworzenia, który mógł być wykonany przez kogoś, kto słyszał opis potwora, ale nie ujrzał go w całej okropności. Dłoń chłopca leżała tak, że palce dotykały brzegu układanki, ale nie dostrzegł niebieskiego tatuażu okalającego nadgarstek. Wciągnął powietrze i odsunął się od stołu.

Czy to wszystko było snem? Jeśli tak, to realnym aż do przesady. Ras był przecież głodny, zmęczony i przerażony. Pamiętał każdy szczegół przygody, jakby rozegrała się naprawdę. Był Sherkarerem z Meroë, nie Georgem Brownem z Sedgwick Manor!

Co by się stało, gdyby nie posłuchał Daniela i nie pomógł mu pokonać kapłanów Marduka-Bela? Gdyby Sirusz-lau po prostu zdechł, a wina spadłaby na niego? Ras zadrżał. Wiedział, że wybrał właściwie - dla siebie i dla Daniela. Pamiętał, że postać Daniela występowała w Biblii, ale nie pamiętał historii o smoku.

Ras po raz ostatni spojrział na dokładnie złożoną sylwetkę niebieskiego smoka. Nie chciał kończyć reszty układanki. Nie mógł się nawet zmusić, żeby jej dotknąć.

Czas! Zapomniał o czasie! Ubrania w pralni - mama czeka! Jak długo tu był? We śnie minęły dni - całe dni! Gdyby to mogło nie trwać tak długo...

Przerażony, przebiegł zakurzone pokoje, a pod jego stopami skrzypiały deski podłogi. Pchnął okno, które z hukiem zamknęło się za nim, i rzucił się biegiem przez pokryty liśćmi podjazd. Wpadł do pralni i ruszył prosto do maszyny.

- Lepiej uważaj, synu. - Stał tam pan Reese. - Twoje rzeczy wyprały się dziesięć minut temu. Ludzie czekają, powinieneś tu stać.

- Przepraszam - wydyszał Ras. Wziął swój kosz, i próbując się skoncentrować na tym, co robi, wyładował ubrania, żeby zanieść je do suszarek.

Pan Reese szedł za nim.

- Tym razem nie uciekaj, chłopcze. Patrz na maszynę i zabieraj rzeczy od razu, kiedy skończy, pamiętaj. W soboty czeka tutaj wielu ludzi.

- Tak, proszę pana. - mruknął Ras, wciskając mokre ubrania najszybciej, jak mógł. Zaczął szukać monety, żeby wrzucić ją do suszarki. Pralnia była zatłoczona, były tam nie tylko kobiety, ale również mężczyźni i chłopcy.

Ras zobaczył znajomą twarz. Sig Dortmund opierał się o ścianę, a w dłoni trzymał książkę. Nie żaden komiks, tylko prawdziwą książkę. Z biblioteki, pomyślał Ras, bo była w plastikowej obwolucie. Kiedy Sig odwrócił się, żeby przepuścić panią z dwiema wielkimi

torbami prania, Ras wyraźniej zobaczył okładkę. Był na niej namalowany mężczyzna z długimi złotymi włosami, zaplecionymi w warkocze. Jedną ręką unosił wielki młot, drugą przytrzymywał leżący miecz, jakby zaraz miał go uderzyć.

Sig był tak zajęty czytaniem, że nie podniósł wzroku, kiedy Ras podszedł bliżej.

Historia Sigurda - Ras przeczytał tytuł.

Chociaż nie powiedział tych słów głośno, Sig nagle spojrzał w górę, jakby usłyszał. Zobaczył Rasa i zarumienił się.

- Cześć. - Mówił tak, jakby nie był pewien, czy powinien rozmawiać z Rasem. Potem dodał szybko: - Wróciłem, żeby cię wypuścić. Nie chciałem, żebyś tam siedział. Tylko że ciebie nie było.

Ras kiwnął głową.

- Wiem, widziałem, jak odchodziłeś... Słuchaj - podszedł bliżej, żeby nikt nie słyszał pytań, które zadawał. - Złożyłeś srebrnego smoka, prawda? Kiedy go złożyłeś, czy stało się coś dziwnego?

Przez chwilę myślał, że Sig nie odpowie. Chłopiec spojrzał w bok, na suszarkę, jakby chciał coś sprawdzić, a potem na książkę w dłoni. Ras, speszony, chciał już iść, kiedy Sig przemówił.

- Tak. Coś się stało.

- Ty... byłeś w Babilonie... Daniel tam był? - zapytał Ras.

Sig patrzył na niego całkowicie zaskoczony.

- Babilon? Daniel? Oszalałeś, facet. Byłem z Sigurdem, żeby pomóc mu zabić Fafnira i zdobyć skarb. Sigurd go zabił. Ale potem nie chciał wziąć skarbu, powiedział, że przez niego ludzie szaleją. Mimir oszalał, a kiedyś był przyjacielem Sigurda. Czyli to musi być prawda.

Teraz Ras był oszołomiony.

- Sigurd. - powtórzył. - To książka, którą czytasz.

- Nie wiedziałem nawet, że jest o tym książka, ale zauważyłem ją wczoraj, na zajęciach w bibliotece. Tylko niektóre części się nie zgadzają: w książce nie było Siga Szponorękiego, a w mojej historii był. Wiem, bo to ja nim byłem! - spojrzał na Rasa, jakby rzucał mu wyzwanie.

- Złożyłeś srebrnego smoka. - powiedział powoli Ras. - Czyli jedną historię. Ja złożyłem niebieskiego i przeżyłem inną, zupełnie inną!

- Niebieskiego! - Sig nie trzymał już palca w książce, żeby zaznaczyć, gdzie skończył. Całą uwagę skupił na Rasie. - Złożyłeś niebieskiego - i miałeś przygodę? Gdzie? - zapytał ostro, spragniony odpowiedzi.

Ras się zawahał. Przygoda była dla niego tak ważnym wspomnieniem i wydawała się tak realna, że nie chciał się nią dzielić. Ale przecież im obu zdarzyło się coś tajemniczego. Może gdyby porównali historie, odkryliby, co w tej układance sprawiało, że widzieli i czuli - o ile Sig widział i czuł tak, jak Ras.

- Byłem na wojnie - chyba w Afryce. - Mówił najprościej, jak się dało. - Był tam wielki potwór z mokradeł. Mój lud nazywał go "lau", ale kapłani z Babilonu mówili na niego "sirrush". Kupiec zabrał potwora i mnie do Babilonu. Tam kapłani kazali mi pomagać się nim opiekować - szybko opowiedział swoją przygodę.

Kiedy skończył, Sig patrzył zamyślony.

- Daniel jest w Biblii, więc kiedyś istniał. Ale nie pamiętam, żebym słyszał historię o smoku. Słuchaj, może w poniedziałek pójdziesz do biblioteki, tak jak ja i poszukasz książki na ten temat? Wiem coś o Egipcie; kurczę, uczyliśmy się o tym - o piramidach, mumiach w zeszłym roku. Ale nigdy nie słyszałem o tym Meroë ani o Nap... Napacie - zaciął się na obcej nazwie. - Gdybyś znalazł to na piśmie, miałbyś dowód, że to była prawda. W tej książce jest fragment... Sig pośpiesznie przewracał strony - gdzie jest napisane, że może Sigurd istniał naprawdę. Tylko po jego śmierci ludzie dodali mnóstwo szczegółów do jego historii, bo był bohaterem, o którym lubili mówić. Czyli teraz jest bardziej wymyśloną postacią. Ale on żył naprawdę! Ja wiem! - Sig uniósł podbródek. Spojrzał na Rasę, jakby ten śmiał to kwestionować.

- Daniel też był prawdziwy, podobnie jak Sherkarer. Nawet jeśli nie znajdę tego w żadnej książce - powiedział Ras. - Ale poszukam...

- To twoje pranie, chłopcze? - jakaś pani z lokami zawiązanymi kolorową szarfą przepychała się w stronę Siga.

- Tak, proszę pani. - Sig zatknął książkę za pas i pobiegł opróżnić suszarkę; kobieta niecierpliwie pomrukiwała, żeby się pospieszył. Ras poszedł sprawdzić swoją maszynę, nie chcąc znowu rozmawiać z panem Reese. Kiedy odchodził, Sig spojrzał na niego.

- Na razie.

- Jasne - odparł Ras.

Zostało jeszcze dziesięć minut do końca suszenia. Zobaczył, jak Sig pakuje pranie i zmierza do wyjścia. Ale zanim wyszedł, spojrzał na Rasę i lekko zsalutował mu dłonią. Ras niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

Sig znalazł książkę o swojej przygodzie. Czy jest też książka o przygodzie Rasa? Kiedy wróci do domu, zapisze wszystkie imiona, które pamięta. Weźmie Biblię i przeczyta część o Danielu. Chociaż wiedział, że gdyby tam był fragment o smoku, pamiętałby go ze szkółki niedzielnej. Daniel w jaskini lwa, to historia, którą słyszał parę razy, kiedy był dzieckiem. A Sherkarer słyszał, jak niewolnicy mówili o tym w Babilonie.

A jeśli Napaty i Meroë nie będzie w Biblii, może znajdzie je w jakiejś historycznej książce. Nigdy nie próbował czytać takich książek, chyba że jako pracę domową. Ale teraz było inaczej, bardziej ekscytująco, bo przecież brał w tym udział. Czy w którejś z książek i broszur, które przynosił Shaka, będzie coś o Meroë i czarnych faraonach, jak Piankhay i... Ras nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu i przejrzy biblioteczkę brata. Nagle okazało się, że suszenie ciągnie się w nieskończoność.

Przez głowę Rasa przemknęła jeszcze jedna myśl. Sig złożył srebrnego smoka, a on niebieskiego. Ale zostały jeszcze dwa, czerwony i złoty. Jakie przygody przeżyliby przy nich?

Kiedy Ras wrócił do domu, mamy nie było w kuchni (w soboty rano zwykle robiła ciasteczka). Siedziała w salonie i płakała. Tata stał przy oknie, tyłem do pokoju, z rękami w kieszeniach. Wyglądało na to, że jest wściekły.

- To już duży chłopak - mówił tata, kiedy wszedł Ras. - I tak zapamiętały w tym szaleństwie, że nie można się z nim kłócić! Aleja nie dopuszczę do takiego gadania w tym domu - rozumiesz, Louise? Mama nie odpowiedziała, płakała dalej. Ras poczuł ból w żołądku, jak zawsze, kiedy mama była zdenerwowana. Żadne z rodziców nie spojrzało na niego, kiedy wszedł z czystymi rzeczami. Czuł się bardziej nieswojo niż kiedykolwiek przedtem. Jakby zupełnie o nim zapomnieli. W końcu musiał coś powiedzieć.

- Przyniosłem ubrania, mamo.

Ale to tata odwrócił się i spojrzał na niego.

- George! - Ojciec był naprawdę zły, a teraz w dodatku zdenerwowany na Rasa. Chłopiec próbował sobie przypomnieć, co takiego zrobił. Stary dom - układanka - pewnie o to chodziło! I nie miał żadnej wymówki. Zrobiło mu się słabo.

- Rozumiem, że w szkole odmówiłeś podania swego prawdziwego imienia. - Tata przeszedł przez pokój i stanął przed nim.

Ras był tak zaskoczony oskarżeniem, tak różnym od tego, czego się spodziewał, że nie znalazł szybkiej odpowiedzi.

- Twój brat jest głupi i uparty - ciągnął tata. - Nie pozwolę ci go naśladować, rozumiesz? Nazywasz się George Brown, nie inaczej nie afrykański mambo-jumbo! A on jest Lloyd Brown. Jeśli cię przyłapię na powtarzaniu jego niebezpiecznych i głupich uwag,

dopilnuje, żebyś więcej tego nie zrobił. Twój brat właśnie złamał serce matce. Popatrz na nią! Popatrz na jej żal! Chcesz, żeby tak płakała nad tobą? Chcesz? - głos ojca był bliski krzyku.

- Nie. Nie, proszę taty. - odpowiedział Ras. Co zrobił Shaka Lloyd?

- Lepiej to sobie zapamiętaj! Twój brat wybrał własną drogę. Opuścił ten dom i nie wróci, dopóki będzie mówił takie rzeczy, jak dziś rano! Służyłem swojemu krajowi... - tata przesunął dłonie po twarzy, potem potarł czoło, jakby bardzo bolała go głowa. - Nie chciałem iść do wojska, niewielu tego chce. Ale była wojna, a ja wierzyłem w to, o co walczyliśmy. Nie jestem Afrykanerem - jestem Amerykaninem i jestem z tego dumny - dumny, rozumiesz! I nie zamierzam słuchać zdrajcy! Mam tylko nadzieję, że Lloyd odzyska rozsądek. Ma dobry mózg, dlaczego go nie używa?

Tata wrócił do okna. Mama wytarła oczy chusteczką wyjętą z kieszeni fartuszka.

- Mimo tej głupoty jest dobrym chłopcem, Evanie. Wróci, wiem, że wróci. Tak mnie zaskoczyło, kiedy powiedział, że będzie mieszkać z tym okropnym Alim. Chyba byłam roztrzęsiona. Ale wiem, że wszystko się dobrze skończy. Lloyd to dobry chłopiec.

Tata coś mruknął, więc mama podniosła się, stanęła za nim i położyła mu rękę na ramieniu. Ras przełknął i podniósł torbę z praniem. Więc Shaka odszedł, tak jak groził. Ras widział raz Alego - wysokiego, z małą szpiczastą bródką, który mówił szybko i gniewnie. To on zainteresował Shake tymi wszystkimi afrykańskimi książkami.

Książki! Czy Shaka zabrał je ze sobą? Ras zostawił ubrania w hallu i wślizgnął się na piętro. Pokój Shaki był pusty. Przez otwarte drzwi szafy widać było tylko jego garnitur, ten, którego prawie nie nosił. Szuflada biurka została wyciągnięta, ale nic w niej nie było. Na ścianie odznaczały się jasne plamy po plakatach. Tak, półka na książki też była pusta.

Ras usiadł na krawędzi łóżka. Czuł się jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy zobaczył zapłakaną mamę. Shaka odszedł. Tata powiedział, że nie ma racji, że jest głupi. Ale kiedy brat mówił o tym, w co wierzył, sprawiało, że wierzyli w to wszyscy. Prawie - bo argumenty taty były tak samo silne. Były takie, jak wiara Sherkarera w Apedemeka i Daniela w boga Jehowę.

Ras wiedział jedno: Sherkarer odzyskał wolność, bo zaufał człowiekowi innej religii i rasy. Działali razem, żeby zniszczyć sirrusha-lau; żaden z nich nie dokonałby tego sam. Pracowali razem - jak Sig i on. W starym domu bili się i Sig zamknął go w piwnicy. Ale dziś coś ich łączyło.

Teraz zapragnął znów zobaczyć się z Sigiem - porozmawiać o pozostałych dwóch smokach. Było łatwiej myśleć o tym, niż o Shace i wszystkim, co działo się w domu.

Artie Jones kopnął piłkę tak, że uderzyła w krawężnik i odbiła się. Podniósł ją. Zobaczył, że nowa, brązowa skóra jest już porysowana. Zrobił to sam, bawiąc się głupio. Po co komu piłka, jeżeli nie ma z kim grać? W okolicy nie mieszkał nikt oprócz dziwnego Kima Stevensa, Siga Dortmunda i tego całego Rasa. Nie chciał się do nich przyczepiać, nie wtedy, kiedy w szkole byli fajni chłopcy, tacy jak Greg Ross i jego banda. Miał nadzieję, że zaproponują mu grę, kiedy wczoraj zabrał piłkę do szkoły. Ale oni byli bardzo zajęci planowaniem popołudniowego wyjazdu na mecz seniorów, więc nie usłyszeli, jak powiedział, że ma nową piłkę, ani nie spojrzeli w jego kierunku, gdy ją wyciągnął, żeby im pokazać.

Tata Grega miał ich zabrać na stację, na pewno będą się świetnie bawili. Artie stał, mając iskierkę nadziei, że Greg odwróci się i poprosi, żeby i on pojechał.

Tu nie było co robić - jak zwykle. Mógł iść do kina, ale widział już film, który pokazywali w tym tygodniu. A telewizor był w naprawie. Gdyby się kręcił koło domu, mama zapytałaby go o lekcje. A z pewnością nie zamierzał w ten sposób spędzić soboty!

Sig szedł szybko w kierunku rogu. Ale gdyby teraz zagraли w piłkę, Sig mógłby mieć nadzieję, że będą trzymać się razem również w szkole. Artie straciłby wtedy szansę na wejście do paczki Grega. Tylko że czuł się tak bardzo samotny. Z ciężkim sercem ruszył za Sigiem.

Sig wcale nie patrzył w jego kierunku. Czyżby szedł do starego domu? A jeśli tak? To było ponure miejsce, ale bardzo ekscytujące. Czy Sig znalazł coś w tym zamkniętym pokoju? Artie nie zapytał, a teraz się zastanawiał. Sig zatrzymał się na progu i czekał. Nie na Artiego - przecież ani razu się nie odwrócił, więc go nie widział. Nie, machał do kogoś po drugiej stronie ulicy. No nie, przecież to ten głupi dzieciak, który nikomu nie podawał swojego prawdziwego imienia. Co Sig z nim robił?

Artie szedł kawałek za tamtymi dwoma, którzy maszerowali teraz razem. Tak, zmierzali w stronę starego domu. Zatrzymali się przy murze i rozejrzeli wokoło. Artie, wiedziony niezrozumiałym impulsem, przykucnął za koszem na śmieci. Nie był zbyt dobrze ukryty, ale przypuszczał, że go nie zauważą, bo poszli dalej. Nagle poczuł, że musi ich śledzić. Jeśli Sig coś znalazł, powinien był to powiedzieć Artiemu, a nie temu durniowi! Przecież to Artie był z nim za pierwszym razem. Może Sig myślał, że Artie jest tchórzem, bo nie został. Cóż, pójdzie za nimi, zobaczy, co znaleźli, a potem da im do zrozumienia, że ich widział. Pokaże Sigowi!

Patrzył, jak Sig wchodzi przez okno, a Ras wślizguje się za nim. Artie, wciąż trzymając piłkę, ruszył ich śladem. Oni mieli latarkę, on nie. Ale dziś było dość jasno, więc widział drogę. Słyszał ich głosy, ale nie rozróżniał słów.

Poszli prosto do pokoju, który Sig chciał otworzyć za pierwszym razem. Artie przesunął się wzdłuż ściany hallu najciszej, jak mógł, próbując coś podsłuchać.

- Orzeł to czerwony - będzie sprawiedliwie? - zapytał Sig.

- Tak!

Przez chwilę było cicho, potem Sig powiedział rozczarowanym głosem.

- Reszka. Spróbujesz?

Znów nastąpiła chwila ciszy, potem Artie usłyszał, jak Ras mówi bardzo podekscytowanym głosem:

- Widziałeś, prawda? To... uciekło mi spod palców!

- Daj spróbować! - głos Siga brzmiał niecierpliwie.

- Widzisz? Tobie też tak robi!

- Spróbujmy z żółtym.

Czerwony co? Żółty co? Artie był tak ciekawy, że omal nie podszedł do drzwi, żeby zobaczyć.

- Niedobrze - powiedział Sig. - Za pierwszym razem kawałki składały się, jakby same tego chciały, właściwie nad nimi nie pracowałem. Z tobą było tak samo?

- Tak. Ale teraz jest inaczej. Widzisz, nie mogę nawet złapać tego kawałka, od razu mi się wymyka. Sig, myślisz, że nie będziemy mogli jej ułożyć do końca?

- Ale dlaczego? Przecież złożona jest dopiero połowa. Nie ma powodu...

- Może jakiś jest, tylko go nie znamy. Uważam, że powinniśmy to zostawić, Sig. Naprawdę.

- Dziwne. Może to tylko dziś, może gdybyśmy przyszli innym razem...

- Może, Sig, ale raczej nie sędzę. Nie czujesz się trochę nieswojo, jakby w ogóle powinno nas tu nie być? Przedtem nie odnosiłem takiego wrażenia.

Po długiej chwili milczenia Sig odpowiedział:

- Tak. Miałem to powiedzieć, ale bałem się, że pomyślisz, że jestem tchórzem. Chodźmy stąd - od razu!

Artie był oszołomiony. Nie chciał się w tej chwili z nimi zobaczyć. Rozejrzał się wkoło, trochę gorączkowo, szarpnął najbliższe drzwi i wpadł do szafy, przytrzymał kłamkę dłonią, zostawiając uchylone drzwi. Nie widział nawet, jak przechodzili, ale słyszał kroki, odbijające się echem po wielkich pokojach. Kiedy znów zrobiło się cicho, wyszedł, zdecydowany zobaczyć, czym może być ta żółtoczerwona rzecz.

Na pierwszy rzut oka nie zauważył nic, oprócz stołu i fotela. Potem w świetle padającym z okna dostrzegł jakieś kolory na stole, podszedł więc bliżej.

Piłka wypadła mu z rąk, a on nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Układanka! Dlaczego Sig i Ras tak się podniecali głupią, starą układanką? Było też pudełko, a w nim mnóstwo kawałków. Niektóre leżały tak, że było widać jasną czerwień i błyszczące złoto. Parę czerwonych kawałków leżało z boku. Jakżeż one lśniły!

Widział obrazki na wieku szkatułki, z dużym, srebrnym smokiem na górze i bardzo dziwnym, niebieskim, na dole, przedstawiające dwa ułożone na stole smoki. Były jeszcze dwa, czerwony po lewej stronie i złoty po prawej. Prawie nie patrzył na złotego. Jego uwagę zaprzętnął czerwony. Wyglądał tak prawdziwie! Artie wyciągnął palec i dotknął jednego z czerwonych kawałków. Element poruszył się trochę i... rzeczywiście, zdawał się wpaść na swoje miejsce, dopasował się bez trudu. Ale przecież Sig i Ras chyba nie mogli pozbierać kawałków! Jak to możliwe - przecież nie było w tym nic trudnego!

Jeden z kawałków leżał obrazkiem do dołu. Miał z tyłu czarny napis, z grubych, kanciastych liter.

- "R-e-x" - przeliterował Artie.

Wujek Jim miał kiedyś psa, który wabił się Rex. Wujek powiedział, że po łacinie znaczy to: "Król".

Artie odwrócił kawałek. Tak, pasował tutaj. Zaczął sortować resztę czerwonych kawałków. On potrafił to zrobić, chociaż Ras i Sig nie umieli. Ten tu, tamten tam... Zapominając o wszystkim innym, Artie usiadł wygodnie w fotelu.

Czerwony smok, czerwony smok na tle błękitnego nieba - Pendragon! Wiedział, jakby powiedział mu to ktoś stojący przy nim. Pendragon!

ARTOS, SYN MARIUSA

Był czas zniw, więc większość wojowników rozproszyła się, i pracowała na polach, gdzie jęczmień stał wysoko, gotów do skoszenia, a kłosa były tak złote, jak gorące słońce. Wszyscy mieli nadzieję na dobre zbiory, bo poprzedni rok był zły - szybko nastały chłody, a po zbyt deszczowym lecie plony były marną. Pod koniec zimy ludzie chodzili z pustymi brzuchami. Zasiłali ziarno, które z radością pchałoby do ust pełnymi garściami i przeżuwaliby na surowo - myśleli o tym nawet rzucając je w oczekującą ziemię.

Głód panował nie tylko w Brytanii, ale i za morzem. Wszyscy wiedzieli, że grasują najeźdźcy w skrzydlatych hełmach, więc u wybrzeży wciąż trzymano straż, mimo że na polach brakowało ludzi.

Artos otarł czoło wierzchem dłoni i starał się nie krzywić, prostując obolałe plecy. Praca w polu była cięższa niż ćwiczenia z wojownikami, chociaż nie przeżył ich wiele; załedwie tyle, żeby sobie uświadomić, jak dużo musi się jeszcze nauczyć. Spojrzał na swoich towarzyszy broni, rozsianych po całym polu. Nie miało znaczenia, że ojcem jednego z nich był Marius, dowódca oddziału pod samym Smokiem. Mężczyzna oceniany był za własne czyny, a nie za to, co jego ojciec, czy dziad, zdziałał przed nim.

Artos został nazwany po Wysokim Królu, Cezarze Brytanii, ale on również pracował w polu. Znosił też ciężkie uderzenia drewnianym mieczem, kiedy był niezręczny, nie miał szczęścia, albo był na tyle głupi, żeby nie obronić się przed atakiem Drususa. Drusus był już stary, ale pamiętał, jak ostatni z Legionów wypłynął w morze, zabierając ze sobą potęgę Rzymu, zostawiając Brytanię otwartą na ataki od strony wody.

Wysoki Król pojechał na północ pięć dni temu, żeby odwiedzić posterunki postawione przeciwko Szkotom i spotkać się z pomalowanymi mężczyznami północy. Zabrał ze sobą większość Towarzyszy. Tu, w Vencie, rządził Modred.

Artos zrobił groźną minę i kopnął grudę ziemi tak, że rozpadła się pod czubkiem jego buta. To Wysoki Król (choć ojciec zawsze nazywał go Cezarem) sprawiał, że Brytania się trzymała. Najpierw był tylko oficerem armii, ale lojalnym w stosunku do Aureliana, którego prawdziwy Cezar zza morza uczynił Hrabią Brytanii. Nazywali Artosa "Pendragonem" i "Dux Bellorum" (czyli dowódcą bitew). Artos ułożył usta do tych słów, choć nie wymówił ich głośno; ludziom wydawały się dziwne. Przecież nie mówiono już prawdziwą łaciną imperium, do mowy potocznej dodawano brytyjskie słowa. Marius, podobnie jak Wysoki Król, wierzył, że powinni pamiętać o przeszłości, a jednym ze sposobów na to jest podtrzymywanie języka ludzi, którzy mieszkali tutaj w dawnych, utraconych dniach pokoju.

Od lat życie było tylko walką. Mężczyźni wciąż trzymali miecz w zasięgu ręki, zawsze nasłuchiwali dźwięku wojennych rogów. Można było albo żyć z bronią, albo zginąć pod toporem Saksonów albo, co gorsza, stać się ich niewolnikiem. Miasta, które zbudowali Rzymianie, w większości zostały zburzone. Saksoni nienawidzili miast, więc kiedy tylko mogli, obracali je w ruinę. Ale w Vencie mieszkał kiedyś rzymski gubernator, więc zostały tam forty z dawnych czasów, odbudowane przez ludzi Króla; na długo jeszcze przed przybyciem legionów rzymskich chroniły one przed atakami obcych wojsk.

Modred nie wierzył w kultywowanie starych obyczajów. Uśmiechał się krzywo za plecami - tak, i to nawet przy Mariusie i innych ludziach Cezara, którzy strzygli włosy na krótko, golili policzki i brodę, nosili stare rzymskie tarcze i zbroje. Jego ludzie otwarcie mówili, że będzie lepiej zapomnieć o Rzymie, zawrzeć pokój ze Skrzydłatymi Hennami, może nawet dać im trochę ziem na wybrzeżu i złożyć braterską przysięgę, zamiast walczyć po wsze czasy.

Modred mówił tylko językiem brytyjskim, udawał, że nie rozumie łaciny. Podejmował pomniejszych królów z północy i wodzów plemion. Marius i inni podobni do niego żołnierze uważali na Modreda. Ale wielu młodszych słuchało go i traktowało z szacunkiem.

Artos schylił się, żeby pracować. Z każdą spędzoną tu godziną nienawidził pola coraz bardziej. Dlaczego nie mógł pojechać na północ ze strażą Cezara, z ojcem? Wywijał nożem do żęcia jak mieczem, szaleńczo tnąc zboże. Bruzdy ciągnęły się w nieskończoność, słońce piekło, a dzień był długi.

Jeden z niewolników przyniósł skórzany bukłak z octem i wodą. Artos wypił swój przydział. Wtedy właśnie na drodze od morza zobaczył jeźdźców. Ich kolorowe, jasne płaszcze odrzucone były na plecy; przy tym upale nosili je tylko na pokaz. Nie było wątpliwości, że ich przywódcą był książę Modred.

Artos patrzył, jak przejeżdżali. Zdziwił się, widząc, co książę ma na ramieniu, tuż pod krańcem krótkiego rękawa letniej tuniki. Przysiągłby, że to smocza opaska Wysokiego Króla! Ale przecież tylko Cezar, Artos Pendragon, miał do niej prawo, i niósł ją wyjeżdżając z Venty. A Modred nie był nawet prawnym dziedzicem Wysokiego Króla, chociaż ludzie szeptali, że z powodu jakiegoś przypadkowego splotu zdarzeń w przeszłości był rodzonym synem Króla. W niczym jednak nie przypominał Cezara.

Artos Pendragon był bowiem wysoki jak drzewo w lesie, a przynajmniej tak wyglądał wśród niższych mężczyzn. Jego włosy, choć teraz był już stary, wciąż miały kolor złota z Zachodniej Wyspy. Nosił włosy krótkie i golił się jak Rzymianie, co sprawiało, że nie wyglądał na swoje lata.

Modred tymczasem miał szerokie bary, był niższy i ciemnowłosy. Loki opadały mu na ramiona, a nad ustami o cienkich wargach kręciły się wąsy, wyglądał więc jak plemienni królowie. Ubierał się również na ich modłę - nosił kolorowe stroje, płaszcze tkane we wzory w kratę zieloną, czerwoną i żółtą, podobne tuniki i spodnie, szerokie pasy z miękkiej skóry wybijane złotem, sztylet inkrustowany drogocennymi kamieniami i długi miecz.

Artos patrzył na odjeżdżających, aż ci skryli się w chmurze pyłu. Chciałby być teraz na koniu i jechać z nimi. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Modred był dobrym wojownikiem, sam Cezar wybrał go do zarządzania Venta. Dowodził wszystkimi siłami z wyjątkiem wojsk Towarzyszy, którzy tu zostali, i szkoły dla ich synów - która, podobnie jak Towarzysze, znajdowała się pod rozkazami Kai.

Na myśl o Kaim Artos schylił się do pracy, kuląc plecy, jakby czuł już uderzenie bata, którym ktoś umiejętnie smagał. Kai był wojownikiem, jednym z najbardziej cenionych przez Mariusa. Nigdy nie słyszało się od niego więcej, niż zdawkowy pomruk zadowolenia, ale wyrażone w ten sposób uznanie tego zaprawionego w bojach wojownika oznaczało prawie tryumf rzymski. Artos się uśmiechnął. Jednakże wciąż pamiętał opaskę na opalonym ramieniu Modreda i w jego myślach zagościł niepokój.

Tej nocy przypadała jego kolej usługiwania przy stole, przynoszenia rogów z napojami, rozkładania łyżek i stołowych noży. Fotel Modreda pozostał pusty, podobnie jak dwa fotele jego najbliższych oficerów. Byli tylko Kai, Archais (który przybył z za morza i umiał leczyć rany) i Paulus, kapłan.

Artos nadstawiał ucha na ich rozmowy, ale usłyszał niewiele nowego. Paulus był stary i myślał prawie wyłącznie o Kościele. Nie lubił Archaisa - z czym bynajmniej się nie krył - ponieważ uzdrowiciel nie wierzył w to, czego nauczał Paulus. Ale tego kapłan nie mógł powiedzieć otwarcie, bo Wysoki Król już dawno oświadczył, że to, jakiemu bogu służy człowiek, jest jego prywatną sprawą. Rozgniewało to kapłanów, więc okazywali niezadowolenie, choć nie mogli nic zrobić. Ostatnio jednak bardzo wyraźnie mówili o potrzebie pokoju, a Modred pozyskał niektórych z nich - zbyt wielu, jak uważał Marius.

Kiedy zostało nalane cienkie, zeszłoroczne piwo, a ze stołu zabrano półmiski, Archais przemówił:

- Nasz Pan, Modred, jeździ tak daleko za granicę, że nie może wrócić na wieczorny posiłek?

Kai wzruszył ramionami.

- To jego sprawa - odparł krótko. Ale ton jego głosu sprawił, że Artos nadstawił ucha.

- Mówią, że Skrzydlate Hełmy są u brzegów. Rybak z Deepdene powiedział, że widział co najmniej dziesięć statków. Musi to być znany bandyta, skoro przywiódł tak wielką flotę. Można by przypuszczać, że Thorkiel...

- Nie, nie. - Paulus potrząsnął głową. - Thorkiel by się nie ośmielił. Czyż nasz Pan Król nie sprawił mu wielkiego lania zeszłego roku i nie zmusił go do szybkiej ucieczki?

- Te Skrzydlate Hełmy - mruknął Kai - są jak mrówki, Ojcie. Można je przepędzić tu, potem tam, ale wciąż się gromadzą i nie można ich wyplenić! Spokojne są tylko wtedy, gdy nie żyją, ale trzeba się sporo napracować, żeby do tego doprowadzić. To dobrzy wojownicy, mają znakomitą broń i ściany z tarcz. Nasz Pan Król wie, jak sobie z nimi radzić. Na początku ludzie śmiali mu się prosto w twarz. Ale on stanął do boju, z łaski Aurelianusa. Wziął duże konie - przedtem mieliśmy tylko kuce, nie rumaki dla dorosłych mężczyzn. Dowiedział się, jak zrobić pancerze dla nich i dla jeźdźców. Nie zebrał wielkiej armii, którą trudno byłoby wyżywić i łatwo zwabić w zasadzkę - nawet legioniści dowiedzieli się, że są nowsze, lepsze sposoby walki, skuteczne, jak ich metody w dawnych czasach.

- Nie, zebrał kompanie konnych i ruszył w drogę. W tamtych czasach tak długo przebywaliśmy w siodle, że skóra na pośladkach twardniała, a na dłoniach robiły się odciski. A kiedy przybyli Saksoni, byliśmy tam - nie spodziewali się tego. Tak, konie i Towarzysze oczyścili kraj i utrzymywali go w czystości.

- Pamiętam dzień, kiedy przywieźli mu smoczy proporzec. To była nowa, dziwna rzecz. Gdy wiatr wiał prosto w proporzec i szarpał go jak wielkiego, czerwonego robaka, jego pazury sięgały po ciebie. Kto miał go nad głową, ten miał i waleczne serce. Tak, mieliśmy Smoka - aż został pocięty na kawałki. Paganie szaleli na jego widok, cały czas celowali weń włóczniami. Ale my po prostu zrobiliśmy inny smoczy proporzec, potem następny - wszystkie powodowały to samo. Kiedy trąbi róg wojenny. Smok odpowiada!

Artos znał proporzec. Taki sam, tylko mniejszy, powiewał na wieży strażniczej Venty, kiedy był tu Wysoki Król; władca zabierał go ze sobą w podróże. Ale Wielki Smok był bezpiecznie schowany, chyba że potrzebowano go na polu bitwy. O Cezarze mówiono "Pendragon" - a czasami po prostu "Dragon", Smok. Niektórzy ludzie nie wiedzieli wszystkiego, myśleli, że ma prawdziwego smoka, który pomaga mu w bitwie.

- Ale mimo tych wszystkich walecznych wysiłków. Skrzydlate Hełmy wciąż przybywają - zauważył Archais.

- Przybywają i giną. - Kai osunął się od stołu. - Zawsze przybywają - takie jest życie.

- Ale czy tak być musi? - głos Paulusa był cichy, brzmiał jak szept po tubalnych słowach Kai. - Jest sposób na utrzymanie pokoju i sprawienie, że ludzie będą żyli w przyjaźni.

Kai się zaśmiał.

- Krzyknij "pax" do Skrzydlatego Hełmu, który właśnie zastukał do twoich drzwi, Ojciec - do tego, który ma już naszykowany topór, żeby cię zabić. Dla takich jest tylko jeden pax. - odwrócił głowę do Artosa, który stał cicho i myślał, że o nim zapomnieli. Młodzińcze, idź się położyć. Przed paniem koguta znów będziesz potrzebny w polu. Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, zdołamy zebrać resztę jęczmienia przed zapadnięciem nocy.

- Z łaską boską - poprawił Paulus. Ale Kai nie zwracał uwagi na kapłana, rozciągając swe umięśnione ramiona.

Tylko że Artos nigdy nie miał już pracować na polu jęczmienia. A wszystko dlatego, że chciał się napić.

Był zbyt zmęczony, żeby spać spokojnie. Obudził się z dziwnego snu, którego nie pamiętał; wiedział tylko, że się bał. Usiadł na sienniku, który był jego łóżem, i poczuł pragnienie. Wokół niego rozlegały się ciężkie, równe oddechy pozostałych śpiących. Pomieszczenie oświetlały srebrne promienie księżyca.

Kiedyś ten labirynt pokojów, korytarzy i podwórców stanowił dom i kwaterę główną rzymskiego gubernatora. Teraz był to raczej źle utrzymany pałac, który niewielu z jego mieszkańców kiedykolwiek zwiedziło do końca.

Najbliższym miejscem, gdzie znajdowała się woda, był wielki hali. Artos zastanawiał się, czy tam iść. Przesunął suchym językiem po spierzchniętych wargach i poczuł, że musi. Spał w spodniach i rajtuzach, był bardzo zmęczony i nie chciał tracić czasu na wkładanie tuniki. Przeszedł przez komnatę, uważając, żeby nie potknąć się o sienniki innych.

Hali oświetlały wpadające przez okno promienie księżyca. Było też drugie źródło światła, niewyraźny blask w innej komnacie. Artos zaciekawił się. Kto tam był? Strażnicy stali daleko stąd. Wiedziony ciekawością, ostrożnie podkraśli się w stronę uchylonych drzwi.

Minął zamknięte drzwi komnaty Kai. Za komnatą tą były dwa puste pokoje, zwykle zajmowane przez ludzi, którzy teraz jechali na północ z królem. Pozostawała więc tylko zbrojownia. Ale dlaczego?

Artos szedł blisko ściany. Słyszał bardzo cichy pomruk głosów i odgłosy poruszających się ludzi. Dotarł do drzwi, ukrył się za nimi i zajrzał przez szczelinę.

Modred - nie mógł nie poznać młodego człowieka, siedzącego przy stole, na którym zbrojarz trzymał listy broni. Ale za nim stali trzej mężczyźni w zbrojach Towarzyszy - młodzi

mężczyźni. Dwóch Artos znał z imienia, byli to członkowie klanu wprowadzeni parę lat temu. Trzecim był Argwain, który chciał się, że jest spokrewniony z Modredem przez jakieś skomplikowane klanowe więzy.

Artos nie wierzył własnym oczom. Otworzyli Skrzynię Smoka. Zamek został wyłamany - przecież klucz miał Kai. Teraz wyciągnęli zwoje Czerwonego Smoka, złożyli je, raczej pośpiesznie niż ostrożnie, i wcisnęli porzecz do worka, który trzymał Argwain. Kiedy Modred zmienił pozycję, pochodnia oświetliła jego ramię. Artos zobaczył, że się nie mylił. To była królewska opaska, bliźniacza z tą, którą nosił Cezar.

Smok, opaska, Modred - chłopak nie wiedział, jak te rzeczy się wiążą. Ale czaiło się tu zło, jak czarny dym wijący się w kominku.

- ... na zachód. Pokaż mu to i każ jechać tam, gdzie cztery pochodnie przesuwają się z lewa na prawo przed wschodem księżyca. - mówił Modred.

- Ty - książę odwrócił się potem do Argwaina - zawieź wiadomość Maegwinowi, Caldorowi. W ten sposób odetniemy tę ziemię, zanim ruszą się z pól i sięgną po miecze. A dzięki temu... - kiwnął głową w stronę spakowanego smoczego proporca - i wiadomościom, jakie możemy rozgłosić, zostanie im niewielu żołnierzy. Ludzie nie będą pewni, co jest prawdą, a co fałszem, dopóki nie będzie za późno!

- Nikt nie powie, że nie planujesz dobrze, Panie Królu. - Argwain się skłonił.

Artos miał tylko chwilę, żeby odsunąć się od drzwi i wskoczyć do jednego z pustych pokojów. Stał w ciemności, z bijącym sercem i wytarł spocone dłonie o spodnie, próbując zrozumieć to, co usłyszał.

Modred miał opaskę i porzecz, a Argwain nazywał go królem. Mówił o pochodniach, które miały wskazać miejsce. I te rozmowy ó zawarcia pokoju ze Skrzydlatymi Hennami, których statki podobno dobijały już do brzegów - wszystko było tak okropne, iż Artos nie mógł uwierzyć, że mogłoby się wydarzyć. Musi powiedzieć Kai! Mężczyźni na pewno wyszli już ze zbrojowni. Artos przeszedł przez hali do zamkniętych drzwi komnaty dowódcy i uchylił je na tyle, żeby się wsunąć do środka. Księżyc świecił przez okno, ukazując niskie łoże. Chłopak słyszał chrapanie leżącego w nim człowieka. Położył dłoń na nagim ramieniu.

Kai, jak każdy dobry wojownik, budził się natychmiast i był od razu przytomny. Uniósł się na łokciach, a Artos ukucnął przy łóżku i powtórzył, co widział i słyszał. Kai wydał zduszony krzyk i usiadł, a jego stopy z hukiem opadły na posadzkę.

- Co to może znaczyć? - rzekł. - Nie powinniśmy osądzać pośpiesznie, ale na pewno musi się o tym dowiedzieć Wysoki Król. Potarł pięścią o pięść. W świetle księżycy Artos widział gniewny wyraz jego twarzy.

- Słuchaj - powiedział do chłopca. - Tego nie można zrobić otwarcie. Gdyby w drogę ruszył znany posłaniec, zorientowaliby się, że ich odkryto, więc mogliby go śledzić i zabić.

- Jeźdź lekko, jak uczył Marius - ośmielił się wtrącić Artos.

- Tak, a Wysoki Król jest w obozie na wzgórzach, w pobliżu Fenters Hold. Rzymski trakt biegnie na północ, do Wall, przecinają szlak kupiecki prowadzący nad morze. Droga jest prosta.

- Przejechałem już kiedyś jej część - powiedział z dumą Artos.

- Byłem w Wall dwa lata temu, gdy mój ojciec spotkał się z Malowanymi Ludźmi, by doprowadzić do zawieszenia broni.

- Czyli byłeś tam. To jeszcze jeden szczęśliwy zbieg okoliczności. - Kai pociągnął się za pierścień, ogromny, szeroki i ciężki, z czerwonym kamieniem o dziwnym kształcie głowy człowieka z rogami, który nosił na kciuku. Chciał go zdjąć. Paulus powiedział, że klejnot jest zły, ale Kai odparł, że należał do jego ojca, i dziada, i że w dawnych czasach zanim jeszcze legionieści postawili stopę w Brytanii przywieziono go z morza.

Zdjął go z wysiłkiem.

- To jest znak, chłopcze. Nie bierz żadnego konia z tutejszej stajni, zauważono by cię i wypytywano. Przedostań się do miasta i pierwszej strażnicy na wzgórzu. Tam trzymają rumaki dla posłańców. Pokaż to i pojedź na pomoc. Zmieniaj konia natychmiast, kiedy się zmęczy, nawet na każdym wzgórzu. To czas wyciąga przeciwko nam miecz. Teraz - chodźmy.

Artos przemykał ulicami Venty, kryjąc się w cieniu. Miał teraz tunikę i płaszcz, a także własny miecz u pasa. Marius kupił ten miecz dwa lata temu, podczas spotkania z Malowanymi Ludźmi. Był to miecz legionistów, łup z jakiejś dawnej bitwy, może w Wall. Ale miał dobre ostrze, więc ojciec Artosa długo się targował, zanim wreszcie go kupił. Miecz był krótszy niż te wybierane przez Towarzyszy, ale odpowiedni dla Artosa. Chłopak miał też woreczek z zapasami. Pierścień Kai zawiesił na szyi, na rzemieniu, żeby go nie zgubić.

Gdyby nie miał tego pierścienia, w strażnicy na wzgórzu z pewnością by go wypytywali. Koń, którego mu przyprowadzili - w lekkim siodle, żeby szybciej galopował - mimo że mniejszy niż rumaki Towarzyszy, został wybrany ze względu na swój stały, długi krok. Artos wyruszył w drogę, w duchu dziękując legionistom za dobry bruk.

Droga biegła na pomoc, i chociaż od ostatniej naprawy minęło więcej lat, niż miał Artos, wciąż była dobra. Słońce wzeszło, nastał ranek. Artos wymienił konia na kolejnym wzgórzu. Byli tu ludzie z jednego z plemion, o czym świadczyły ich tuniki w kratę. Zarzucili Artosa pytaniami, gdy ten oparł się o ścianę z bali i pchał sobie do ust chleb, popijając odrobiną jęczmiennego piwa; pił tylko tyle, żeby przełknąć. Gdy zadawano mu pytania, potrząsał głową i mówił, że to sprawa Wysokiego Króla i że wiadomość, którą przewozi, jest dla niego niezrozumiała.

Wymienił konia jeszcze raz, po południu, gdy słońce grzało tak mocno, że musiał się bardzo starać, żeby nie zasnąć w siodle. Tym razem znalazł strażników w walącej się rzymskiej wieży. Nie nosili zbroi, ani nawet błyszczących szat plemiennych; swoje małe, ciemne ciała poznaczone niebieskimi tatuażami okrywali garbowanymi skórami. Uzbrojeni w łuki i strzały, między sobą rozmawiali miękkiemi, urywanymi słowami. Ale ich przywódca - mimo upału noszący płaszcz z wilczej skóry, łeb wilka na głowie i tuziny kłów wokół szyi - mówił po łacinie, choć z dziwnym, śpiewnym akcentem.

Chociaż Artos nigdy nie widział tych ludzi z tak bliska, wiedział, że to Piktowie z Wall, którzy służyli nie ziemi Brytanii, ale tylko jednemu człowiekowi - samemu Wysokiemu Królowi. Artos Pendragon w jakiś sposób pozyskał sobie ich łaskę i przybywali na jego rozkaz.

Na armię Wysokiego Króla składali się ludzie z plemienia, Piktowie, i paru mężczyzn, którzy, jak Marius, z dumą nazywali siebie "Rzymianami". We własnym gronie walczyliby ze sobą, miecz przeciw mieczowi, nóż przeciw strzale. Ale pod rozkazami Artosa Pendragona byli jednością. Jego największym darem jako wodza było to, że potrafił stworzyć zwycięską armię z sił, które zwykle były podzielone.

Wkrótce po opuszczeniu strażnicy Artos skręcił na zachód. Tu musiał zwolnić kroku, bo nie była to droga brukowana, lecz ubity trakt, który wił się i skręcał, a nawierzchnię miał nierówną. Dookoła nie widać było pól - tu pokój królewski częściej był zrywany, niż respektowany.

Księżyc znów był na niebie, kiedy chłopiec zobaczył szkarłatne migotanie ognisk. Zsiadł z konia. Był tak zeszywniały, że mógł iść tylko przytrzymując się dłonią grzbietu słaniającego się na nogach wierzchowca. Od pyłu zaschło mu w gardle, na pytania strażnika odpowiadał z trudem, charcząc. Nie był pewien, jak znalazł się w komnacie Wysokiego Króla.

- Toż to młody Artos! Co ty tu robisz? Wołać Mariusa!

- Panie Królu. - tym razem Artosowi udało się nie zaskrzeczeć.

Zauważył, że wciśnięto mu w dłoń róg, więc wypił trochę gorzkiego piwa i mówił dalej: - Panie Królu - wyciągnął pierścień Kai - przysłał mnie legates Kai.

- Przybycie tak nagle wróży kłopoty. Co się stało? Czy Skrzydlate Hełmy... Ale pochodnie zapalałyby się w całym kraju, ostrzeżono by nas już dawno temu. O co chodzi?

Duże, silne ręce króla delikatnie opadły na ramiona chłopca, przyciągnęły go bliżej, podtrzymały. Artos słowo po słowie opisywał, co widział i słyszał. Wokół niego słychać było głosy, ale niewiele one znaczyły. Potem, nie wiedząc czemu, leżał na obozowym sienniku, a ciemna, gładko ogolona twarz ojca pod pierzastym hełmem była blisko jego twarzy. Wiedział, że zrobił to, co miał zrobić.

Zaczęły się ciężkie czasy. Potem Artosowi zdarzało się zastanawiać, co mogłoby się stać, gdyby jakimś trafem rzeczy potoczyły się inaczej.

Nie był jedynym posłańcem od Kai, ale jego ostrzeżenie dało Wielkiemu Królowi parę cennych godzin, które ten dobrze wykorzystał. Pozostali jeźdźcy wyruszyli w drogę, żeby powiadomić ludzi. Pora żniw - Modred dobrze wybrał moment zdrady.

Zaczęli zjeżdżać się wojownicy - te garstka, tam bardziej zdyscyplinowany oddział. Do obozu dotarła wiadomość, że Modred rzeczywiście wywiesił Czerwonego Smoka i zawarł przymierze ze Skrzydlatymi Hełmami. Rybacy donieśli, że u wybrzeża zakotwiczyło dziesięć statków, potem opowiadano nawet o dwudziestu, a ponoć jeszcze więcej było na morzu. Zapowiadał się ogromny rozlew krwi. Wszystko, o co walczył Wysoki Król, padnie, chyba że władca zdoła zatrzymać najeźdźców na wybrzeżu.

- Ale Modred jest szalony! - Artos, teraz trębacz swego ojca, widział, jak Marius uderzył pięścią w stół, aż zatrzęsły się rogi do picia.

- Nie, jest daleki od szaleństwa - odpowiedział Wysoki Król. Pamiętasz Vortigena? Modred jest z jego rodu, więc uważa, że raczej jemu niż mnie należy się tytuł króla Brytanii. Zgodnie z rozumowaniem połowy plemion nie mam prawa do tego - chwycił fałdę purpurowego płaszcza ułożonego na oparciu jego siedziska. - Zanim Aurelianus dał mi władzę, byłem jedynie człowiekiem z planami i marzeniami. Chociaż teraz zdaje się, że było to bardzo dawno temu. Jednak... - mówił szybciej - nieważne, jak bardzo Modred uważa się za króla. Nieważne, jak bardzo czczą go ci, których oszukał tak, iż wierzą, że tym razem mogą grać w grę Vortigena z Saksonami i wygrać. Ja nie pozwolę toporom Skrzydlatych Hełmów zniszczyć resztek życia i światła na tej ziemi.

- Dlatego... - zaczął mówić szybko o ludziach i ruchach armii, pozostali słuchali go uważnie. Artos widział, jak ojciec raz czy dwa kiwnął głową, słyszał też aprobujące chrząknięcia Fawaina, który dowodził lewym skrzydłem, w którym walczyli Towarzysze.

W końcu Wysoki Król uczynił gest i służący pośpieszyli napełnić rogi, nie zwykłym cienkim piwem, lecz słodko pachnącym miodem z ziem północnych. Artos Pendragon uniósł wysoko swój róg i wstał. Pozostali pośpiesznie zrobili to samo.

- Kamraci, może się zdarzyć, że tym razem wejdziemy na ciemną drogę. Ale jeśli tak ma być, powiem teraz: nie moglibyśmy iść w lepszym towarzystwie! Jeśli Modred ma zamiar kupić władzę królewską, a Skrzydlate Hełmy - tę ziemię, niechaj cena będzie wysoka!

Rozległ się pomruk. Mężczyźni wypili i odrzucili puste rogi, które potoczyły się po stole.

Kiedy Artos i Marius wrócili do swych komnat, ojciec przez chwilę przyglądał się synowi.

- Wyślę cię do Glendower.

- Nie! - pierwszy raz w życiu Artos zdobył się na odwagę, żeby sprzeciwić się ojcu, i mimo że ten zmarszczył brwi, chłopiec szybko mówił dalej. - Czy armia jest tak wielka, że może odesłać choć jeden miecz?

- Miecz chłopaka? Nie jesteś wojownikiem...

- A jeśli... jeśli ludzie Modreda przybędą do Glendower? Co z naszym sąsiadem Iscarem? Od dawna pragnie naszych ziem. Możesz mnie wysłać tylko związanego, zakneblowanego i pod strażą!

Mariusz chyba zrozumiał determinację syna, bo nagle wydał się bardzo zmęczony. Lekko wzruszył ramionami.

- Niech tak będzie. Ale jeśli zostaniesz, będziesz pod moimi rozkazami.

Artos wziął głęboki oddech.

- Wiem.

W ten sposób stał się członkiem armii, która maszerowała na południe i zachód. Armii? Na początek mieli zaledwie jeden pełny oddział, chociaż ludzie wciąż się zbierali, i liczba żołnierzy rosła. Coraz więcej posłańców przybywało ze złymi nowinami o Saksonach, wdzierających się w głąb kraju, i o Modredzie rozbijającym obóz, do którego przychodzili ludzie z plemion, pod skradzionym Czerwonym Smokiem składając przysięgę lojalności i pieczętując ją własną krwią.

Wysoki Król zaśmiał się chrapliwie, gdy mu o tym powiedziano.

- Przysięga krwi, tak? Czyż pamiętają, że w przeszłości takie przysięgi składali również mnie?

- Ale kapłani mówią, że przysięgi nie obowiązują, gdy złożone zostały komuś, kto nie jest związany z prawdziwym kościołem - zauważył Gawain, wykrzywiając wargi. Wszyscy

wiedzieli, że służył starym bogom, i że kapłani wielokrotnie nagabywali Wysokiego Króla, żeby odsunął go z tego właśnie powodu.

- Zdrady nie zmyje się tak łatwo - to wszystko, co odpowiedział Pendragon.

Ale zdawało się, że Modred, zdrajca czy nie, zbierał coraz więcej ludzi. I tylko połowa z nich maszerowała pod sztandarami Saksonów w kształcie końskiego ogona.

Artos, jako trębacz i posłaniec Mariusa, jechał zawsze u boku ojca, który prowadził oddział. Większość z jego ludzi wywodziła się ze starej, rzymskiej rasy. Używali krótszych mieczy legionistów, a ich twarze, ocienione, wysokimi hełmami, różniły się od twarzy ludzi z plemion. Na ich sztandarze widniał Orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Niósł go Caius, który nie odstępował na krok swego dowódcy. Artos zazdrościł mu tego zaszczytu. Róg wojenny, wiszący u boku chłopca, nie był tak cudownym symbolem, jak Orzeł.

Nadszedł czas, kiedy wreszcie zobaczyli ogniska obozu wroga. Ale drogę zagradzała im podmokła, nierówna ziemia, niełatwa do pokonania dla koni.

- Modred dobrze wybrał - Artos usłyszał słowa ojca, skierowane do pierwszego centuriona, Remusa, kiedy oglądali teren ze wzgórza.

- Mimo że to zdrajca, wciąż jest wojownikiem. Ale nie spotkał jeszcze Cezara na polu bitwy - w odpowiedzi Remusa brzmiała ufność.

Siły się zwiększały. Kai przybył z Venty z obrońcami, którzy tam zostali. Artos zobaczył wśród nich garstkę swych towarzyszy nauki, tak więc w szeregach stanęli zarówno starzy, jak i bardzo młodzi. Ale Czerwony Smok nie prowadził przedniej straży.

Wysoki Król nie pozwolił rozwinąć symbolu swej władzy. Zamiast tego wydał rozkazy, aby każdy z żołnierzy wyruszając zerwał garść jęczmienia z pola (tak wiele pól pozostało teraz bez żeńców) i przymocował go do hełmu na znak, że walczy nie dla żadnego króla, lecz o swą własną ziemię. Na włóczni, niesionej za Wysokim Królem, powiewała kępa jęczmienia, a Orzeł, dzierzony przez Caiusa, również miał wieniec.

Tej nocy po nierównym terenie, oświetlonym teraz pochodniami, poniósł się dźwięk rogów, wzywający do pertraktacji. Potem przybyła grupa nie wojowników, lecz kapłanów, domagających się rozmowy z królem. Prowadził ich Imfry, jeden z tych, którzy w przeszłości spierali się z Pendragonem, gdyż nie chciał przyznać kościołowi większej władzy. Ale Wysoki Król zawsze traktował go uprzejmie.

O spotkaniu Artos usłyszał tylko to, co mówił później ojciec że ludzie kościoła prosili o zawieszenie broni, aby Modred i Wysoki Król mogli się spotkać twarzą w twarz, co zaoszczędziłoby krajowi krwawej łaźni.

- Co z Saksonami? - zapytał Artos.

Mariusz zaśmiał się chrapliwie.

- Tak, Saksoni. Ale kapłani zawsze mają nadzieję, że zyskają ich dusze. Ich przywódca. Nagie Ostrze, słuchał Imfry'ego, jak się zdaje. Cóż, Cezar zrobi im prawdziwe spotkanie. To da nam czas, którego najbardziej potrzebujemy. Nie można ufać obietnicom Modreda ani Saksona. Każdy z nich przywiedzie uzbrojonych dziesięciu ludzi, ale rozkaże im, by nie wyciągali broni z żadnego powodu. Pokazanie stali będzie się równało zerwaniu pokoju.

- Jedziesz? - ku uldze Artosa Mariusz potrząsnął głową.

- Cezar bierze tylko dwóch ze swych kapitanów, Kai i Gawaina. Jeśli to będzie pułapka, nie chce stracić nas wszystkich. Tymczasem my, chociaż jest czas pokoju, będziemy stali gotowi do walki.

Słońce stało już na niebie, kiedy Wysoki Król wraz z dobraną świtą wyjechał z szeregów swego wojska. Pozostali nadeszli z innych stron, gdzie bezczelnie powiewały końskie ogony Skrzydlatych Hełmów i stał proporzec Smoka.

- Ich Smok się dąsa - mruknął Caius do Artosa.

To była prawda. Czerwony proporzec nie wydymał się dumnie na wietrze, lecz wisiał jak postrzępiona szmata na kiju. Może był to znak, że proporzec Wielkiego Króla ożyje tylko dla niego samego.

Kiedy dwie grupy się spotkały. Kapłani po jednej stronie odśpiewali hymn, który obserwatorzy usłyszeli jako niewyraźny pomruk. Gdy tak czekali, słońce grzało coraz mocniej. Od czasu do czasu ktoś mówił coś cicho do sąsiada. Ale ciszę o wiele wyraźniej przerywało tupanie koni, które oganiały się od much, oraz skrzyp zbroi, kiedy ktoś zmieniał pozycję.

Przed nimi rozciągało się podmokłe wrzosowisko, niedobry teren dla jeźdźców. Gdzieś widać było pozostałości po zgaszonych ogniskach, większość ziemi porastała jednak szorstką trawą, spaloną słońcem tak, że jej kolor przypominał dojrzałe zboże.

Artos zobaczył błysk światła. Jeden z ludzi Modreda wyciągnął miecz i dźgał ziemię. Ostrze było nagie.

- Pokój przerwany! Pokój przerwany! - krzyki z początku były ciche, ale urosły do ryku, w miarę jak dołączali się kolejni ludzie.

Widać było kłębowisko wojowników, dobotych mieczy, rozlegał się szczeł broni...

- Róg!

Artos nie słyszał tego rozkazu, wojenny róg był już przy jego ustach. Jego chropowaty dźwięk zagłuszyła wrzawa. I zaczęła się szarża, którą zaplanował Wysoki Król. Jeźdźcy krzyczeli "Ave, Cesar!"

Potem rozpętało się szaleństwo, z którego Artos pamiętał tylko małe fragmenty. I on walczył, wywijając rzymskim mieczem. Widział wykrzywione twarze, które pokazywały się i znikwały. Raz czy dwa zdarzyła się chwila przerwy, kiedy ludzie z oddziału zbierali się i zmieniali szyk, aby zaraz znów ruszyć do boju.

Artos zobaczył, jak Caius pada pod saksońskim toporem, i schwycił Orła, zanim ten się zagubił. Uderzył drzewcem człowieka, który zabił Caiusa, powalił go na ziemię, gdzie stratowały go konie. Za każdym razem, gdy oddział zmieniał szyk, szeregi były cieńsze, więcej było rannych, a niektórzy trzymali się w siodłach tylko siłą woli.

Niebo pociemniało, ale było jeszcze dość światła, by coś widzieć: Wysokiego Króla, jego purpurowy płaszcz Cezara zmieniony w poszarpaną szmatę; na jego ramieniu tarczę z na wpół oderwaną głową smoka z oczami z drogich kamieni; wreszcie wielki miecz, o którym opowiadano tak straszliwe historie, czerwieniący się w jego dłoni - oto Wysoki Król, Artos z Brytanii!

Naprzeciwko niego stał książę Modred, którego eleganckie szaty ubrudziły się niezmiernie przez cały dzień walki.

- Nie! - głos Modreda urósł do krzyku, jakby widok żywego Cezara był czymś więcej, niż książę mógł znieść. Rzucił się naprzód z mieczem w dłoni. Król przygotował się do odparcia ataku.

Modred uderzył najpierw w konia, który zarżał, gdy książę odsuwał się od wierzgających kopyt. Artos Pendragon zeskoczył z siodła, ale wylądował źle, niepewnie, więc Modred, uderzył nisko jak waz w tarczę. Ostrze trafiło w jej kraniec, nie mógł więc go szybko wyciągnąć i pchnąć jeszcze raz. Wysoki Król uderzył. Był to potężny cios, który ugodził ciało wroga tam, gdzie szyja spotyka się z ramieniem. Modred zachwiał się i upadł na bok. Zanim jego ciało dotknęło ziemi, był już martwy.

Wysoki Król przeszedł chwiejnie krok czy dwa, ale uderzyło go wierzgające kopyto zdychającego konia, więc on również padł.

- Ahhh... - jęczeli zakrwawieni i sponiewierani żołnierze w pobliżu króla. Artos zsunął się z siodła, i zataczając się pociągnął Wysokiego Króla, próbując go odsunąć od konia; pozostali pomagali mu, nie zważając na wrogów, byle tylko uwolnić przywódcę.

Nagle ostrzegł ich krzyk. Podnieśli głowy i zobaczyli biegnących w ich kierunku Saksonów. Stoczyli dziką, desperacką bitwę wokół Pendragona. Ich żal i wściekłość były tak

wielkie, że żołnierze nie zwracali uwagi na rany, lecz, jakby byli z żelaza, wycinali w pień Skrzydlate Hełmy.

Gdy zamieszanie się skończyło, na nogach pozostało jedynie pięciu obrońców króla. Artos ukucnął przy swoim władcy, próbując go osłonić rozłupanym i pociętym drzewcem Orła, oraz własnym ciałem. Sztandar był rozdarty, a z ramienia Artosa płynęła ciepła krew. Jego palce zeszywniały i nie mógł już utrzymać rękojeści miecza.

Król drżał i jęczał. Udało im się jakoś wyciągnąć go spod martwych ciał i ułożyć prosto na ziemi. Artos rozejrzał się, oszołomiony. Kai leżał obok, jego miecz wbity był w Saksona, lecz w twarzy rycerza nie było już życia. Marius? Gdzie ojciec? Jeden z ludzi pochylonych nad leżącym królem spojrział w górę.

- Artos?

Chłopiec nie mógł odpowiedzieć głośno. Podpierając się drzewcem Orła, dokuśtykał do miejsca, gdzie leżał król, otoczony swymi ludźmi. Marius powiedział:

- To poważna rana, ale musimy go przenieść do kryjówki. Nie można mu jeszcze powiedzieć, co się stało w ciągu dnia. Wrogowie z radością zatknęliby jego głowę na włócznie.

Przenieśli go więc. Było to bardzo trudne, gdyż król był wysokim, ciężkim mężczyzną, a oni wszyscy padali z wyczerpania, nikt nie był wolny od ran. Artos chwiejąc się szedł z innymi, wciąż opierając się na drzewcu. Ale kiedy skręcił w lewo, żeby ominąć ciała ludzi i koni, zobaczył Królewski Sztandar. Drzewce było mocno wbite w ziemię. Czerwony Smok zwisał bez życia, jakby nie mógł służyć nikomu, oprócz swego prawdziwego pana. Artos słabo widział w półmroku. Wbił w ziemię złamane drzewce Orła, żeby stało prosto, i pociągnął drzewce Smoka. Było wbite zbyt mocno, żeby ustąpić pod jego słabym szarpaniem. W końcu Artos ukląkł i rył ziemię nożem, aż wyciągnął drzewce.

Było bardzo ciężkie, musiał je oprzeć na zdrowym ramieniu. Zwoje materiału, pachnące dymem, opadły mu na głowę. Ale niósł sztandar za tymi, którzy nieśli Wysokiego Króla.

Znaleźli mały szałas. Może było to schronienie jakiegoś świętego człowieka, który wybrał samotne życie w dziczy, jak robili niektórzy. Ktoś rozniecił ogień, i przy jego świetle zdjęli zbroję królowi, żeby zbadać ranę.

Nie było nikogo, kto znałby się na uzdrawianiu. Ale wszyscy dość długo walczyli na wojnach, by wiedzieć, jakie rany mogą wytrzymać ludzie. Marius usiadł na piętach, jego twarz była jak ciemna maska. Artos odwrócił wzrok.

- Marius?

- Cezarze! - znów pochylił się nad swym panem.

- To śmiertelna rana...

- Widziałem, jak ludzie odnosili gorsze, i przeżywali.

- Mów tak do dzieci, Mariusie. To jednak ciemna droga. Ale opatrz mnie najlepiej, jak możesz, muszę się trzymać przy życiu, dopóki się nie dowiem... dowiem, co będzie z Brytanią. Powiedzcie, jak przeszedł dzień...

- Z pewnością się dowiesz! - Marius odwrócił się do pozostałych. - Sekstusie, Kalinie, Gondorze - sprawdźcie, co się dzieje! Byli to najlżej ranni z całej kompanii, poszli więc szybko.

- Przynajmniej ten zdrajca Modred nie żyje! - warknął Marius.

- Wszystkie uczynki... są... właściwie... wynagrodzone... powiedział Wysoki Król. - Czy... jest... coś do... picia?

- Jest trochę. - Marius wstał na nogi. - Woda, chociaż zmacona. Zdjął hełm teraz już bez piór, które zostały odcięte, i odszedł. Artos oparł ciężkie drzewce proporca o ścianę, osunął się i usiadł, opierając się plecami o szorstką powierzchnię. Jego rana przestała krwawić, ale ramię wciąż drętwiało.

Noc była długa, lecz król odzywał się od czasu do czasu. Czasami Artos wyraźnie słyszał jego słowa, czasami tylko niewyraźny, odległy pomruk. Marius opatrzył ranę syna i zawiązał ją paskiem oderwanym z własnego płaszcza. Kazał mu spać.

Przychodzili ludzie, zaglądali do szalasu, patrzyli na króla. Niektórych pozdrawiał po imieniu, paru przyklęknięto przy nim na chwilę. Ale wszyscy stali na zewnątrz, jak strażnicy. Docierały do nich również nowiny. Siły Modreda stopniały, kiedy żołnierze dowiedzieli się o jego śmierci. Saksoni zostali odepchnięci przez świeże oddziały, które przybyły za późno, by wziąć udział w samej bitwie. Ale wojsko, które poszło za Cezarem Brytanii, oddział Towarzyszy Czerwonego Smoka, odniosło takie straty, że już nigdy nie będzie armią.

Gdy nadszedł świt, a z nim wieści o tym, że Saksoni podążyli na statki, ścigam przez nowe oddziały. Wysoki Król słuchał chciwie, potem odwrócił się do Mariusa i przemówił. Jego głos był nieco silniejszy, jakby władca gromadził siły na tę chwilę.

- Zebrałem wojsko, teraz już go nie ma. Ale moje imię będzie jeszcze trzymać ludzi razem, więc zyskacie trochę czasu. To był sen, dobry sen - o Brytanii zjednoczonej przeciwko czarnej nocy pogaństwa. Sprawiliśmy, że żył choć przez chwilę, teraz umiera. Róbcie, co w waszej mocy, Gawainie, Mariusie, tacy jak wy, aby pamiętać o tym śnie podczas nadchodzącej nocy. Abym mógł służyć martwy tak, jak służyłem żywy, nie mówcie nikomu, oprócz tych, co saw szalacie, że umarłem. Powiedzcie raczej, że będę uzdrowiony, i że moja rana, choć głęboka, nie jest śmiertelna. - Jesteśmy niedaleko rzeki. Zdobądźcie łódź, jeśli

możecie, i zawieźcie mnie na wyspę. Pamiętajcie, by nie było śladu mego grobu. Dajcie mi słowo, niech to będzie ostatnia przysięga lojalności, o jaką was proszę.

Razem przysięgli. Nie przemówił więcej, ale niedługo potem Marius pochylił się nad nim, położył dłoń na czole Cezara, wstał i pokiwał głową. Szybko podszedł do proporca Wielkiego Smoka i odciął sznury, które wiązały go z drzewcem. Materia opadła na ziemię. Na niej położyli Wysokiego Króla. Wychodząc z szałas, powiedzieli czekającym strażnikom, że niosą go do świętego człowieka, który mieszka w dole rzeki i zna sztuki uzdrawiania.

Marius i Gawain znaleźli łódź i złożyli w niej ciało swego władcy. Artos trzymał się za ojcem. Sekstus wiosłował, łódź płynęła równo. Potem złapał ich prąd i pozwolili się nieść. W końcu dotarli do wyspy porośniętej krzakami i niewielkimi drzewami; na niektórych z nich rosły małe, jeszcze zielone jabłka. Kto zasadził je w tej głuszy, Artos nie mógł zgadnąć.

Przedzierali się przez trzciny i zarośla. Marius, Gawain i Sekstus nieśli ciało Wysokiego Króla. Dotarli do polany, na której stał niewielki budynek z ciosanego kamienia. Przed nim stał posąg kobiety, a dwa inne, mniejsze, były trochę z tym. Artos pomyślał, że musi to być świątynia z dawnych czasów, nie wiedział jednak, jakiej bogini, brytyjskiej czy romańskiej.

Przed świątynią, przy trzech posągach, które zdawały się im przyglądać, ludzie zaczęli kopać ziemię mieczami. Marius złamał ostrze o kamień, który próbował podważyć. Sięgnął w zwoje smoczego proporca i wyciągnął miecz króla, dłuższy i cięższy. Wbił go w glinę. Tymczasem Artos odgarniał ziemię, którą pozostali wykopywali.

Zajęło im to dużo czasu, gdyż miecze były niewygodnymi narzędziami, a Marius i pozostali chcieli wykopać głęboki dół. Potem narwali świeżej trzciny z brzegu i przynieśli liście, które gniecione w ich ubrudzonych ziemią dłoniach, wydzielają orzeźwiający zapach. Artos znalazł przy świątyni kępę świeżych kwiatów. Zerwał ją. Zrobili posłanie dla ostatniego Cezara Brytanii. Potem Artos Pendragon. Wysoki Król, dobrze owinięty w wojenny proporzec, został pochowany w ukrytym grobie.

Znów pracowali długo, żeby zakopać i zamaskować miejsce. Kiedy skończyli i byli już gotowi do odejścia, Artos zauważył nagle miecz królewski, leżący tam, gdzie rzucił go jego ojciec. Miecz również powinien zostać pogrzebany, w dłoni swego właściciela.

Podał go ojcu w pytającym geście. Marius wziął go z westchnieniem, przesunął dłonią po wyszczerbionym, zniszczonym ostrzu.

- Jest zbyt dobrze znany. Również musi zniknąć. Albowiem nikt nie uwierzy, że Cezar by się z nim rozstał.

Podszedł do brzegu rzeki i zakręcił mieczem nad głową z całą siłą, jaka została mu w zmęczonych ramionach. Miecz poleciał nad wodą i pogrążył się w ciemnej topieli. Tak zniknęła ostatnia rzecz, która łączyła ich z Artosem Pendragonem, Dux Bellorum, Cezarem, Wysokim Królem Brytanii. Słońce zaszło.

5. SHUI MIEN LUNG - DRZEMIĄCY SMOK

Artie przetarł oczy ręką. Poczul łyzy, policzki również miał mokre. Ale nie było rzeki, drzew, świątyni z trzema boginiami, pilnującymi ukrytego grobu. Zamrugał raz, i jeszcze raz. Nie był Artosem, tylko Artiem, Artiem Jonesem. Siedział w fotelu przy stole. Promień słońca padał prosto na jasnoczerwonego smoka którego ułożył połączonego ze srebrnym i z niebieskim. Był to smok z proporca, w który owinęli jego. Artie przetarł twarz dłońmi i pociągnął nosem.

On płakał! Jak małe dziecko! Ale ten sen był tak realny! Czuł, jakby był wciąż na brzegu, gotów wsiąść do łodzi i wracać do obozu, gdzie została reszta armii. Co się stało potem?

Król Artur... W szkole czytali o Królu Arturze. Ale były to historie o rycerzach i Okrągłym Stole i - nie o tym Arturze! Chciał się dowiedzieć, co się stało z Artosem, Mariusem i resztą. Czy ktoś odkrył, że Wysoki Król nie żyje? Czy walczyli dalej, w nadziei, że wróci i ich poprowadzi? Coś w Artiem głęboko wierzyło, że to wszystko zdarzyło się naprawdę: zdrada Modreda, śmierć Pendragona, sekretny pogrzeb.

Kiedy myślał o Modredzie, czuł się trochę zawstydzony - nie za księcia, lecz za siebie samego. Artos zazdrościł ludziom Modreda, w pewnym sensie chciał nawet być członkiem jego wojennego zespołu, ale przecież Modred był gotów odrzucić wszystko, o co walczył Pendragon, żeby tylko samemu zostać królem.

Artie zmarszczył brwi, myśląc o Modredzie i Artosie. Czasami łatwo było wybrać złą stronę tylko dlatego, że chciało się uczestniczyć w czymś efektownym... Efektownym. Nie był do końca pewien, jak to się działo. Ale teraz wiedział, że wszystko kiedyś zdarzyło się naprawdę.

Zsunął się z fotela i niechcący dotknął stopą piłki, która wytoczyła się do hallu. Artie pobiegł za nią. Nie patrzył już na czerwonego smoka (nie musiał, zawsze będzie go pamiętał). Podniósł piłkę i wrócił do drzwi, przemierzając cały dom.

Kiedy znalazł się w zarośniętym ogrodzie, pomyślał o czym innym. Tamte dwa smoki, które zostały ułożone - czy też miały swoje historie? Czy to dlatego poszli tam Sig i Ras? Może wiedzieli więcej o Artosie - co się z nim stało! Artie zaczął biec. Dogoni chłopców, dowie się, co odkryli.

Przechodząc koło domu Siga zwolnił, mając nadzieję, że go zobaczy. Ale nie było go. Artie z ociąganiem ruszył dalej. Jutro idą z rodzicami na obiad do dziadków, nie zobaczy się więc z Sigiem. Ale w poniedziałek rano, na przystanku autobusowym... Jeśli przyjdzie trochę

wcześniej, może trafi na Siga i uda mu się dowiedzieć, czy on też przeżył jakąś przygodę z innymi smokami. Tak bardzo chciał to wiedzieć!

Weekend nigdy nie mijał tak powoli. Artie parokrotnie narobił sobie kłopotów, rozmyślając o Pendragonie oraz pozostałych smokach i nie odpowiadając na zadawane mu pytania. Ucieszył się, gdy nadszedł niedzielny wieczór i wrócili do domu. Poszedł do swojego pokoju, mówiąc, że ma do odrobienia lekcje (nawet próbował rozwiązać parę zadań z matematyki, poczytać historię). Ale nawet pochylony nad stronicami książek, ponownie przeżywał maleńkie fragmenty snu. Znowu czuł ból w ramieniu, patrzył, jak Marius i pozostali dźgają ziemię mieczami.

Artie westchnął. Jediną rzeczą, której chciał, było dowiedzenie się czegoś więcej o Arturze - o jego Arturze, nie o tym z legend. W bibliotece może być jakaś książka na ten temat. Artie nie za dobrze orientował się w bibliotece. Chodził tam, kiedy potrzebne mu były materiały do referatu, ale zawsze polował na jak najcieńszy podręcznik. Chłopaki z bandy Grega Rossa mieli listę najcieńszych książek - widział, jak ją sobie podawali.

Greg Ross - Artie z zaskoczeniem uświadomił sobie, że pierwszy raz od soboty pomyślał o Gregu. To, że nie zauważała go jego banda, już się nie liczyło. Co znaczył Greg Ross dla kogoś, komu zaufał Kai, kto walczył w bitwie, kto... Artie jeszcze raz przeżywał ekscytujące fragmenty snu. Teraz w jego myślach Greg Ross stał się zupełnie nieistotny. O wiele ważniejsze było zobaczenie się z Sigiem.

Następnego ranka na przystanku czekał tylko jeden duży chłopiec - Kim Stevens. Widząc go, rozczarowany Artie zwolnił, zatrzymał się i odwrócił wzrok. Kim czytał z nosem w książce. Zawsze czytał. Może to dlatego nosił okulary. Nie podniósł oczu ani niczego nie powiedział, kiedy Artie stał i obserwował ulicę, czekając na Siga.

Ale gdy Sig znalazł się w polu widzenia, był przy nim Ras. Artie się zawahał. Chociaż chciał porozmawiać tylko z Sigiem, wiedział, że oni obaj byli w starym domu i układali układankę. Zebrał się więc na odwagę i stanął przed nimi.

- Cześć - powiedział, ale powitanie nie wyszło tak pewnie, jak zamierzał; brzmiało raczej, jakby się bał, że mu nie odpowiedzą.

Sig patrzył na niego przez chwilę a Ras się wykrzywił. Artie pomyślał, że tym go skwitowali, ale desperacja zwyciężyła, więc odezwał się znowu:

- Proszę, chłopaki, te smoki... - nie zamierzał tak zaczynać, ale słowa same wypłynęły mu z ust.

Teraz patrzyli na niego tak, jakby chcieli usłyszeć, co miał do powiedzenia.

- Jakie smoki? - zapytał Ras.

- Srebrny... niebieski...

Sig złapał Artiego za ramię.

- Co robiłeś? Szpiegowałeś nas?

- Czekaj! - Ras nie dopuścił do bójki. Uważnie przyglądał się Artiemu,

- Którego złożyłeś? - zapytał głośnym szeptem.

Artie natychmiast odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Czerwonego, Pendragona.

- Pendragona? - powtórzył Sig. Zwolnił trochę uścisk, ale patrzył bardziej na Rasę, kiedy zapytał:

- Znasz Pendragona?

- Pendragona? Nie, nigdy o nim nie słyszałem. Ale też nigdy nie słyszałem o Fafnirze ani o Iau. Dobrze, Artie, czyli złożyłeś czerwonego smoka, tego Pendragona. Co się stało potem? Gadaj, stary!

Artie opowiadał bezładnie, mieszając wszystko tak, że chłopcy musieli przerywać mu pytaniami, na które niecierpliwie odpowiadał. Opowiedział szczegółowo o pogrzebie Wysokiego Króla i o wrzuceniu jego miecza do rzeki.

- Czy wy... czy wy też o tym śniliście? - zakończył.

- Nie o nim... - zaczął Sig, kiedy podjechał autobus. Wsiedli i od razu pobiegli na długie tylne siedzenie, gdzie stłoczyli się razem.

- Ja o Pamirze i Sigurdzie - powiedział Sig we wrzawie innych głosów. - A Ras o SIRRUSH-IAU i Danielu. Opowiedz mu. Ras.

Mimo że Ras skrócił swą historię, Artie uwierzył. Zaczęli porównywać przeżycia, każdy dodawał szczegóły do swego spotkania ze smokiem, czasami mówili wszyscy naraz.

- Został jeszcze żółty smok - powiedział Sig. - Zastanawiam się...

Ras potrząsnął głową.

- Nie ma sensu próbować, wiesz, co stało się przedtem. Ale chciałbym się dowiedzieć, co to za smok. Tylko że to się nie uda. W tym tygodniu przyjadą zburzyć dom, ludzie z Pomocy Społecznej muszą wszystko wynieść. Układanka pójdzie z resztą rzeczy.

- Chciałbym, żeby została skończona. Powinna zostać skończona! - Sig uderzył pięścią w swój duży zeszyt. - Chcę się dowiedzieć, co to za smok.

Siedzący przed nimi Kim usłyszał słowo "smok". Chociaż czytał, docierały do niego fragmenty ich rozmowy, słyszał też podekscytowane słowa na przystanku. Teraz wciąż trzymał otwartą książkę, ale zamiast czytać, nasłuchiwał, żeby dowiedzieć się więcej.

Zaskakujący był już sam fakt, że ci trzej, którzy nigdy przedtem nie zwracali na siebie uwagi, teraz odnosili się do siebie tak przyjacielsko. Zdaje się, że coś ich mocno ze sobą łączyło. Smoki. Pomyślał o smokach.

Kim wiedział sporo o smokach jeszcze z Chin. Był zielony smok ze wschodu i smoki, które wiosną leciały w niebo, a jesienią opadały do wody; Lung, pięciopalczasty smok, który w dawnych czasach mógł być malowany tylko w pałacu królewskim albo na szatach cesarza; niebiańskie smoki, które strzegły siedzib starych bogów; smoki–duchy, które panowały nad wiatrami i deszczem; smoki ziemne, które oczyszczały rzeki i pogłębiały morza; smoki, które pilnowały ukrytych skarbów.

Smoki mogły przybierać postać człowieka i kiedy tylko chciały, pojawiały się między ludźmi. Znał stare opowieści o takich smokach i darach, które zostawiały tym, których lubiły. Słyszał też o tym, jak odpłacały złem za zło. Tak, o smokach słyszał mnóstwo historii. Ale to były tylko historie. Ile wiedzieli o smokach chłopcy, rozmawiający za nim? Na pewno nie tyle, co on. Przypuśćmy, że się teraz odwróci i powie...

Ale to była ostatnia rzecz, którą chciałby zrobić. Kim nienawidził jazdy autobusem, nienawidził szkoły! Chciał wrócić do starej, tam, gdzie znał ludzi. Książka, którą trzymał, trochę podskakiwała, ale wciąż używał jej jako osłony. W końcu, skoro wyglądał na zaczytanego, nikt nie mógł zgadnąć, jak bardzo czuł się samotny. Czytanie było dobrą przykrywką faktu, że nie miał z kim rozmawiać.

Książka jako parawan. Parawany - używali ich starzy ludzie w Chinach, żeby odpędzić demony. Czasami rzeźbiono na nich lub malowano smoki, żeby odstraszały złe duchy. Chciałby przywołać prawdziwego, chińskiego smoka najlepszego gatunku. Co by ludzie powiedzieli, gdyby przyjechał do szkoły na smoku, jak taoistyczny czarownik?

Smoki... Ale jak to możliwe, żeby w starym domu były smoki? Kim pomyślał o paru słowach, które słyszał wyraźnie. Nagle wpadł na pomysł. A gdyby poszedł tam sam, żeby sprawdzić? Tylko że do pustych domów nie wolno wchodzić, to sprzeczne z prawem.

Z drugiej strony, ten dom wkrótce zostanie zburzony, może nawet jeszcze w tym tygodniu. Czyli nie będzie to włamanie. A może będzie? Smok, a raczej smoki, o których mówili chłopcy, były w domu. Obrazy, rzeźby, a może i parawan. Słyszał, że człowiek, który tam kiedyś mieszkał, podróżował po całym świecie. Możliwe, że przywiózł obrazy smoków ze wschodu. Kim bardzo chciał się dowiedzieć - musiał się dowiedzieć!

Zauważył, że kiedy wysiedli pod szkołą, Artie nie podbiegł do Grega Rossa i jego przyjaciół, którzy stali i kłócili się o sobotni mecz. Został z Sigiem i chłopcem, który kazał się nazywać Rasem. Wszyscy trzej byli podekscytowani, mówili jednocześnie. A kiedy można

było się zgłosić po przepustkę do biblioteki na czas pracy własnej, Kim nie był jedynym, który podniósł rękę. Ci trzej zrobili to samo po raz pierwszy, odkąd pamiętał.

Obserwował ich w bibliotece, pewien, że tego nie zauważą. Sig i Ras wiedzieli chyba, czego chcą. Ale Artie się wahał, wreszcie zapytał bibliotekarkę. Była trochę zdziwiona, podeszła do katalogu i przeglądała fiszki. Idąc po książkę nie złożyła ich. W szufladce została przerwa.

Kim podszedł do katalogu, wyciągnął szufladkę i zajrzał. Przeczytał tytuł książki na fiszce. Niosący latarnię, książka o rzymskiej Brytanii. Czytał ją w poprzedniej szkole. Była dobra - wszystko o czasach, kiedy Legiony musiały opuścić Brytanię, a jej mieszkańcy musieli sami walczyć z saksońskimi najeźdźcami. Było w niej dużo o człowieku, który, jak przypuszczano, był prawdziwym Królem Arturem, nie tym od rycerzy i Okrągłego Stołu.

Ale co to miało wspólnego ze smokami? I czym się tak interesowali Sig i Ras? Kim niepostrzeżenie ustawił się w kolejce tuż za nimi, starając się zobaczyć książki, które trzymali.

Sig wziął opowieści o bohaterach. Ras coś o starożytnym Egipcie. Artie stanął za Kimem ze swoją książką. Kiedy szli na następną lekcję, ci trzej zmów trzymali się razem i pokazywali sobie książki. Ale co miały ze sobą wspólnego Egipt, opowieści o bohaterach i rzymska Brytania? Kim wcisnął swoją naprędce wybraną książkę do torby, coraz bardziej zaprzątnięty myślami o tym nagłym, tajemniczym związku.

Zastanawiał się cały dzień, aż wreszcie się zdecydował. Korzenie tajemnicy z pewnością tkwiły w starym domu, który miał coś wspólnego ze smokami.

Również dlatego, że w nowej szkole trzymał się z dala od kolegów (uważali go za "świra", jak słyszał parę razy), nagle bardzo zapragnął rozwiązać tę zagadkę. Nawet jeśli to miało oznaczać chodzenie za tamtymi trzema albo wtrącanie się w ich sprawy.

Nie miał wiele czasu, może tylko dzisiejszy dzień. Postanowił spróbować po szkole, chociaż wciąż czuł się dziwnie na myśl o wejściu do starego domu. Jeśli chłopcy tam wrócą, pójdzie za nimi.

Ale ci trzej nawet nie rzucili okiem na dom, kiedy tego popołudnia wysiedli z autobusu. Zamiast tego poszli prosto ulicą. Sig mieszkał najbliżej. Kim szedł za nimi bardzo wolno, do końca próbując się zdecydować. Kiedy doszli do domu Siga, tamci weszli do środka, wciąż rozmawiając.

Teraz Kim szedł naprawdę bardzo wolno. Drzwi domu Siga otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Co robić? Musiał zdecydować szybko, nie miał czasu. Jeśli będzie zwlekał, mama zacznie się zastanawiać, co się z nim dzieje.

Podjął decyzję i pośpieszył w stronę podjazdu, prowadzącego do starego domu. Wciąż jednak uważał: zatrzymał się i sprawdził, czy nikt nie patrzy. Rosło tam pełno krzaków, można więc było przemknąć między nimi.

Frontowe drzwi były zabite szeroką deską. Którędy wchodził Sig i pozostali? Pewnie gdzieś od tyłu. Kim przedzierał się przez stosy liści. Zobaczył ganek i ślady błota, prowadzące do okna. To tu. Znow się zatrzymał. Co on robi? Wciąż może wrócić. Tylko że już sekundę później wiedział, że nie wróci. Musiał dojść do końca przygody.

Z wysiłkiem podniósł okno i wdrapał się do środka. Znalazł się w wielkim, ciemnym pomieszczeniu. Głupio postąpił, nie biorąc latarki. Ale żeby ją zdobyć, musiałby wrócić do domu, i może nie udałoby mu się tu przyjść. Zresztą nawet w nikłym świetle widział wielką kuchnię. Miał nadzieję, że uda mu się zobaczyć resztę domu. Wszyscy trzej chłopcy byli tu przed nim. A jeśli mogli to zrobić Artie, Sig i Ras, mógł też Kim Stevens.

Zdjął okulary i przetarł je chusteczką, jakby dzięki temu mógł lepiej widzieć w ciemności. Słyszał dziwne hałasy, skrzypienia, westchnienia, które go denerwowały, chociaż wiedział, że to tylko stare deski, może szczury czy myszy, czyli to, co znajduje się w starych domach, w których od jakiegoś czasu nikt nie mieszka.

Kim poszedł przez spiżarnię do jadalni, gdzie zatrzymał się i rozejrzał. Nic, co by mogło wskazywać na najmniejszego nawet smoka. Pomyślał, że duże meble są nudne i obrzydliwe, w dodatku wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu.

Również w salonie, gdzie meble były osłonięte prześcieradłami i gazetami, nie znalazł niczego co sugerowałoby, że ktoś tu był. Nie znalazł obrazów ani rzeźb w kształcie smoków. Kim starł ręką kurz z szyby serwantki, ale w środku zobaczył tylko parę filiżanek i sosjerek, oraz małe figurki ludzi i zwierząt.

Dalej był hali, w którym zauważył ślady, prowadzące do drzwi jakiegoś pokoju. Były uchylone. Zatrzymał się, żeby posłuchać gdyż spodziewał się usłyszeć w środku jakiś ruch. Miał bardzo dziwne uczucie, że po drugiej stronie ktoś go oczekuje. Po chwili Kim uświadomił sobie, że nie jest to niebezpieczne, lecz ekscytujące.

Otworzył drzwi trochę szerzej i wsunął się do środka. Nie było tam nic oprócz stołu i fotela, odsuniętego fotela, jakby ktoś właśnie wyszedł. Ale z jednego nie zasłoniętego okna dochodziło światło, a na stole coś błyszczało kolorami, świeciło prawie jak małe lampki.

Podszedł bliżej do tych błysków, przypominających klejnoty. Układanka! Dostał układankę na ostatnią Gwiazdkę. Była okrągła, ze wszystkimi gatunkami dzikich zwierząt. Wszyscy mu przy niej pomagali. Mama ustawiła w pokoju stół i położyła na nim układankę,

żeby w każdej chwili mogli nad nią pracować. Ułożenie jej trwało bardzo długo, prawie tydzień.

Kim podniósł wieko szkatułki żeby zobaczyć obrazek. Smoki! Cztery, każdy inny. Trzy z nich zostały już ułożone. Tylko złoty wciąż leżał w kawałkach na blacie stołu. Chłopiec obejrzał obrazek na wieczku. To był cesarski smok - pięciopalczasty Lung! Popatrzył na pozostałe trzy i zobaczył, że nie są chińskie - zwłaszcza ten dziwny, niebieski. Ale złoty wyglądał dokładnie jak te, które wiele razy widział na malowidłach w Hongkongu.

Wiele elementów układanki leżało na stole obrazkiem do dołu; widniały na nich czerwone znaki, jakby namalowane pędzelkiem starodawne pismo. Kim pchnął parę fragmentów końcem palca i odniósł wrażenie, że same układają się w pełny, czerwony znak. Znał tylko parę starych liter, nie umiał wiele odczytać. Ale ten, chociaż z początku wyglądał dziwnie, miał sens.

Tylko jeden znak, napisany na czerwono. Wpadł mu do głowy jeden pomysł, chociaż nie wiedział, skąd. W dawnych czasach cesarz zawsze musiał pisać cynobrem, a czyż cynober nie jest odmianą czerwieni? Kim zastanawiał się, skąd to wie.

Pamięć podpowiedziała mu dwa słowa: "Shui Mien". To znaczyło "śpiący". Ale skąd je znał? Był pewien, że nigdy przedtem nie widział tego znaku.

"Shui Mien-Lung", znowu podpowiedziała mu pamięć. Kim był zdziwiony, a także trochę przestraszony. Shui Mien Lung! Jakby ktoś, niewidoczny w zakurzonej, pogrążonej w półmroku pokoju, powtarzał mu te słowa. Ale dookoła panowała cisza. Musiał więc słyszeć umysłem! Jakby można było słyszeć umysłem!

"Shui Mien Lung" - śpiący smok. Nie, znów ten dziwny wewnętrzny głos poprawił go: "Drzemiący Smok"! Czym - a raczej kim - był ten Drzemiący Smok? Kim wdrapał się na fotel i zaczął bezwiednie sortować kawałki złotego smoka, odwracając szybko te z dziwnym napisem, żeby na nie nie patrzeć. Ułożył łapę cesarskiego smoka o pięciu palcach. Potem brakowało mu już tylko jednego elementu głowy - tego z okiem. Ale oko było zamknięte, smok spał. Czy naprawdę? Czy Kim nie zauważył maleńkiego ruchu podnoszącej się powieki? Może smok tylko udawał, że śpi?

CHIN MU-TI

Światło czterech lamp w pokoju nie sięgało do rogów, gdzie czały się cienie. Chin Mu-Ti mrugał i mrugał, walcząc ze snem. Zdawało się, że minister o nim zapomniał i że nie pójdzie dziś spać na swój siennik w pokoju strażników. Chociaż noszenie miecza i bycie paziem Chuko Lianga było ogromnym zaszczytem, jednak bardzo męczyło, gdyż Wielki był zawsze w ruchu i zdawał się nie odczuwać znużenia.

Mistrz patrzył przez okno na odległą masę czarnych wzgórz. Gdzieś na tych wzgórzach Ssuma, generał Wei, prowadził prawie dwadzieścia regimentów wroga. Myśląc o tym Mu-Ti poczuł w sobie chłód, a jego kości jakby zmiękły. Ludzi Ssumy nie da się łatwo przegonić, to nie jesienne liście, które wiatr przenosi z miejsca na miejsce. Nie znikną też jak marcowe śniegi, gdy zaświeci słońce.

Jeszcze raz zamrugał sennie, nie spuszczać oczu z wyprostowanych pleców Chuko Lianga. W tych komnatach Pierwszy Minister nie nosił zbroi, lecz szatę urzędnika, a jego sztywna czarna czapka trzymała się prosto na głowie. Był mężczyzną niezmiernie chudym, i wysokim jak drzewa na odległych wzgórzach.

Był też człowiekiem, którego myśli nie można było odczytać z twarzy. Ale teraz wszyscy wiedzieli, co ich czeka. I chociaż Chuko Liang zawsze czerpał ze studni mądrości, prawdą było to, że nikt nie ucieknie przed swym cieniem, nieważne, jak szybko biegnie - nawet gdyby był jednym z trzech wielkich bohaterów, którzy złożyli przysięgę krwi Cesarzowi Liu Pei.

Chociaż Cesarstwo Hana przeżywało ciężkie czasy i zostało podzielone na trzy części, wszyscy wiedzieli, że Liu Pei naprawdę był Synem Niebios, z Domu Hanów, obdarzonym łaską bogów. Na niebie nie mogły świecić dwa słońca, a co dopiero trzy; nad ludźmi nie mogli panować trzej królowie.

Mu-Ti zwalczył senność myśleniem. Co mówili o bohaterach? Ich cnoty - odwaga, sprawiedliwość, lojalność, wiara, prawdomówność, szczodrość, pogarda dla bogactwa - wymieniał je po kolei w głowie. I przypomniał sobie, sama odwaga była trzech rodzajów. Odwaga we krwi: twarz w gniewie robi się czerwona. Odwaga w żyłach: twarz robi się niebieska. Ale odwaga ducha była najsilniejsza: twarz człowieka się nie zmienia, tylko głos staje się silniejszy, oczy bardziej przenikliwe i...

Jedna lampa, w której wypalił się olej z tykwy, zgasła. W tym samym czasie w korytarzu rozległy się głuche kroki. Mu-Ti wyprostował się i skoncentrował, a Chuko Lian odszedł od okna. Jego twarz nie była twarzą wojownika: szczupła i blada, z długimi

opadającymi wąsami zacieniającymi usta. Przypominał raczej uczonego niż człowieka czynu. Ale dla Syna Niebios był zarówno doradzającą głową, jak i walczącym ramieniem.

Smok leży na mieczu; gdy ostrze jest wzniesione, smok wznieca wojnę.

Generałowie Ma Su i Weng Ping przybyli w odpowiedzi na nocne wezwanie dowódcy. Nosili zbroje, ich smocze hełmy rzucały demoniczne cienie na ściany, a brązowe osłony policzków w kształcie tygrysich głów kryły ich oblicza. Twarz Ma Su była okrągła, pełne szczęki porastała krótko przystrzyżona broda; jego oczy błyszczały tak, że wydawał się być bogiem wojny, który przybył między ludzi.

Szedł on przed swym towarzyszem, jak w większości przypadków: zawsze pchał się przed swych przyjaciół oficerów, zawsze trzymał dłoń blisko rękojeści miecza. Był dobrze obeznany ze sztukami wojennymi, o których nikomu nie pozwalał zapomnieć. Zawsze odzywał się jako pierwszy, jakby żył zgodnie z powiedzeniem, że aby być usłyszonym daleko, trzeba uderzyć w gong na wzgórzu. Ponadto był zdolnym przywódcą, któremu sprzyjało szczęście, i który odnosił zwycięstwa, choć może zbyt wielu ludzi ginęło dla reputacji ich generała.

Mu-Ti patrzył na niego wrogo. Lepiej, żeby z jego twarzy nie dało się odczytać żadnych myśli, bo znalazłby się w niebezpieczeństwie. Ale w sercu chłopca tkwiła zadra, gdyż jego własny ojciec, Chin Fang, zapłacił życiem za nieprzemyślany wypad z rozkazu Ma Su, wypad, który nie przyniósł żadnych prawdziwych korzyści. Ma Su nie zainteresował się tym, nie zmartwił. Kim był kapitan konnych bieżników w porównaniu z generałem wszystkich sił? To świadczyło o Ma Su jako złym człowieku gdyż Chuko Liang nie ryzykowałby niczym życiem na pokaz, ani nie zapominałby potem o tych, którzy zginęli.

- Wzywał nas, Ekszelencjo? - Ma Su nie czekał nawet, aż minister przemówi, zachowując się jak gorliwy, służący Cesarzowi żołnierz, który przybiega na wezwanie i staje z jedną nogą w strzemieniu, gotów wsiąść na konia. Czy nigdy nie słyszał, że usta są czasami drzwiami do nieszczęścia?

Chuko Liang podszedł do stołu, na którym wciąż leżała wiadomość, przybyła niecałą godzinę temu, i mapa, którą potem studiował.

- Ssuma maszeruje przez dolinę Hsieh. Jeśli mu się uda, będzie mógł z łatwością przebić się do serca Wu. Tego mu nie wolno. Przede wszystkim nie może zająć przełęczy Yangping... - mówiąc to, minister uderzał swym długim palcem wskazującym w miejsca na mapie. Mówił szybko, co było niezwykle - chrapliwie, jakby w ten sposób szybciej mógł przekazać słuchającym wiadomość o grożącym im wielkim niebezpieczeństwie.

- Jeśli nieprzyjaciele dotrą do Chiehting, mogą odciąć wszystkie niezbędne nam dostawy. Potem całe Shensi stanie przed nimi otworem. Będziemy zmuszeni wycofać się do Hanchung. Odetną drogi i po miesięcznym głodowaniu... - zrobił gest dłońmi, które wydawały się być stworzone raczej do trzymania pędzelka niż rękojeści miecza, który Mu-Ti nosił teraz pionowo, w pochwie, z czubkiem skierowanym w dół i opartym o podłogę. Rękojeść spoczywała w jego dłoniach.

- Ssuma nie jest głupcem: wie, że za wszelką cenę musimy go przed tym powstrzymać, w przeciwnym razie nasza sprawa przepadnie raz na zawsze. Przede wszystkim musimy utrzymać Chiehting. Ale niech każdy człowiek zrozumie, że to czyn, w którym jest niemal dziesięć dziesiątych szans na śmierć...

- Nie dowodzimy armią żonglerów mieczy, pokazujących swe umiejętności na festiwalu, Ekscelencjo. - Ma Su owinął się pewnością siebie jak ciepłym płaszczem, chroniącym przed zimowym wiatrem. - Ptaki Wu nie złapały się jeszcze w sieć, a ryb nie wrzucono jeszcze do garnka. Daj mi rozkaz wymarszu, a Chiehting będzie tak bezpieczne, jakby dziesięć smoków osłoniło swymi ciałami jego mury!

Jedna ze smukłych dłoni ministra podniosła się; pociągnęła opadający koniec wasa, zwijając go między kciukiem i palcem wskazującym. Chuko Liang nie patrzył na swego generała. Jego wzrok wciąż spoczywał na mapie.

- Smok rodzi smoka, bitwa bitwę. Śmierć i życie są postanowione z góry, bogactwo i honor zależy od woli Niebios. To małe miasto, ale dla nas ma wartość perły w morskiej ostrydze. Jesteś odczytany w zasadach wojennych, ale obrona to co innego niż szczęk mieczy i rzucanie włóczniami w otwartym spotkaniu z wrogiem. W Chiehting nie ma murów, żadnych naturalnych środków ochrony, za którymi można się schować.

Ma Su wzruszył ramionami.

- Ekscelencjo, od dzieciństwa studiuję sztuki wojenne. Znam je tak, jak mędrzec powiedzenia Objawionych Mistrzów. Dlaczego opisujesz tę obronę jako trudną, ty, który dobrze wiesz, czego dokonaliśmy w przeszłości?

- Głównie dlatego, że Ssuma nie jest zwykłym generałem. Nawet nasze własne palce są nierównej długości i siły, a Ssuma to stuprocentowy przywódca. Jego siłami dowodzi Chang Ho; ludzie na widok samych jego proporców drżą, i to nie bez powodu.

- Spotykałem się już z wielkimi przywódcami. Ekscelencjo.

Miasto chronią twardzi ludzie, nie twarde mury. Idę o zakład, że obronię Chiehting - niech będzie to dodane do spisu przysiąg: jeśli nie utrzymam się tak, jak sobie tego życzysz, niechaj moja głowa oderwana zostanie z ramion.

Teraz Chuko Liang patrzył prosto na niego. Słysząc było świszający oddech Weng Pinga, który nic nie mówił.

- Nie czas na żarty. Zatrzymaj te słowa na czas, gdy zasiądziesz przy pucharze z winem.

- Nie żartuję, Ekscelencjo. Niech ma przysięga będzie zapisana pędzelkiem i atramentem oraz umieszczona na liście. Weng świadkiem.

- Nefryt i ludzie są ciosani twardymi narzędziami; nie zapomnij o nagłych zmianach fortuny.

- Napisz, Ekscelencjo, że Ma Su utrzyma Chiehting lub potoczy się jego głowa! - w głosie generała brzmiała gorąca nuta, pełne policzki się zaczerwieniły.

- Tak się stanie. Dam ci półtora legionu ludzi, Weng Ping pojedzie z tobą. Korzystając ze swej ostrożności i uwagi, z których słynie pośród wszystkich, ma rozbić obóz w takim miejscu, aby wróg nie mógł się przekraść. Nie myślcie, że Ssuma jest mały, gdyż to najlepszy ze sług fałszywego cesarza.

- Skoro jesteś tak pewien, że należy obsadzić drogę, którą nadejdzie wróg, narysuj mapę swej obrony i wszystkie miejsca, które zostaną obstawione, po czym mi ją przyslij. Ale przede wszystkim nie zmieniaj, nie dodawaj, ani nie odejmuj niczego z tych rozkazów. A żeby nie brakło ci żadnego żołnierza, gdy staniesz do walki, mój paż, Chin Mu-Ti, pojedzie z tobą, by przywieźć mi mapę, gdy tylko ją przygotujesz.

- Mówić to znaczy czynić... - zaczął Ma Su.

Ale Chuko Liang podniósł dłoń, żeby uciszyć to formalne potwierdzenie otrzymanych rozkazów i ciągnął.

- Na północnym wschodzie Chiehting znajduje się miasto Liehliucheng, a obok niego wiedzie ścieżka przez wzgórze. Kao Hisang rozbija tam obóz z palisadą, w którym znajduje się jeden legion. Jeśli Chiehting będzie zagrożone, on przybędzie ci z pomocą. Wu Yen poprowadzi oddział na tyły Chiehting jako dalsze wzmocnienie. Pamiętaj, musisz założyć posterunek na najniebezpieczniejszej drodze do przełęczy Yangping, Nie uważaj tego za ciche gadanie i nie czyn nic, co zniszczyłoby plan.

- Zrozumiałem, Ekscelencjo. - Ma Su zaskłamał, wychodząc z komnaty. Weng Ping znów szedł krok za nim. Mu-Ti miał czas tylko na to, by ostrożnie położyć na stole miecz ministra, po czym pobiegł za nimi. Szedł niechętnie. Chociaż Ma Su nie był jego dowódcą, nawet takie czasowe wstąpienie w jego służbę było obrazą; miał nadzieję, że nie będzie musiał jechać z nim długo. Wychodząc zobaczył, że Chuko Liang znów pochylił się nad mapą, uważnie studiując linie.

Wei, Wu, Shu: Trzy Królestwa, na które rozpadło się wielkie niegdyś Imperium Hanów. U schyłku swej dynastii Liu Pei, choć z Domu Niebios, był tak biedny, że musiał robić i sprzedawać sandały, by zdobyć jedzenie dla matki. Potem trzech wielcy bohaterowie - Kuan Yu, Chang Fai, Chuko Liang - złożyli przysięgę krwi, że będą go wspierać. Ts'ao Ts'ao nosił smoczą szatę w Wei, a Sun Ch'uau na południu. Przelano wiele krwi, wzięto i spalono wiele miast, ludzie ginęli na wojnie, kobiety i dzieci głodowały latem, marzły zimą; ale żadne z Trzech Królestw nie poddało się innym. Zaprawdę były to czasy raczej żalu niż szczęścia, raczej wstydu niż honoru.

Teraz, kiedy Mu-Ti jechał nocą z Ma Su i jego ludźmi, w chłodzie ciemności, senność nieco ustąpiła. Był bardzo skromnym członkiem oddziału generała - jechał na końcu, więc słyszał pomruki mężczyzn, narzekających na nieprzespaną noc.

Raz z ciemnych szeregów piechoty do załogi jadącej na koniach dobiegły słowa:

- Ha, co konni wiedzą o bólu stóp? Czy błoto zwraca uwagę na to, czyj płaszcz zabrudzi?

Strażnik u boku Mu-Ti trzasnął batem w kierunku niewidzialnego mówiącego.

- Trzy cale próżnego języka można bardzo łatwo skrócić do dwóch - odciął się, chociaż był już daleko przed żołnierzem, który tak się skarżył.

Minęła spora część następnego dnia, kiedy wreszcie dotarli do celu. Ma Su i Weng Ping oraz ich ludzie zsiadli z koni, zjedli zimne ciasto z owsa i napili się z bułaków przy siodłach. Jedząc, Ma Su odszedł kawałek dalej i rozglądał się krytycznie po groźnych wzgórzach i drodze. Mu-Ti, owinąwszy lejce konia wokół nadgarstka, gotów do jazdy na rozkaz, podszedł do dwóch generałów bliżej niż inni. Stwierdził, że znak Pierwszego Ministra, który nosił, uwalniał go w pewnym stopniu od wojskowych obyczajów tej kompanii; a Mu-Ti chciał obserwować Ma Su, mimo że walczył ze smoczym oddechem nienawiści za każdym razem, kiedy na niego patrzył. Czy życzył generałowi klęski? Życzyłby po tysiąckroć, gdyby klęska ta nie oznaczała katastrofy dla nich wszystkich.

- Nie wiem, dlaczego myślą, że Wei ośmieli się przybyć w to miejsce - skomentował Ma Su.

- Jego Ekscelencja otrzymał raporty od zwiadowców wysłanych do obserwacji posunięć wroga. A on myśli dwa razy, zanim raz wyda rozkaz.

- Ostrożność i dalekowzroczność Jego Ekscelencji są bardzo dobrze znane. - Ale w głosie Ma Su pobrzmiwała nuta sugerująca, że stwierdzenie to bynajmniej nie było komplementem. - Spójrz na tamto wzgórze i przyjrzyj mu się uważnie, Weng Ping. To dobrze

porośnięte drzewami, stworzone na kryjówkę miejsce, które daje przewagę nad tymi, którzy posuwają się drogą. To obóz, który sam bóg wojny wybrałby spośród wszystkich innych.

Weng Ping z powątpiewaniem przyjrzał się wzgórz. Mu-Ti zauważył, że zanim odpowiedział, przesunął językiem po dolnej wardze. Bycie podwładnym kogoś takiego jak Ma Su oznaczało, że trzeba pilnować języka. Weng Ping dobrze wiedział, że najszybszy koń nie prześcignie raz wyrzeczonego słowa.

- Starszy bracie - powiedział wreszcie. - Jeśli opuścimy drogę i pójdziemy na wzgórze, a siły Ssumy potem je okrążą, będziemy straceni. Również w rozkazach, które otrzymałem, powiedziane było, żeby kazać ludziom ścinać drzewa i zbudować tu fort otoczony palisadą.

Ma Su się zaśmiał.

- Młodszy bracie, łatwo stwierdzić, że nie uczyłeś się wojen z mądrych ksiąg. Powiedziane jest tam, jako jedna z głównych zasad, że trzeba się starać patrzeć na swego nieprzyjaciela z góry. Jeśli będą próbowali tędy przejść, przysięgam, że nawet jeden żołnierz nie wróci do swego dowódcy! Ci, którzy pójdą za tą częścią siebie, która jest wielka, są wielkimi ludźmi; ci, którzy pójdą za tą częścią, która jest mała, są mali.

Teraz Weng Ping się zaczerwienił, ponieważ w głosie Ma Su pobrzmiwała pogarda. Odpowiedział jednak, nie okazując gniewu: - Być może to prawda, starszy bracie. Ale czy zauważyłeś, że na wzgórzach nie ma ani jednego strumienia, a dzień jest gorący? Co się stanie, gdy wróg przybędzie i opanuje strumień u stóp wzgórz? Chylę czoło przed twym wykształceniem w tej dziedzinie, ale poznałem również pragnienie, które powoduje, że ludzie zachowują się dziwnie. A przede wszystkim jest to zlekceważenie rozkazów. Czy powinniśmy zostać przepędzeni na wschód lub zachód, kiedy powiedziano nam, by robić to, a tamtego nie?

- Jego Wysokiej Ekscelencji Chuko Lianga tu nie ma. Cóż on wie o tej ziemi poza tym, co donieśli mu zwiadowcy, niewątpliwie ignoranci w dziedzinie finezyjnej sztuki wojennej? Tu, na miejscu, natychmiast by się ze mną zgodził. A co do wody - zdesperowani ludzie walczą desperacko. Głodni barbarzyńcy zdobędą miasto, gdy zapach bogactwa dotrze do ich nozdrzy. Każdy żołnierz spragniony wody będzie walczył za stu. Dlaczego ty, młodszy bracie, zamierzasz mi się sprzeciwić? Czyż nie jestem tu dowódcą, tym, kto nawet złożył przysięgę krwi, że zwycięży? Czy sądzisz, że ryzykowałbym głową, nie będąc pewnym, że to, co robię, jest właściwe?

- Daj mi zatem część sił, abym rozbił obóz na zachodzie, poniżej, i w razie kłopotów mógł ci pomóc.

- Szczekasz jak lis złego znaku. - Ma Su pogardliwie wykrzywił wargi. - Dlaczego miałbym tak głupio marnować ludzi?

Ale w chwili, gdy chrapliwie wypowiadał te słowa, pośród czekających ludzi, nastąpiło poruszenie. Ich szeregi rozwarły się, by przepuścić człowieka, który biegł, zataczając się i chwiejąc. Ubrany był w szorstkie szaty wieśniaka, brudne i ubłocone, jakby się często przewracał na miękką, wilgotną glebę. Padł na kolana przed Ma Su, uderzając głową o ziemię w wyrazie głębokiego szacunku.

- Czego tu szukasz, przyjacielu? - zapytał generał.

- Moja bezwartościowa osoba przynosi wiadomość Wspaniałemu i Honorowemu Generałowi. Armia dowodzonych przez demony ludzi z Wei jest blisko. Przybywają tak szybko, jakby dosiadali latających smoków! Ich zwiadowcy już szpiegują na pobliskich wzgórzach, a za nimi idzie tyłu, ile szarańczy zbiera się nad ciałami tych, których Niebo doświadczyło głodem.

- Zatem czas się przygotować na spotkanie. Bryła nefrytu nie ma żadnej wartości, ziarenko czasu należy cenić - rzekł generał do otaczających go ludzi, ale nie podziękował temu, który przyniósł ostrzeżenie. Zamiast tego powiedział zimnym głosem bezpośrednio do Wenga Pinga: - Skoro uznałeś za stosowne kwestionowanie zasad sztuki wojennej, weź pół legionu i zrób z nim, co chcesz. Ale w godzinie zwycięstwa odpowiesz za swoją arogancję.

- Starszy bracie, w tym czasie nie będę unikał żadnych pytań, jakie zostaną mi zadane - odparł Weng Ping. Zwołał swych oficerów i posłańców, a tym, których zostawił mu Ma Su, nakazał przygotować się do wymarszu. Skinął również głową w stronę Mu-Ti, mówiąc:

- Nie zapomniano, że Jego Ekscelencja życzy sobie, aby przyniesiono mu mapę. Przygotuję ją dla ciebie.

Mu-Ti dopchał się do posłańca i położył mu rękę na ramieniu. Ten, wciąż mocno dysząc, podniósł wzrok. Mu-Ti go znał, ale nie jako wieśniaka, którym się wydawał - widział go kiedyś w kwaterze, w zbroi łucznika. Był jednym ze szpiegów, "oczu i uszu" armii. Mu-Ti przyniósł bukłak z siodła i włożył go w ręce mężczyzny, mówiąc:

- Pij, starszy bracie.

Ale szpieg, nawet gdy na rozkaz podniósł bukłak do ust, mówił jeszcze:

- Pusta jest jasna droga do Nieba, zatłoczona ciemna droga do Piekła. Gdy modliszka poluje na szarańczę, nie pamięta, że na nią poluje dzierzba.

- Kao Hsiang jest w Liebliucheng z legionem. - Mu-Ti nie mógł wydać rozkazu, ale zwiadowca był przenikliwym człowiekiem. Te słowa miały dla niego znaczenie.

Oddał bukłak, pokiwał głową i odszedł.

Siły Ma Su maszerowały już w kierunku wzgórza. Ale Mu-Ti, znów w siodle, pojechał za Weng Pingiem.

Jego o wiele mniejsze oddziały maszerowały w pewnej odległości od wzgórza, gdzie ludzie Ma Su ścinałi drzewa i budowali prowizoryczny fort. Potem, na poziomie drogi, Weng Ping wydał rozkazy, by robić to samo. Gdy jego ludzie pracowali, Weng Ping własną ręką wyrysował na paskach bambusa (na których pisano najważniejsze informacje) mapę okolicy, zaznaczając pozycje sił własnych i Ma Su. Sporządził również krótki raport o tym, jak starszy generał zdecydował o polu bitwy. Potem zawinął paski i zapieczętował pierścieniem, który nosił na kciuku.

Wezwał własnych zwiadowców i wysłał ich, by czatowali na Ssumę i obserwowali postępy Ma Su na wzgórzu. Ale Mu-Ti odszedł przed nimi, wsiadł na konia, wybranego ze względu na siłę i szybkość, i odjechał cwałem do głównej kwatery armii.

Dwa razy zmieniał konie. Była późna noc, kiedy wyczerpany, zataczając się na nogach, stanął przed obliczem Chuko Lianga. Minister szybko wziął paczkę z wiadomością, ale nie otworzył jej od razu: nakazał przynieść jedło i napój, dopilnował, żeby chłopiec usiadł i się odświeżył. Potem szybko przeczytał to, co napisał Weng Ping i porównał mapę z większą, leżącą na stole.

Spojrzał na Mu-Ti, który żuł ciasto, próbując zaspokoić ściskający go głód bez zbytniego uszczerbku na manierach.

- Melon, toczący się z dwuspadowego dachu, ma dwie drogi, choć obie prowadzą do katastrofy. Złe słowo, choć wyszeptane, odbije się echem na sto mil. Tego, co widziałeś i słyszałeś, nie powtarzaj.

Mu-Ti odłożył do połowy zjedzone ciastko.

- Ta osoba jest ślepa i niema. Panie.

Jednakże Chuko Liang, choć zabronił mówić Mu-Ti, nie próbował oszczędzić swym wyższym oficerom wiadomości o pełnych rozmiarach możliwej klęski. Ludzie obecni w komnacie nigdy przedtem nie widzieli czegoś takiego: Chuko Liang okazał gniew. Uderzył pięścią w blat stołu z taką siłą, że mocne drewno zadrżało. I krzyknął głosem, który wydobył się z jego gardła z taką siłą, jak płomień buchaj ą z paszczy smoka:

- Teraz ignorancja i bezwartościowa duma Ma Su zniszczyły armię! Łatwo zaciągnąć tysiąc żołnierzy, ale skąd wziąć dobrego generała?

Oficerowie w komnacie patrzyli po sobie, podchodząc bliżej do dowódcy. Yang I, który był tu najwyższy stopniem, ośmielił się zapytać:

- Cóż złego się stało, Ekscelencjo?

- Przez głupie nieposłuszeństwo i niewykonanie bezpośredniego rozkazu może już straciliśmy Chiehting, może jeszcze więcej. Ma Su założył się o swoją głowę. Cóż, jeśli nie zginie w bitwie, wkrótce się dowie, że skaza na berle z nefrytu może zostać wyszlifowana, ale ze skazana uczynkach nic zrobić nie można!

Potem Chuko Liang znów owinał się płaszczem spokoju. Jego dłoń powędrowała do wąsów. Zwijiała je w różne strony, co zawsze oznaczało głębokie myślenie.

Yang I powiedział wtedy:

- Nie jestem zbyt mądry ani uczony w sztukach wojennych. Ale pozwól mi zastąpić Ma Su, a może nie wszystko stracimy.

Gdy minister kiwnął głową, że się zgadza, a Yang I przygotowywał się do wydania rozkazów ludziom, przybył kolejny posłaniec, pierwszy z wielu następnych.

Mu-Ti, wreszcie odprawiony, udał się do swego twardego łóżka, więc nie słyszał nadchodzących wieści, coraz gorszych, które najpierw były przekazywane ministrowi, a potem, z ust do ust, roznosiły się po całym forcie. Kiedy wreszcie wstał, by usłużyć swemu panu, usłyszał wszystko. Jednemu człowiekowi można nakazać milczenie, dwóm też, ale nie dziesięciu.

Tak, jak ostrzegał Weng Ping, ludzie Ssumy otoczyli wzgórze, wybrane przez Ma Su do fortyfikacji. Sam Ssuma podjechał w przebraniu, żeby obejrzeć miejsce, które zajęli ludzie Wu. Ale w świetle księżyca ludzie za palisadą poznali jego twarz. Wtedy Ma Su, jak doniesiono, zaśmiał się i powiedział: "Jeśli fortuna dobrze mu radzi, nie zaatakuje nas. Nieostrożny szczur, który gryzie koniec ogona kota, musi być przygotowany na błyskawicę."

Wtedy Ma Su rozkazał ludziom, żeby wypatrywali czerwonej flagi na szczycie wzgórza. Na jej widok mieli zaatakować. Jednak w międzyczasie siły Ssumy podeszły bliżej, więc strumień znalazł się w rękach wroga. Kolejny odłam sił Wei przemieścił się w kierunku Weng Pinga.

Kiedy słońce wstało ponownie, ludziom na wzgórzu chciało się pić, a ich pragnienie wzrastało w czasie najgorętszych godzin dnia. Ale Ssuma nie uczynił ruchu, by zaatakować, pozwolił słońcu i upałowi działać za siebie. A kiedy wreszcie Ma Su się zniecierpliwił i podniósł flagę, ludzie nie ruszyli naprzód. Odziani w zbroje, byli tak umęczeni upałem, że wielu z nich mdlało i padało na ziemię.

Ma Su, wielce zagniewany, rozkazał, żeby oficerowie dowodzący oddziałami, które się nie ruszyły, zostali natychmiast ścięci za niewykonanie rozkazu. Gdy spadły trzy lub cztery głowy, ludzie rzeczywiście rzucili się do desperackiego ataku w dół. Żołnierze Ssumy nie spotkali się z nimi, powitali ich tylko z daleka gradem dobrze wycelowanych strzał z kusz.

Wtedy Ma Su kazał ludziom wycofać się za palisadę i bronić jej aż do nadejścia pomocy. Ale Weng Ping był odcięty, więc nie mógł przyjść z odsieczą.

Zapanował chaos. Niektórzy żołnierze byli źli z powodu śmierci oficerów, inni szaleli z pragnienia. Niektórzy nawet poddali się wrogowi żeby tylko się napić. A później ludzie Wei podłożyli ogień w lesie i krzakach na wzgórzu. Ma Su musiał w końcu uciekać na zachód, tymczasem Chang Ho, przywódca oddziału Ssumy, zapędził go do obozu Wei Yena, z tyłu Chiehting. Huk bębnow sygnałowych zatrzymał tę pogoń, gdyż ludzie Wei Yena pchali wroga z powrotem w kierunku miasta.

Tam jednak Ssuma i jego syn przygotowali zasadzkę na Wu Yena. Weng Ping ruszył na ratunek swym towarzyszom. Gdy tak walczyli, obozy zostały otoczone przez szybko poruszające się oddziały, które Ssuma przygotował do tego celu, więc zapędzono ich z powrotem do miasta Liehiiucheng, dokąd z pomocą przybył Kao Hsiang. Zaproponowali nocny atak, i tak sprawy na jakiś czas się zatrzymały.

Wu Yen i pozostali dowódcy z determinacją chcieli utrzymać Chiehting, poszli więc trzema różnymi drogami. Ale kiedy zbliżyli się do miasta, nastąpił tam jaskrawy wybuch, bębny waliły, a wróg jakimś demonicznym sposobem pojawił się tuż przed nimi. Kiedy Weng Ping dotarł na miejsce spotkania, nie było już nadziei na odzyskanie miasta. Starali się wrócić do Liehiiucheng, jednak czym odkryli, że ludzie Ssumy jeszcze raz są przed nimi.

Zdając sobie sprawę, że wróg ma przewagę liczebną, Wu Yen zasugerował wycofanie się w celu utrzymania przełęczy w Yangping. Część armii Ssumy ścigała ich doliną Chi, podczas gdy druga połowa sił wroga, pod dowództwem samego Ssumy, kierowała się do Hsieh, aby przejąć tam główną bazę zapasów i bagaży. W ten sposób zbliżyli się do Hsieh, miasteczka, w którym znajdował się kolejny wielki skład żywności, i które stanowiło jedyną ochronę drogi prowadzącej do ważnych miast Nanan, T'ienshin i Aintiny.

Tymczasem Mu-Ti, obudzony z drzemki, wrócił do komnaty ministra. Byli tam oficerowie, posłańcy przybywali i odchodzili. Ale on prześlizgnął się przez tłum i wziął miecz Chuko Lianga, znów gotów służyć swemu panu.

Minister wysłuchał powodzi złych nowin, ale na jego twarzy nie było już widać gniewu. Nie wahał się też, lecz wydawał szybkie rozkazy różnym ludziom. Przyniesiono mu zbroję i ubrano go w nią w czasie, gdy mówił.

W dłoniach Mu-Ti znów spoczywał potężny miecz. Był to dar od samego Syna Niebios, o czym świadczyło ostrze, na którym wyrzeźbiono pięciopalczastego Lunga Cesarza. Różnił się od innych smoków, gdyż dzięki jakiejś sztuczce artysty jego wielkie oczy były

częściowo zamknięte, tak, że pokryty łuską obrońca wydawał się zasypiać, albo właśnie budzić się ze snu. Dlatego też ostrze znane było jako “Drzemiący Smok”.

Kiedy Mu-Ti przyniósł miecz ministrowi, Chuko Liang, wysunął go częściowo z pochwy i spojrzał na smoka. Jego twarz była nieruchoma i zdecydowana.

- Zatem nadszedł czas nieposłuszeństwa - zauważył. - Wina jest moja. A kiedy wina jest znana, musi być naprawiona tak, jak to tylko możliwe. Każdy z ludzi idzie ścieżką przeznaczenia, ale żadne dwie ścieżki nie są takie same. Zdaje się, że moja prowadzi teraz w miejsce złych zamiarów, zmarnowanej mądrości, oraz głupoty.

Potem zawołał dwóch kapitanów, którzy dowiedli już swych zdolności, Kuana i Changa, i powiedział im:

- Weźcie trzy kompanie ludzi i jedźcie drogą do Wukungshan. Gdy zobaczycie wroga, nie walczycie, ale idąc uderzajcie w wojenne bębny, dmijcie w rogi i krzyczcie tak głośno, jak krzyczeć by mogła wielka armia. Jeśli się wycofają, nie ścigajcie ich, lecz jedźcie prosto do przełęczy Yangping.

I wysłał dowódcę Yanga I, żeby przygotował miasto Chienko do odwrotu: aby zebrał zapasy i ludzi, oraz mieszkańców okolic, obawiających się przybycia wrogów. Ma Tai i Chang Wei mieli stworzyć tylną straż, zastawiając zasadzki w dolinie.

Wszystkie te rozkazy wydawał spokojnym głosem, jak ktoś, kto na ich przemyślenie miał mnóstwo czasu i wcale nie stoi w obliczu śmierci i końca wszystkich swych planów. Nie zapomniał wysłania jeźdźców do Nanan, T'ienchin i Aintiny z ponurymi wieściami, że mieszkańcy tych miast powinni raczej udać się drogą do Hanchung.

Był tak spokojny, że ci, którzy go słuchali, nabrali serca i odwagi, jakby pili ze strumienia, do którego sam bóg wojny wlał swoje wino męstwa. Potem, z pięcioma kompaniami, Chuko Liang pojechał konno do Hsicheng, by zabrać zapasy. Albowiem gdyby zapasy te dostały się w ręce wroga lub zostały zniszczone, byłby to fatalny cios dla wszystkich sił Wu.

W drodze Mu-Ti był tuż za swym panem. Nie niósł jednak miecza, gdyż Chuko Liang trzymał go teraz w dłoni. Zamiast tego dumnie dzierżył proporzec Naczelnego Dowódcy, żeby pokazać wszystkim, że Chuko Liang idzie na spotkanie z niebezpieczeństwem, a nie ucieka przed nim.

Przybywało coraz więcej posłańców z nowinami, których ludzie woleliby nie słuchać: Ssuma zbliżał się z tak licznym wojskiem, że zacieniało kraj, przez który przechodziło.

W małym oddziale Chuko Lianga nie pozostał ani jeden oficer wyższej rangi, nie licząc jego samego i paru cywilów, którzy nie walczyli. Kiedy dotarli do miasta po szybkim

marszu, minister ostro wydawał rozkazy na lewo i na prawo, tak że ludzie rozproszyli się i pobiegli je wykonać. Niewielka kompania zmaląła jeszcze bardziej, więc ci, których zadaniem było zabrać zapasy, pocili się i napinali, ładując je na wozy zaprzężone w woły, aby wywieźć je ze skazanego na zagładę miasta.

Ale Chuko Liang, nie patrząc na ich gorączkowe wysiłki, wspiał się na wał obronny przy zachodniej bramie, żeby zobaczyć, co ich czeka. Kurz wzbijał się wielkimi, żółtymi chmurami do samego nieba. Kurzawa okrywała dwie drogi, jakby szczęki ogromnych kleszczy miały się zamknąć na Hsicheng, łatwym orzechu do rozgryzania.

Minister przyglądał się tylko chwilę. Potem znów wywołał poruszenie rozkazami, wykorzystując nawet Mu-Ti jako posłańca. Wszystkie proporce, które świadczyły o obecności sił Wu w Hsicheng, zostały zdjęte najszybciej, jak tylko dało się odwiązać. Halabardy w kształcie półksiężyców i oznaki władzy zniknęły z widoku. W całym mieście powtarzano rozkaz, że żaden oficer nie może się pokazać ani odezwać; za nieposłuszeństwo groziła kara śmierci.

Wybrani żołnierze zdjęli zbroje, odłożyli miecze, włócznie i kusze, po czym przebrali się w niebieskie stroje chłopów, tak że wyglądali na prostych ludzi. Wyszli na ulicę z miotłami i wiadrami, jakby mieli sprzątać. Z bramy wjazdowej zdjęto kraty, otwarto ją na oścież, aby każdy, kto przybędzie, mógł wyraźnie widzieć ulicę.

Tymczasem minister udał się na wieżę, gdzie Mu-Ti pomógł mu zdjąć zbroję, a z boku położył ciężki smoczy hełm i miecz w czerwonej lakierowanej pochwie. Zamiast wojennego rynsztunku Chuko Liang włożył szarą szatę, jaką noszą prości kapłani, głowę zaś przykrył czarną czapeczką.

Przywołał jednego z najmłodszych skrybów i podał mu drzewce sztandaru Ogona Jaka, które noszono przy urzędnikach. Mu-Ti, na rozkaz dowódcy zdjawszy własną lekką zbroję, podniósł miecz, jak to było w jego obowiązku.

W końcu minister sięgnął po lutnię, po którą wysłał wcześniej Mu-Ti do miasta. Delikatnie sprawdził struny i poprawił je, lekko marszcząc brwi. Z lutnią w dłoni wyszedł na wieżyczkę nad główną bramą, gdzie dwaj żołnierze ustawili ławkę. Tam usiadł, położywszy lutnię na kolanach. Skryba i Mu-Ti zajęli miejsca po obu stronach ministra, jakby byli w jakimś pięknym ogrodzie, by rozkoszować się spokojem letniego popołudnia z dala od szczęki broni i niebezpieczeństwa wojny.

Chuko Liang, nastroiwszy lutnię, zaczął grać i śpiewać jedną z pieśni Chi Kanga:

Odrzucę mądrość, odsunę naukę

*Niech me myśli błądzą w wielkiej próżni
I pokutują za wyrządzone do...*

Skończył pieśń i zaczął następną. Nie śpiewał jednakże o wojnie, lecz o myślach, które ludzie miewają w czasach pokoju. Powtarzał wersy, napisane w spokojnych czasach.

Nie okazywał też najmniejszego zainteresowania tym, co działo się na drogach prowadzących do miasta. Mu-Ti i młody skryba starali się, za jego przykładem, zachować spokój i nie zwracać uwagi na otoczenie. Mu-Ti nie wiedział, co czuł skryba, ale sam odczuwał wewnętrzne skurcze, próbując ukryć strach czekał na uderzenie pierwszych strzał z kusz. Teraz zwiadowcy przeciwnika jechali dołem, choć obawiali się zasadzki.

Zwiadowcy dłuższą chwilę patrzyli na otwarte bramy miasta i trzech ludzi na wale obronnym, wreszcie zawrócili i pognali galopem drogą, którą przybyli. Mu-Ti mocniej chwycił miecz, jakby ten, nawet w pochwie, mógł go obronić. Ale Chuko Liang uśmiechnął się lekko, skończył pieśń i zaczął następną, tym razem wychwalając chmury poruszane wiatrem.

Zamiast zwiadowców przybyli teraz oficerowie. Sądząc po ich bogatych zbrojach, byli wysokiej rangi, chociaż nie mieli proporca. Gdy zbliżyli się do murów, obrócili się wokoło i zatrzymali. Siedzieli w siodłach przez jakiś czas, który Mu-Tiemu wydał się bardzo długi. Słuchali Chuko Lianga, jakby jego czyste słowa niosły w sobie jakieś złe znaczenie, choć on śpiewał tylko o liściach poruszanych jesiennym wiatrem. Nie zwracał uwagi na ludzi w dole, lecz utkwiał spojrzenie wysoko nad ich głowami, jakby byli duchami, których nie widać.

Mu-Ti widział, że coś do siebie mówili. Jeden podjechał nawet bliżej, by przez bramę spojrzeć na ulicę, po której chodzili ludzie, zupełnie niewzruszeni.

Człowiek Wei wrócił do swych towarzyszy, i zdawał się przekonywać do czegoś oficera w najbogatszej zbroi. Ten jednak wyrzucił rękę w geście ostrej komendy, wszyscy odwrócili się i odjechali galopem. Minister śpiewał. Nagle podniosła się większa kurzawa. Tym razem oznaczała wycofanie się sił Wei. Mu-Ti z zachwytem wciągnął powietrze.

Chuko Liang zaśmiał się głośno, odłożył lutnię i klasnął w dłonie; z wieży wyszło paru urzędników, którzy z nim przyjechali.

- Ekscelencjo, jaką magię ukułeś? - ośmielił się zapytać najstarszy. - Czy śpiewałeś jakieś zaklęcia Mądrych, że to się stało?

Minister znów się zaśmiał.

- Nie używałem magii, młodszy bracie. Chyba że magią jest rozumienie sposobu myślenia ludzi. Jest stare powiedzenie: "Uważaj na Drzemiącego Smoka, nie budź go".

Ssuma myślał, że widział tu drzemiącego smoka, takiego, jak wyrzeźbiony jest na moim mieczu ostrożność powstrzymała go przed obudzeniem potwora. Dobrze zna moją reputację, wie, że nigdy nie robię niczego, nie przemyślawszy tego dziesięciokrotnie, że nie igram z niebezpieczeństwem. Zatem, gdy ujrzał otwarte bramy, zapraszające do wejścia do miasta, podejrzewał sprytną zasadzkę. Kiedy zobaczył mnie spokojnego, grającego na lutni, z dłonią na strunach, a nie na rękojeści miecza, stwierdził, że jestem tak bezpieczny, że nie muszę się sam bronić. Teraz odjedzie, a zdolni Kuan i Chang już zajęli pozycje, by dać mu ostrą lekcję. Aleja, gdybym był na jego miejscu, nie wycofałbym się. Długo będzie żałował tego dnia.

Raz jeszcze minister stał się człowiekiem czynu - szybko wydawał rozkazy, aby miasto natychmiast oczyszczono z resztek zapasów, a mieszkańców eskortowano do Hunchung. Wiedział bowiem, że Ssuma nie będzie długo zwlekał z powrotem.

Słowa, które wypowiedział, już rozniosły się pomiędzy żołnierzami, a potem i mieszkańcami miasta. Gdy więc przejeżdżał pośród nich, wznosili okrzyki, czcząc go jako "Drzemiącego Smoka".

Później przyprowadzono Ma Su. Widząc dowódcę, którego nie posłuchał, generał rzucił się na ziemię, bił czołem, błagał o litość. Ale chociaż Chuko Liang patrzył ze współczuciem na upokorzonego człowieka, rzekł:

- Gdy Niebo zsyła katastrofy, możliwa jest ucieczka; gdy ktoś sam katastrofę powoduje, nie jest już możliwe, by żyć. Prawda to, że usta są drzwiami do klęski; nie mniej pewnym jest, że przez niecierpliwość i szaleństwo wielkie plany obrócić się mogą w ruinę. Jeśli pierwsze słowa rozkazu złe będą, tysiące następnych niczego nie zmienią. A nikt nie może się zwać żołnierzem, gdy nie słucha rozkazów swego dowódcy. Przysięgałeś uroczyście, że albo wygrasz, albo dasz głowę. Potem odrzuciłeś zwycięstwo, pozwoliłeś się prowadzić demonowi dumy i zakwestionowałeś wartościowość starannie przemyślanych planów. Teraz więc na twą głowę spadnie los, o który sam prosiłeś.

Tak więc rozprawili się z Ma Su w sposób, jaki ten sam zasugerował w swej wielkiej pysze. Ale Chuko Liang wiedział, że był on odważnym człowiekiem, nie zdrajcą, a zgubiła go głupia duma. Zatem nie pozwolił, by rodzina Ma Su ucierpiała i zabrał ją na swój dwór.

Gdy tylko miał chwilę czasu, zebrał wyższych rangą oficerów i pokazał im raport z tego, co się stało; napisał go i zamierzał wysłać

Synowi Niebios. Do raportu, zakończonego opisem egzekucji Ma Su, dodał te oto słowa:

- Ten, kto wybiera nieodpowiedniego człowieka do walki z niebezpieczeństwem, sam popełnia poważny błąd. Osobie takiej Tron nie może już ufać. Dlatego też niezasłużone

honory i nagrody, które w przeszłości dane były temu niegodnemu słudze, oraz jego pozycja, powinny mu zostać słusznie odebrane. Ponadto winien być stosownie ukarany za błędy, które popełnił, źle wykorzystując swą władzę.

Chociaż oficerowie głośno protestowali, Chuko Liang nie chciał zmienić żadnego z tych słów, w których rezygnował z urzędu Pierwszego Ministra. Raport został przesłany do Cesarza.

Cesarz z początku protestował. Ale Chuko Liang był zdecydowany odejść i powtarzał, iż nie nadaje się już do tego stanowiska, bo popełnił fatalny błąd, wybierając Ma Su na dowódcę w polu. Cesarz doceniał tę uczciwość, płynącą z nauk dawnych, lepszych dni. Zatem, choć odebrał urząd Pierwszego Ministra, pozostawił Chuko Lianga generałem swej armii, z tyloma prawami i obowiązkami, co przedtem - tylko samo stanowisko było mniej zaszczytne. Wszyscy wychwalali Chuko Lianga jako mądrego człowieka honoru. Napisali też pieśń o Drzemiącym Smoku, która mówiła:

W mieście otwartym przed wrogiem

Z jaspisu ukuta lutnia Chuko

Zawróciła legiony w marszu

Gdyż obaj dowódcy swe myśli odgadli

6. KURZ NA STOLE

“Drzemiący Smok” - słowa syczące zabrzmiały w ciemnym pokoju, jakby wymówił je sam smok.

Ale smok spał na stole, z półprzymkniętymi oczami. Wyglądał tak, jak na mieczu Chuko Lianga. Chociaż tamten był srebrny, gdyż wryto go na stalowym ostrzu, a ten w kolorze cesarskim, żółty. Tak pewnie wyglądał na proporcu Syna Niebios.

Syn Niebios! To działo się na długo przed objęciem władzy w Chinach przez Cesarza. Kim dotknął końcem palca żółtego smoka. Kawalki dopasowały się tak mocno, że trudno było zobaczyć lub wyczuć linie podziału. Cała układanka została ułożona.

Smoki. Obejrzał srebrnego, zwijającego się na górze, dziwnego niebieskiego na dole, czerwonego i żółtego po bokach. Czy oni Sig, Ras, Artie - również spotkali smoki?

Ale Shui Mien Lung absorbował go najdłużej. Kim znów czuł lęk, który przeszywał go do szpiku kości, gdy jechał z Ma Su i Weng Pingiem, a potem wracał z mapą i raportem. Znów przeżył strach, który wysuszył jego usta, pokrył zimnym potem dłonie, trzymające rękojeść miecza, gdy stał obok ministra i patrzył, jak Ssuma i jego oficerowie podjeżdżają do murów.

Nie usprawiedliwiać się, wziąć na siebie winę za błędy wyboru i działania. Tego nauczył się od Chuko Lianga. Całe zdania, wypowiedziane przez ministra, wracały do niego słowo po słowie.

Co robił Kim przez te dni, odkąd się tu sprowadził i poszedł do nowej szkoły? Gdy czuł się zagubiony i samotny, winił szkołę za to, że jest za duża, pełna obcych; rodziców za to, że się przeprowadzili - wszystkich, tylko nie siebie samego. Nikt nie zamierzał za nim biegać, błagać go, Kima Stevensa, żeby został jego przyjacielem. Mógł dalej żyć w błędzie, wierząc, że ma rację, jak Ma Su - lub mógł wstąpić na ścieżkę Drzemiącego Smoka.

Chuko wykorzystał swą mądrość i z klęski uczynił tryumf. Były dwa różne spojrzenia na przyszłość: postawa Chuko i postawa Ma Su. Teraz wiedział, którą wypróbuje. Nagle na chwilę znów stał się Mu-Tim. Złożył ręce w sposób, który wydawał mu się odpowiedni i z szacunkiem skłonił głowę w kierunku żółtego smoka.

- Tysiąckrotne, tysiąckrotne dzięki, o Wielki i Szlachetny, - powiedział w języku chińskim, którego od dawna nie używał. - To, że łaskawie ukazałeś temu nędznikowi właściwą drogę, jest wielkim zaszczytem. Niech ten odtąd nią podąża. Po raz drugi skłonił się smokowi, jak zrobiłby Mu-Ti.

Potem wziął torbę z książkami i wyszedł z mrocznego pokoju. Jak długo trwał ten sen? Godzinę? Dwie? Mama będzie się martwić. Kim od pewnego czasu dostrzegając, że przygląda mu się ze smutkiem w oczach. Ona i tata pytali go o szkołę, jak mu się podoba. Parę razy mama zaproponowała, żeby zaprosił do domu szkolnych kolegów, on zaś przyprowadzał Jamesa Fonga i Sama Lewisa. Nie wiedział, jak odpowiedzieć, nie dając jej do zrozumienia, jak nie cierpi tego wszystkiego. Teraz, podobnie jak Chuko Liang, stawia czoło strachowi. I chociaż nie będzie grał na lutni, ani śpiewał w twarz wrogowi, zrobi, co będzie mógł.

Kim przebiegł przez ciemne pokoje, wspiął się na kuchenne okno i zamknął je za sobą. Zatrzymał się na ganku. Układanka! Co się stanie z układanką? Jeśli ktoś przyjdzie zabrać rzeczy z domu, weźmie i ją!

Nie chciał jednak wracać po nią sam. Sig, Ras i Artie - wszystkim należała się część. Powinien najpierw z nimi porozmawiać, zapytać, co robić. Przypuśćmy, że zatrzyma się przy domu Siga, może jeszcze tam są...

Kim spojrzał na zegarek, prezent urodzinowy sprzed dwóch miesięcy. Za dwadzieścia piąta! Ależ on wysiadł z autobusu piętnaście po czwartej, więc był tu tylko pół godziny! W śnie minęły dni, w prawdziwym czasie tylko pół godziny. Ale za dwadzieścia piąta to i tak później niż zwykle. A teraz, zwłaszcza teraz, nie chciał martwić mamy.

Zobaczy się z chłopcami później. A może, pomyślał, może do nich zadzwonić i zaprosić? Jeśli będą mogli przyjść, razem zdecydują o układance i może jutro po szkole pójdą po nią do starego domu. Kim pobiegł ulicą z niezwykłą dla siebie prędkością, torba obijała mu się o nogę, tak bardzo chciał wziąć słuchawkę i dzwonić. W pewnym sensie będzie to pierwsza bitwa w prywatnej wojnie, pierwsza szansa udowodnienia, że może pójść za przykładem Chuko Lianga.

Mama rozmawiała przez telefon, kiedy Kim wszedł do domu. Siedziała na skraju kanapy, słuchając. Uśmiechnęła się i pomachała ręką, wskazując na kuchnię, gdzie, jak wiedział, czekały na niego ciasteczka i mleko. Powiesił kurtkę i czapkę w szafie, a torbę położył na dolnym stopniu schodów, zabierze ją do pokoju później. Tym razem nie wziął książki z biblioteki, żeby poczytać przy jedzeniu. To, o czym myślał, było o wiele bardziej ekscytujące niż wszystko, co mógł przeczytać - tego był pewien.

Na tacy leżały dwa pierniczki, w kuchni unosił się ładny zapach. Przypomniawszy sobie o sprzedaży wypieków w kościele. Mama pewnie obiecała, że przygotuje ich dużo. Widział dwie przykryte foremki do ciast i parę dużych garnków przykrytych folią. Nikt nie piekł tak, jak mama. Kim obgryzał pierniczek wkoło, żeby jeść dłużej.

- Cóż - mama stanęła w drzwiach kuchni. - Jak było w szkole, Kim?

- Dobrze. Proszę, czy mogę zaprosić paru chłopców po kolacji? Mieszkają blisko - Sig na Ashford, a Ras i Artie też blisko...

- A nie masz czasem lekcji do odrobienia na jutro?

Pokiwał głową, bo w ustach miał pierniczek, więc nie mógł odpowiedzieć tak grzecznie, jak powinien. Przełknął szybko.

- To ważne. I nie zajmie dużo czasu. - Zawahał się, wiedząc, że mama będzie się zastanawiać, co to takiego ważnego i dlaczego jej tego nie opowiada.

Ale mama nie zadawała pytań, co było jedną z jej najlepszych cech.

- Jeśli ich rodzice się zgodzą, dobrze. Może na pół godziny. Ale w dni nauki...

- Tak - zgodził się. Nigdy przedtem nie prosił o zmianę zasad. Ale to było takie ważne! Przypuśćmy, że już jutro przyjdą po rzeczy ze starego domu i zabiorą układankę! Może rano będzie mógł wyjść od siebie wcześniej, nie mówiąc dlaczego i weźmie układankę w drodze do szkoły? A jeśli on nie będzie mógł, może któryś z tamtych?

Zjadł ostatni kęs pierniczka i poszedł po numery telefonów, a że miał je w kolejności alfabetycznej, Ras - George Brown - był pierwszy. Na szczęście Ras odebrał sam.

Kim nie pomyślał wcześniej, co powiedzieć i teraz szukał słów. Przecież Ras nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że on też składał układankę. Nie pomogło też, kiedy się przedstawił:

- Mówi Kim - bo Ras odpowiedział:

- Jaki Kim?

- Kim Stevens. Jeździmy do szkoły tym samym autobusem.

- Jasne - ale w głosie Rasa nawet teraz pobrzmiwało takie zaskoczenie, że Kim stracił odwagę. Mógł tylko mówić szybko i mieć nadzieję, że się uda, chociaż trochę się bał, że chłopak nie będzie go słuchał.

- Wiem... o smokach. Ja... Ja złożyłem żółtego dziś po południu!

Przez długi moment wcale nie było odpowiedzi. Kim czuł w środku wielki chłód. Czy Ras będzie na niego zły, może odłoży słuchawkę? Cisza przedłużała się, wreszcie chłopak powiedział:

- Coś się z tobą stało, prawda?

- Tak! I, Ras, co z... no, wiesz, czym... Jeśli przyjdą zabrać rzeczy z domu? Czy mógłbyś... mógłbyś wpaść po kolacji i porozmawiać? Jeżeli będziemy czekać do jutra, może być za późno.

- Muszę zapytać. Co z Sigiem, Artiem?

- Zadzwoń do nich.

Ras odszedł od telefonu i wrócił z obietnicą: "Po kolacji na pewno". Kim w tym czasie znalazł w notesie numer Siga i trzymał już pod nim palec, gotów dzwonić. Miał szczęście, bo kiedy się tam dodzwonił, okazało się, że Artie jeszcze u niego jest, więc porozmawiał z jednym i z drugim.

Niecierpliwie czekał na ich przyjście. Tata włączył telewizor i oglądał wiadomości, a mama znów rozmawiała przez telefon o sprzedaży ciast, więc od razu zaprosił chłopców do swojego pokoju. Sig i Artie usiedli na łóżku, rozglądając się wokoło z nieskrywaną ciekawością. Ras usiadł na krześle przy biurku, ale Kim stał, gotów rozpocząć.

- Masz fajny pokój. - Sig przyglądał się półkom na ścianie, na których stały rzeczy, przywiezione przez tatę z Hongkongu, Japonii i Korei. - Patrzcie! To smok!

Pokazał rzeźbę z drewna.

- Z Tajwanu - powiedział niecierpliwie Kim.

- Jest bardzo podobny do żółtego smoka na pokrywce szkatułki. - Sig wstał i podszedł przyjrzeć się bliżej.

Kim potrząsnął głową.

- Żółty smok to Lung, należący do Cesarza.

- Skąd wiesz? - zapytał Artie.

- Po pierwsze dlatego, że jest żółty, a to kolor, w który mógł się ubierać tylko Cesarz. Poza tym, miał pięć pazurów na łapach, co czyni z niego Lunga. Ale ten z układanki to Shui Mien Lung, co znaczy "Drzemiący Smok", i nie był właściwie smokiem, lecz człowiekiem. Człowiekiem, który żył w Chinach dawno, dawno temu. Był pierwszym ministrem i generałem wojsk Cesarza Liu Pei, nosił miecz, który dał mu Cesarz, z wygrawerowanym smokiem o zamkniętych oczach. Potem zrobił coś wielkiego i dzielnego, i ludzie jego nazwali Drzemiącym Smokiem - ułożyli nawet o nim pieśń... - Kim mówił coraz szybciej, zadowolony, że skupiła się na nim cała ich uwaga i że chyba wierzyli we wszystko, co mówił.

- Człowiekiem, nie smokiem. - Artie pokiwał głową. - Mój to też człowiek - Artos Pendragon - był królem i również on miał ważny miecz. Ale smok był nie na mieczu, tylko na wielkim, czerwonym proporcu. Gdy wiał wiatr, smok wyglądał, jakby latał.

- Mój najpierw był człowiekiem, dopiero potem stał się smokiem - ale złym. Musiał zostać zabity. Nazywali go Pamirem. Sigurd Syn Królewski, zabił go mieczem Balmungiem. Odin mu pomógł... dodał Sig.

- SIRRUSH-lau też był prawdziwy. - przerwał Ras. - I straszny jak wielki wąż skrzyżowany z aligatorem, albo jak prehistoryczny potwór. Kapłani Marduka-Bela trzymali

go w basenie w świątyni i chcieli, żeby zabił Daniela, tylko że ten wymyślił sposób na zgłodzenie smoka.

Kim patrzył to na jednego, to na drugiego, słuchał łączywie. Czyli miał rację, przypuszczając, że wszyscy poznali smoki, tak różne, jak cztery obrazki na wieczku pudełka. Chciał wiedzieć więcej, wszystko, co przydarzyło się każdemu z nich. Pendragon, Fafnir, SIRRUSH-lau - dziwne imiona. Ale prawdopodobnie "Shui Mien Lung" dla Siga, Artiego i Rasa brzmiało równie dziwnie.

- Układanka - zwrócił ich uwagę na najważniejszy problem. Co się stanie, jeśli przyjadą! zabiorą wszystko z domu, może nawet jutro?

- Złożyłeś żółtego smoka i skończyłeś układankę dziś po południu? - chciał wiedzieć Ras.

Kim pokiwał głową.

- A potem zostawiłeś ją na stole?

- Tak. Pomyślałem, że jest późno i że mama będzie się martwiła. Poza tym... Chyba nie pomyślałem, żeby ją zabrać. Była tak mocno złożona, że nawet nie widziałem pęknięć między kawałkami, ani ich nie czułem.

- Nie możemy tam dzisiaj iść. - Sig chodził od łóżka do drzwi i z powrotem, jakby w ruchu lepiej mu się myślało. - Nie dziś. Przynajmniej ja dziś nie mogę. Nie mogę nawet zostać tu dłużej. Kiedy wychodziłem, starzy mówili coś o odrabianiu lekcji. Ras i Artie kiwali głowami na znak zgody.

- Czyli będziemy musieli to zostawić do jutra po szkole i mieć nadzieję, że przedtem nie wyniosą rzeczy. Ale pójdziemy po nią razem - po szkole - dobrze, chłopaki?

Odpowiedzieli "tak", prawie jednocześnie. Sig zwrócił się do Kima.

- Chcemy usłyszeć twoją historię, całą. Może nie mamy dziś dużo czasu, ale opowiedz, ile możesz.

Kim zaczął mówić, próbując ożywić dla nich błąd Ma Su, mądrość i odwagę Chuko Lianga. Jednak było wiele rzeczy, których, jak się obawiał, nie mogli zrozumieć. Kiedy skończył, Ras pochylił się w przód, patrząc na Kima, jakby nie widział chłopca, lecz to, co opisywał. A Sig, siedzący na łóżku obok Artiego, i sam Artie, byli jak zakłęci.

- Ten Ma Su - Ras odezwał się pierwszy. - Jaki on był głupi! Założył się o własną głowę, że ma rację, a potem wyszedł i powiedział, jak bardzo się mylił.

- Nie rozumiem, naprawdę, dlaczego Chuko Liang myślał, że to on się mylił i dlaczego chciał się wszystkiego wyrzec - powiedział powoli Artie. - On... On naprawdę pokonał tego Ssumę, prawda? I zrobił to bez walki. Dlaczego powiedział, że zawiódł? Wiem,

co mówileś: powiedział, że popełnił błąd wybierając nieodpowiedniego faceta do roboty, więc on był odpowiedzialny. Ale to bardzo srogie dla samego siebie - przynajmniej ja tak myślę.

- Tak wierzyli w tamtych czasach Chińczycy - próbował wyjaśnić Kim. - Mieli kodeks, według którego musieli żyć. Wielu ludzi go nie przestrzegało, ale bohaterowie starali się najbardziej i czasami im się udawało.

- Tak - wtrącił się Sig. - Jak Sigurd, który nie chciał dotknąć skarbu, mimo że miał do niego prawo po zabiciu Fafnira! Wiedział, że skarb zmienia ludzi, którzy go biorą, jak zmienił Mimira, więc go nie dotknął.

- Co się stało z Sigurdem? - zapytał Kim.

- Wiele, ale nie mam czasu tego dzisiaj opowiadać. - odrzekł Sig. - Jutro... Słuchajcie, byliśmy w bibliotece i pożyczyliśmy parę książek. Ja wziąłem drugą o Sigurdzie, to nie całkiem ta sama historia - Siga Szponorękiego wcale w niej nie ma. To byłem ja - Sig Szponoręki - byłem z Sigurdem, kiedy pojechał zabić Fafnira, a także przedtem. A Ras wziął książkę o Egipcie, ale nie ma w niej nic o Meroë, więc musi wypożyczyć następną! szukać dalej. Artie - on zdobył dobrą - o prawdziwym Arturze, nie o tym od Rycerzy Okrągłego Stołu i tak dalej. Może tobie uda się znaleźć coś o Chuko Liangu. Jeśli nasi bohaterowie są prawdziwi, twój na pewno też!

- A kiedy wrócimy jutro do domu, pójdziemy razem po układankę. - Ras wstał.

Zgodzili się i trzech chłopcy wyszli. Kim usiadł przy biurku i otworzył książkę. Nieodrobione lekcje czekały. Ale było mu bardzo trudno skoncentrować się na książce. Chciał usłyszeć wszystko, co Sig mógł mu opowiedzieć o Pamirze, Artie o Pendragonie, a Ras o potworze Serrush-lau - oczekiwanie było bardzo ciężkie. Kiedy zamknął podręcznik, nie był pewien, czy naprawdę wiele zdziałał, ucząc się tego wieczoru.

- To chyba bardzo mili chłopcy. - powiedziała mama przy śniadaniu. - Cieszę się, że znalazłeś nowych kolegów, Kim. Początek w nowej, wielkiej szkole, takiej, jak szkoła Anthony'ego Wayne'a, jest trudny sam w sobie, ale przechodzenie tego samotnie jeszcze pogarsza sprawę. Znam panią Dortmund i widziałam panie Jones i Brown na spotkaniach z nauczycielami. Wszyscy mieszkają tak blisko... - nie dokończyła zdania, ale Kim odgadł, że nie martwiła się już tak bardzo o to, czy Kim lubi nowy dom i okolicę.

Ale on nie mógł się doczekać pójścia na przystanek, więc śpieszył się bardziej niż zwykle, żeby wyjść z domu na ulicę.

- Hej! Czekaj, stary! - głos Artiego był głośny Kim zwolnił, kiedy chłopak wyszedł ze swojej ulicy, zapinając kurtkę. Na następnym rogu spotkali Rasa, a Sig dołączył między przecznicami, więc na przystanek doszli wszyscy razem.

Wokół starego domu panował spokój. Ale było wcześniej, dopiero w pół do ósmej, a ludzie z Pomocy Społecznej prawdopodobnie przysliby później.

- Chciałbym, żeby była sobota! - powiedział Artie.

- Ale nie jest - rzekł Ras. - Musimy mieć nadzieję, że dziś nie przyjdą.

- Mamy jakieś dziesięć minut - - nalegał Artie. - Może byśmy się zakradli i wzięli ją teraz?

- Żeby ci wszyscy nas zobaczyli? - Sig wskazał na małe dzieci oraz dwie matki, które odprowadzały swoje pociechy i czekały, aż te bezpiecznie znajdą się w autobusie.

Ponuro zgodzili się, że ma rację. Wykorzystali czas na opowiedzenie Kimowi własnych przygód. Usłyszał historie raczej pomieszane, bo przerywali sobie wzajemnie, kiedy któryś nagle przypomniał sobie coś, co koniecznie musiał dopowiedzieć, nie zważając na opowieść kogo innego.

Ten wtorek ciągnął się prawie tak długo jak dzień poprzedni, kiedy chłopak chciał się dowiedzieć, co tamci robili w starym domu. Każda lekcja zdawała się trwać bite cztery godziny. A kiedy wreszcie Kim wsiadł do autobusu, czuł się jak po całym tygodniu zamknięcia w klasach i korytarzach.

Miał trzy lekcje z Artiem, Sigiem i Rasem, a Ras i on mieli przerwę na lunch o tej samej porze, więc usiedli koło siebie. Ale nie odważyli się rozmawiać zbyt wiele o tym, co zaprzętało ich myśli, z obawy, że ktoś może podsłuchać. Poczuli ulgę, siedząc w autobusie, gdy wiedzieli, że niedługo zobaczą układankę.

Ale im bliżej byli swojego rogu, tym bardziej martwili się tym, co się stało podczas ich całodziennej nieobecności. Czy ludzie z Pomocy Społecznej zabrali już rzeczy z domu? Kim czuł się zupełnie zdesperowany, kiedy autobus zakręcił, żeby ich wysadzić. Jak jeden mąż odwrócili się i spojrzeli na zarośnięty ogród.

- Nie ma żadnych samochodów. - Artie westchnął z ulgą.

- To nic nie znaczy - rzekł Ras. - Mogły przyjechać i odjechać. Nie dowiemy się, dopóki nie wejdziemy do środka.

- Spokojnie - ostrzegł Sig. - Musimy przejść za krzakami, niepostrzeżenie. Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył i zadawał pytania. Ale kiedy tylko wejdziemy, biegiem!

Ruszyli, słuchając jego instrukcji. Zostawiali za sobą, krzaki, potem dotarli do ganku. Sig biegł przodem. Pchnął okno, żeby wsunąć się do środka, a Artie go popychał, żeby było szybciej.

- Nie przypuszczam, żeby już byli - pocieszył kolegów Sig, kiedy weszli. - Wszystkie kuchenne rzeczy są na miejscu.

Tak samo było w jadalni i salonie. Dojście do pokoju z układanką nie zajęło wiele czasu. Ale Sig zatrzymał się w progu, a Artie, Ras i Kim pchali się na niego, żeby wejść. Chwilę później zobaczyli, co go zatrzymało.

Stół i fotel stały na miejscu. Ale blat stołu był pusty. Nie było układanki ze lśniących kawałków, nie było nawet pudełka. Tylko stół i fotel, dużo kurzu i mnóstwo pajęczyn.

- Ja... zostawiłem ją tutaj. - dotknął blatu stołu palcem. Potem spojrzął w dół, kompletnie oszołomiony, jak Sig, gdy stanął w drzwiach.

- Teraz jej tu nie ma - powiedział Sig. Ale Ras podszedł do Kima i przyglądał mu się.

- Co jest, stary? Co się stało?

- Kurz! - pokazał Kim. - Patrz na ten kurz! Tu dotknąłem został ślad. Ale na całej reszcie jest gruba warstwa kurzu! Jak to możliwe, że była tu układanka? Jak mogliśmy przekładać kawałki i nie zetrzeć przy tym kurzu?

Ras pochylił się bardziej.

- Patrzcie, chłopaki - on ma rację! Mnóstwo tu kurzu. Przez jedną noc tyle się nie zbierze, nawet w takim starym domu. Nawet gdyby ktoś wczoraj zabrał układankę, na stole nie byłoby tego całego kurzu. Patrzcie, mogę napisać swoje imię.

I końcem palca napisał G-E-O-R-G-E na blacie stołu.

- Ale... - zaprotestował Artie drżącym głosem - ja wiem, że była właśnie tu - na tym stole! Widziałem ją... był srebrny smok i niebieski, i czerwony, którego układałem. I dużo żółtych kawałków... i pudełko - wszystko tu! - On również dotknął stołu palcem, poruszając kurz.

- Ja ją widziałem - Sig powoli pokiwał głową. - I ty, Ras. A Kim przyszedł po nas, złożył ostatniego smoka. Wiem, że nie wymyślił tej historii - pasuje. Inny smok, ale historia taka, jak nasze. Wszyscy wiemy, że były prawdziwe. Ale... układanki nie ma... i pudełka. I cały ten kurz... To nie ma sensu!

- Może - powiedział Kim, próbując myśleć jasno. - może nie mieliśmy zatrzymać tej układanki. Może miała zostać ułożona tylko raz.

- Ale dlaczego? - Artie zadał pytanie, na które żaden z nich nie mógł odpowiedzieć.

- Kto wie? - to było najlepsze, na co mógł zdobyć się Ras. Tylko że... ja wiem, co widziałem, chociaż tego teraz nie ma. I wiem, co robiłem, kiedy byłem Sherkarorem z Meroë. Nawet jeśli układanki nie ma, ja będę to pamiętać.

- Tak, i może Kim ma rację - powiedział Sig. - Może każdy z nas miał tylko jedną szansę, którą wykorzystał.

- Ale kurz... Skąd się wziął kurz?

- Skąd mamy wiedzieć? Staruszek, który tu mieszkał, miał dziwne rzeczy z całego świata. Może w tej układance było coś wyjątkowo dziwnego...

- Chodzi ci o magię? - zapytał Artie. - Magia - to głupie, nikt w to nie wierzy, z wyjątkiem małych dzieci.

- Coś w stylu magii - odpowiedział zdecydowanie Kim. - Słyszeliście o czytaniu myśli i podobnych sprawach. W zeszłym miesiącu w telewizji był program o ludziach, którzy wyczuwali rzeczy, które działy się w tej samej chwili bardzo daleko od nich. Nie musi to być książkowa odmiana magii, może to być jakiś jej rodzaj, może nauka, której jeszcze nie rozumiemy. Pomyślcie - jestem Chińczykiem, więc przeżyłem przygodę w odległej historii Chin. Sig, z którego państwa pochodzi twoja rodzina?

- Dziadek był Niemcem.

- Zatem przeżyłeś przygodę w Niemczech. A Ras w dawnych czasach, w Afryce, a Artie - czy twoi krewni pochodzą z Anglii?

- Z Walii.

- Walia jest częścią starej Brytanii. Może po prostu przeżywaliśmy rzeczy, które przydarzyły się naszym pra, pra, pra, jakieś tysiąc razy pra, pradziadkom. To ma sens, prawda? Tak czy inaczej, układanki nie ma. Ale Ras ma rację, będziemy wszystko dobrze pamiętać. Może stało się tak właśnie po to, żebyśmy pamiętali. Artie był już w drodze do drzwi.

- Nie ma sensu tu siedzieć - powiedział trochę za głośno. - Nie za dobrze się czuję w tym miejscu.

Wypowiedział to, co odczuwali pozostali. Pokój, który przedtem ich witał, teraz odpychał; dom chciał, żeby wyszli. Śpieszyli przez pokoje, wypełniając rozkaz, który poczuli, chociaż go nie usłyszeli.

- Ciekawe, gdzie jest układanka - powiedział Sig.

- Nigdy się nie dowiemy - odparł Ras. - Ale uważam, że Kim jest na dobrym tropie. Może mieliśmy prą, prą pradziadków, którzy robili te rzeczy, co my. I.... Bardzo się cieszę, że mogłem złożyć SIRRUSH-lau!

Nawet Artie mógł tylko pokiwać głową na "tak". Nie był pewien tego, co powiedział Kim. Ale chciał, żeby to była prawda. Chciał myśleć, że Artos, syn Mariusa, nazwany po Wysokim Królu, był praprapradziadkiem, który kiedyś żył, dawno, dawno temu. że Artos był prawdziwy!

Sid wygiął rękę. Nie wyglądała jak szpony. Ale pamiętał, że kiedyś taka była - Sig Szponoręki - Sig Dortmund - był jakiś związek, wiedział o tym.

Kim słyszał szelest suchych liści, po których deptali. Ale on maszerował w innym rytmie - w rytmie bębnow małej, wyniszczonej armii Chuko Lianga. Kręcił torbą z książkami i przez chwilę prawie wierzył, że to miecz w czerwonej, lakierowanej pochwie.